

P I S M A

R O Z M A T E

PISMA
ROZMAITE

Więszem i Prozą

Felixa Pawła Jarockiego

*Nauk Wyzwolonych i Filozofii Doktora, Profesora Zoologii w Królewskim
Warszawskim Uniwersytecie, Assessora Zagranicznego i Członka Hono-
rowego Towarzystwa Mineralogicznego w Jenie, Członka Królewskiego
Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, Naukowego w Krakowie,
Badaczów Natury w Moskwie, Berlinie, Lipsku, etc.*



TOM DRUGI.

w WARSZAWIE

**w DRUKARNI JÓZEFA WĘCKIEGO, PRZY ULICY SENATOR-
SKIEJ Nro 463. OBOK RATUSZA GŁÓWNEGO.**

1830.

ZA POZWOLENIEM CENZURY RZĄDOWÉY.

PIŚMIA
ROZMIAŁTE

Wydawnictwo i rozprawy

Wydawnictwo i rozprawy

Wydawnictwo i rozprawy
Wydawnictwo i rozprawy
Wydawnictwo i rozprawy
Wydawnictwo i rozprawy
Wydawnictwo i rozprawy



884-1/-9(081)+59

821,162,1-92+821,112,2(436)-2+59

W WARSZAWIE

W Drukarni Łódzkiej Wiedeńskiej, przy ulicy Krakowskiej
Liczba 103. Drukarnia Wiedeńska.

1830

T. PIŚMIA
N. A. I.
amkowego otoczenia

KAROLO KAROLINI

MNIEMANY HERSZT ROZBOYNIKOW.

DRAMMA W 5 AKTACH KAROLA MEISLA

z niemieckiego przetłóżoną, i poraż pierwszy dnia 29
Marca 1814 r. na polskim teatrze graná w Krakowie.

Saluzyi
Naczelnik Policji
NETOLO wdowa

grabiny

LAURA MARGRABIANKA DE MONTALDO

ALBIRONO *Notaryjusz*

KAROLO KAROLINI *pod różną postacią*

LÓDOWIKO *jego poufalec*

ROBERT CZARNY *herszt rozbójników*

SANTA KROCZE } *Orderowi Panowie Saluzyjscy*

KOLONA

DZIROLAMO

LORENCO

ANDZIELO

PIETRO

BARYDZIELLO *Rewizor policji*

Dozorca służących.

Damy, Służący, Policjanci, Pospólstwo, Rozbójnicy, Strzelcy.

Miejsce sceny w okolicach miasta Saluzyi.

AKT PIÉRWWSZY.

SCENA I.

Teatr przedstawia część ogrodu zamkowego otoczoną wysokimi murami.— Słychać z różnych stron odzywające się pomieszane głosy.— Rzuciwszy przez mur sznurową drabinę i umocowawszy ją: KAROLO-KAROLINI i LÓDOWIKO w ubiorze rozbójniczym zstają po nię na dół.

KAROLO KAROLINI.

Po dziesięć latnię niebytności piérwszy raz znowu na téj stanąłem ziemi.— Witam was ulubione miejsca dawnych Panów Saluzyi, którzy, gdy piérwsze wasze zakładali chłodniki, pewno niepomyślili o tém, że się z czasem staniecie przytułkiem rozbójników i miejscem sceny.

LÓDOWIKO.

Ha, ha, ha! śmiaćby się przyszło do rozpuku—sám się Pán wreszcie nazwiesz rozbójnikiem.

KAROLINI. (*)

Alboż nimi nie jesteśmy?— Przypatrz się twojéj

(*) Dla krótszego wyrażenia zamiast KAROLO KAROLINI, używać będziemy tylko nazwiska KAROLINI.

sukni! — W tym wieku, gdzie przesąd wszystko opanowwał, szacują człowieka tylko z ubioru:

LÓDOWIKO.

Już co ze mnie, to niepospolity byłby rozbóynik! — Nieśmiały tu podobno bez Pana ani minuty w tym ubiorze zabawić. — Mojem byłoby zdaniem, — ażebyśmy się z tą oddalili.

KAROLINI.

My tu zostać musimy. — Dziś poczyną się náypiękniejszą chwila dla mego niebezpiecznego i trudnego rzemiosła. — O miłości! ty tylko nieusuway opieki przychylnym sobie.

LÓDOWIKO.

Tam do diabła, kiedy się Pan i zakochał! — teraz dopiero co wskóramy. — Bez miłostek szło nam wszystko oporem. — Boże! niewypuszczay nás z opieki swojej, kiedy się Pani miłość do tego wmięszała.

KAROLINI.

Słucháy! odkryję ci wszystkie zamiary moje. Staráy się, żebyś mi dopomagał. — Czy znasz ty piękną Juliją de Kanetolo?

LÓDOWIKO.

Która przy ostatniéy serenadzie słowicznym śpiewała głosem? —

KAROLINI.

Tak jest, ta, która śpiewała jak Anioł. Pierwsze widzenie się z nią wydarło mi spokoyność. — Ona moją być musi.

LÓDOWIKO.

Czy w tym stroju roz - bóy - ni - czym?

KAROLINI.

Rozbóynika powinna pokochać, jeżeli moją má zostać żoną.

LÓDOWIKO.

Cóż to za szalone układy!

KAROLINI.

Naprzód będę się starał, ażebym sobie u niéy na wdzięczność zastażył: — dalej, ażebym ją wprawił w zadziwienie: — nakoniec, może mię godnym uzná miłości.

LÓDOWIKO.

Zrzucmy ten przekłety ubiór: na ten czas znáydzie się może takie stworzenie, które nás pokochá; lecz w tym stroju — każdy omijá nás zdaleka. — Wszystko za nic, chociażbyśmy náyprzystoyniejszymi byli na świecie.

KAROLINI.

Milez, uprzędzony gaduło! a słucháy. — Rynaldo brat Julii, ubogi, lecz szlachetny młodzieniec kochá Laurę Margrabiankę de Montaldo, którą Della Rokka na zdobycz dla siebie przeznaczył. Dokażem tego przez zmyślane listy, że się Laura z Rynaldem tu zedydzie; a Della Rokka napadnie jch niespodzianie. — Rynaldo będzie w niebezpieczeństwie staniá się ofiarą zardrosnéy jego miłości. Wyrwać go z tego niebezpieczeństwa, i od ukochanéy siostry jego wdzięczne odebrać spoyżnienie — jest celem trudów moich.

Tom II.

LÓDOWIKO.

Tyle chałasu i kłopotu dla jednego wdzięcznego spoyźrzenia! — W płodzeniu coraż nowych układów rozum ludzki obumiérać się zdaje. — Lecz cóż to u diabła! — ktoś oto skradá się między krzakami, którego ubiór zupełnie jest podobny naszemu.

KAROLINI.

Cóż to za człowiek? — Jeżeli mię domysły niezwo-
dzą, zdaje mi się, że to Czárny Robert.

LÓDOWIKO.

Boże, zmiłuy się teraz nad nami! Diabła można modlitwą oddalić; ale tu — wszystkie modłty i krzyże nie niepomogá.

KAROLINI.

Oddál się, lękliwy tchórz! — Dawno já już pragnáłem tego, ażebym się mógl gdzie spotkać z tym kochankiem piekła! — He! towarzyszu! — zbłądzi-
łeś — tędy droga! —

SCENA II.

ROBERT CZÁRNY i Ci sami.

ROBERT.

Kto jesteś, nędzniku! że się powáżasz tak zuchwa-
le mię napastować? — já ciebie nieznám.

KAROLINI.

Jestem Karolo Karolini. Cały świat nazywá mię
hersztem rozbóyników. — Ty mię práwda nieznász;

ściészki bowiem życiá naszego są sobie zupełnie prze-
ciwne. Karolini nie mordował nigdy za podłá nagro-
dę; nigdy się w ciemnych lochach nie czał na uczi-
wego; ani niewydarł w porannym śnie bezpiecznie
spoczywający niewinności życiá.

ROBERT.

Nędzniku! jeszcześ niewidział płynący krwi; a śmiesz
się bezwstydnie hersztem mianować?

KAROLINI.

Słucháy mię wprzód daléy! — Karolini nie náymo-
wał się nigdy bojaźliwym hołyszom, którzy nie mając
odwági stawieniá się swoim przeciwnikom, do zdra-
dziecko zabóycznych żelezców nędznego cechu twego
udawać się muszá. Tém się nigdy niebawił Karolini. —
Ale gdy uyźrzyłzy niesprawiedliwością wyciśnione: —
gdy usłyszzy jęk pognębionego: — w ten czas niepo-
trzebuję Karolini, żeby go wzywać lub náymować:
sám on przybywá na pomoc, przybywá szybko jak
piorun, i mści się (nawet bez przelaniá krwi) ná-
sroższými mękami znieważonych praw niewinności.

ROBERT.

Chłopcze! szcziotanie twoje już mię do niecier-
pliwości przywodzi. — A czy to szyderstwem, czy
práwdą: zkáđ ta zuchwałość, że mi takie rzeczy wbrew
gadać się wáżysz? — Wiédz o tém, że já ciebie już
dawno szukałem! — Oprócz Roberta niepowinno żá-
dne słynąc jmię. Já jestem hersztem, a oprócz mnie

niemasz drugiego. Dwóch w jednéj okolicy jstnieć nie może. — (*w tém dobywá pistoletu*)

KAROLINI.

Uprzedzá go, przyskakuje do niego, chwytá go wpót, rzucá nim o ziemię, a przyłożywszy mu swój pistolet do piersi.

Gdy palcem teraz pociągnę — Karolini zostanie sám!

ROBERT.

Mistrzu! jeszcze uczniem twoim bydz powinienem! — Jeżeli zaś to wyznanie dla ciebie niedostateczne: — kończ — já oka niezmrużę.

KAROLINI.

Przeczenie mię ostrzégá, że się miarka zbrodni twoich jeszcze nie przepełniła: daruję ci więc życie. Najjadowitsze gady dążą do celu swego: i ty musisz także mieć cel dla siebie przeznaczony. — Ale, jeszcze jedno wyznanie: có cię przywiodło w tę stronę? —

ROBERT.

Miałem tu młodego Rynalda de Kanetolo z woli Della Rokki zgładzić ze świata.

KAROLINI.

O przeznaczenie! tu widocznie poznaję natchnienie twoje! — Jleż obiecano ci za życie tego náylepszych nadziei młodzieńca?

ROBERT.

Sto cekinów po wykonanym uczynku.

KAROLINI.

O niegodziwy zabójco! za sto cekinów takiemu młodzieńcowi chcieć wydrzec życie? — Oto masz trzysta (*daje mu kieskę*); ale przysięgnij mi, że nikogo z rodu Kanetolów nie zamordujesz.

ROBERT.

Gdyby wszyscy tak drogo opłacali życie: zapomniabym wkrótce wraz z towarzyszami rzemiosła mego.

KAROLINI.

Teraz się oddál — a to natychmiast — tu przez tę drabinę! Poczytász się za szczęśliwego, jeżeli cię w innym sposobie życia zobaczę. Widziéć bowiem wkrótce się z sobą będziemy. Oddal się!

ROBERT. (*Jdąc w górę po drabinie*)

Przeklęcie! — Jak łatwo mógłbym się być obéydz bez zasztytu widzenia się z nim.

S C E N A III.

KAROLINI I LÓDOWIKO.

LÓDOWIKO. (*wychodząc z poza krzaków*)

Jeżeli to niebyło czarodziejskiém omamieniem: to nám się już niczego obawiać nietrzeba.

KAROLINI.

Patrz Lódowiko! jak mi los do celu mego niespodziéwanym przypadkiem drogę ułatwiá.

LÓDOWIKO.

Teraz dopiero ochłodłem cokolwiek z bojaźni.—
O odtąd drżać będzie Robert na samo wspomnienie
jmienia naszego.— Ale, cóż się tam znowu szmerze
między krzakami?— coś za kobieta.—

KAROLINI.

Oddalmy się na stronę. Rzecz ta wymaga po nas
utajenia się. Nieważ się ani oddychać głośno. Chcę
tu być niewidzianym świadkiem wszystkiego. (*Ukry-
wają się za krzaki*).

S C E N A IV.

LAURA *z jednéy*, RYNALDO *z drugiéy strony*.

RYNALDO.

O Lauro! ty niedopuszczisz nigdy, ażebym czekał na
ciebie.

LAURA.

Oziębła tam miłość, gdzie jedno na drugie czekać
musi. Liczyłam każdą minutę, a pierwsze uderzenie
zégaru było hasłem mego tu przybycia.

RYNALDO.

O Lauro, Lauro! jakżeś ty dobrą! Jakże ja ci się
wywdzięczyć potrafię?

LAURA.

Stałem przywiązaniem.— Laura w tobie tylko znay-
duje dla siebie szczęście.

RYNALDO.

Jeżeli ci ubogi Rynaldo może sobą wynagrodzić tę
stratę, którą w zamianie za Rządcę Saluzyjskiego po-
nosisz:— o to go masz przed tobą.— Serce moje jest
prawda pełne nacyzystszey ku tobie miłości; ale ja
nieposiadam urzędów: niemam ani znaczenia, ani ma-
jątku, ani pochlébnych na przyszłość widoków. Te
dziesięć palców i głowa całym są majątkiem moim:
a te w każdym przypadku, w naysroźszey nawet bu-
rzy losów jak nacyhętniey poświęcę dla ciebie.— Za-
myślałem w prawdzie puścić się w świat, i doświad-
czyć nieużytego mi losu; ale święte obowiązki syna i
brata niedozwalają, ażebym matki i siostry odstąpił.

LAURA.

Ten tak szlachetny sposób myślenia przenoszę nad
wszystkie skarby świata!— Wdzięki twoje Rynaldo
nigdyby nie odniosły zwycięstwa:— dobroć tylko
twoja zniewoliła mię dla ciebie.

RYNALDO.

Drogą Lauro! lękam się tylko o biedną matkę mo-
ją; gdyż ta musiałaby ulédz pod ciężarem zgryzoty.
Teraz dzielę w pocie czoła zapracowany kawałek
chleba z nacylepszą z matek; a ona otoczona przychy-
lnými dziećmi zapomina zaszczytów i okazałości przed-
ków swoich, którzy niegdyś Panami byli Saluzyi.

LAURA.

O gdybym się do waszego mogła liczyć grona!—
Ale tak, Rynaldo, czegoż się jeszcze spodziewać mamy?

RYNALDO.

Rozłączeni i - rozpaczy! — Jeżeli srogi i nieubłagany Della Rokka miłości naszey dociecze: — zguba dlá nás wszystkich gotowá!

LAURA.

Mám nadzieję, że tego niedokáże. Zawsze go pozorónemi łudzę nadziejami; a miłość go zaślepiá.

RYNALDO.

Ale gdyby nás przypadkiem odkrył: — o Boże! w cóżby się moja biédná matka z siostrą obróciły! — rozpacz dokonałaby życia mego.

LAURA.

Wstydź się Rynaldo! — Młodzieniec w twoim wieku, mający odwágę i siły, niepowinien się trapić urojonými straszidłami przyszłości. Jeżeli go spotká nieszczęście: nie powinien tracić odwági i podło przed niém klękać. Obowiązkiem jego, ażeby się mężnie stawił i walczył; a w tedy chociaż ulegnie przemocy: ulegnie uwieniczony sławą.

RYNALDO.

Drógá, nieporównaná Lauro! czuję wartość słów twoich: chcę, i powinienem byđz ci posłusznym. — Na samo w spomnienie, że mię Laura kochá, zdaje mi się, że olbrzymie posiadám siły.

LAURA.

Tak jest, Laura cię kochá, i wiecznie kochać będzie. (*wzajemne uściśnienie*).

S C E N A V.

DELLA ROKKA z *dobytą szpadą*, i Ci sami.

DELLA ROKKA.

Zeszedłem wás przecie! — rozłączcie się! a ty paniczu z obięciá anielskiego jđz w przepaść piekła! (*na ciérá na Rynaldegó*).

LAURA *stawając między nim a Rynaldym*.

Zostaliśmy więc zdradzeni! — Dobrze! ale postucháy, co mi dotąd skromność taić kazała. Laura wolná włoská dziewczica kochá tego dobrego i uczciwego młodzienca; ale ciebie, despotyczny cudzoziemcze, który się tylko za bogactwami uganiász, nigdy nie kochała. — Bądź jednak łaskaw! zostaw mi mego Rynalda.

DELLA ROKKA *do Rynalda*.

Umiéráy nędzny niecnoto!

RYNALDO.

Proszę, zaklinám cię Panie! — Upamiętáy się! — Jdzie tu równie o mnie jak o ciebie! — Já mám matkę, którą żywić muszę: jéy winienem zachować syna.

DELLA ROKKA.

Ciebie, i cały twój ród zagładzę!

RYNALDO *biorąc się do szpady*.

Gdzie granice rozumu przestąpione, tam różwága miejsca niémá.

Tom II.

3



DELLA ROKKA *nasiérając zapalczywie.*

Ty się chcesz bronić?— Jedno moje skinienie pograży cię głębię piekła.

RYNALDO.

Bóg, który widzi moją niewinność, stanie się moim obrońcą. (*Dobycia szpady — walczy — wytrąca szpadę z rąk Della Rokki — podnosi ją, a oddając mu onę*) Rozum powraca w karby swoje, a ubogi prosi możnego o względy.

DELLA ROKKA.

Ratujecie, kto słyszy!

SCENA VI.

DEL MARKO *z policyją, i Ci sami.*

DEL MARKO.

Co tu za hałas?— kto tu krzyczał?— Rinaldo z dobytą szpadą?—

DELLA ROKKA.

Którą we mnie chciał właśnie utopić.

LAURA.

Nędzny kłamco! ty, któryś sám. . .

DELLA ROKKA *przerywając ję.*

Zdradzieckim sposobem chciał mię zamordować.

DEL MARKO.

Cóż to za szaleństwo, Panie Margrabio! jakież Pana szatan opanował?— Słudzy świętęj sprawiedliwości! ezyście, co wam powinnoś káže.

RYNALDO.

Jeszcze niebyło przykładu, ażeby taka tryumfowała zbrodnia.

LAURA.

Já ciebie nie opuszczę! — Dzielić będę z tobą więzienie i śmierć.

RYNALDO.

Nie, drogá Lauro! ty mię zastap u mojęj matki. Czyn to dla nię, co już dla mnie czynić nie możesz.— Prowadźcie mię, rozmówimy się przed trybunałem sprawiedliwości.— Jeżeli mi tu wymierzoną nie będzie: tam (*wskazując do góry*) przed trybunałem Náywyższego stanę śmiało, tam się z sobą zobaczymy.— Lauro! bywáy zdrowá! (*odprowadzają go*).

LAURA.

Cóż to za straszne przeczucie! — Jakże okropnie brzmiá mi jeszcze w uszach ostatnie jego słowa — tak właśnie, jak gdyby je grobowe odbijało sklepienie.

DELLA ROKKA.

Lauro, kocháy mię! — Rinaldo będzie wolny.

LAURA.

Nigdy za tę cenę niesprzedasz wolności Rynalda! — Oddáy go sprawiedliwości: — postap sobie z nim, jak ci twoja zemsta; a temu (*wskazując na Del Marka*) zbrodniarzowi pragnienie krwi doradzi. Ale wszród uciech i okazałości, pod czas snu w náytajemniejszych nawet kryjówkach domu twego, równie jak wszród náylicznieszego zgromadzenia pamiętáy pierśi

twoje twardym uzbroić pancérzem, otocz się licznymi hufcami najemników: wkrótce bowiem doświadczysz, czego prześladowana w miłości i do rozpacz przywiedziona kobieta dokazać potrafi. *(odchodzi)*

S C E N A VII.

DELLA ROKKA i DEL MARKO.

DEL MARKO.

Piękną dziewczyna; ale jędz, jaki świat nie miał! — Panie bracie! cóż teraz czynić będziemy?

DELLA ROKKA.

Mścić się, straszliwie mścić się będę z niewągi mojej, że nędzny żebrak pierwszeństwo przede mną otrzymał! —

DEL MARKO.

Przyjacielu! prześliczna myśl przyszła mi teraz do głowy, i gdyby myśli można spięczyć: wielkąby mi korzyść przyniosła.

DELLA ROKKA.

Chcę słyszeć!

DEL MARKO.

O co myśl, to myśl!

DELLA ROKKA.

Powiedz, co masz powiedzieć.

DEL MARKO.

Zaręczam ci, Panie Bracie, że to myśl nieoszacowana! — Donna Amalija matka Rynalda winna mi bar-

dzo wiele: — dziś na nią natrę, ażeby mi oddała; a ponieważ te nędzniki nic nie mają: — całą więc familię zapakuję za dług do więzy.

DELLA ROKKA.

Nic dla mnie pożądanszego być nie może! — Uwiadomiony o tém Rynaldo w więzieniu pewno ulegnie rozpacz.

DEL MARKO.

Albo będą przymuszeni oddać ci Laurę za żonę; a i w ten czas nie ujdzie rozpacz i zguby náydawniejszą familię Margrabiów.

DELLA ROKKA.

Śpiesz więc, pomścisz się za mnie! — Nic innego uspokoić mię niezdola.

DEL MARKO.

Spuść się na mnie! — Tak zgodnie dobranych ludzi, jak my, piekło nawet rozłączyć niezdola. *(odchodzi)*

S C E N A VIII.

KAROLINI i LÓDOWIKO *wychodzą z za krzaków.*

KAROLINI.

Wszystko się stało podług mego życzenia. Początek nad oczekiwanie pomyślny. O gdyby mi tylko szczęście tak do końca posłużyć chciało!

LÓDOWIKO.

Takie zamięszanie, gdzie jeden drugiemu ledwie karku nieskręcić, nazywać pomyślnością: pragnąc na

dal takiego szczęścia: przyznám się, że tego pojąć, nie mogę.

KAROLINI.

Wkrótce się ta zagadka dla ciebie i dla wszystkich rozwiąże. Wyrwać matkę z rąk lichwiarza, potargać więzy Rynalda, oddadź mu Laurę za żonę; a otoczywszy się uszczęśliwioném rodzeństwem, przy boku Julii błogie pędzić lata: te święte cele muszę osiągnąć, chociażbym wszystko miał stracić. Śpieszmy Lódowiku! — (*odchodzą*)

S C E N A IX.

Pokój Amalii Margrabiny de Kanetolo.

MARGRABINA i DEL MARKO.

DEL MARKO.

Bodáy pioruny zatrzaśły! kiedyż u diabła skończy się to skwierczenie? — Boże przepuść memu uniesieniu się; bo któżby się wreszcie nie uwiódł złością.

MARGRABINA.

Ależ zacny mężu! także Wać Pán nieczułym jesteś na moje nieszczęście! — Mám w Bogu nadzieję, że się los mój polepszy: oddám więc rzetelnie, com winna; tylko jeszcze pół roku racz Wać Pán byđź cierpliwym.

DEL MARKO.

Co, cierpliwym? — Alboż dwuletni przeciąg czasu niebył jeszcze dostateczny do przekonania się o mojej cierpliwości.

MARGRABINA.

Przyrzékám uroczyście, że Pán w krótcie zaspokojonym będziesz.

DEL MARKO.

Przyrzékám, przyrzékám, i zawsze tylko przyrzékám! tak właśnie, jak gdybym samými mógł żyć przyrzeczeniami. — A niechże już kaci porwą taką sprawę.

MARGRABINA.

Czyni Wać Pán wreszcie, co się podobá: já teraz oddadź nie mogę.

DEL MARKO.

Nie? — Więc já doradzę. — Oto w pobocznym pokoju wiszą, jak widzę, kosztowne obrazy najsławniejszych malarzów: Rubensa, Tycyana, Pawła Weronze, Gwido Reniego: te sprzedamy.

MARGRABINA.

Te są własnością córki mojej.

DEL MARKO.

Używała wspólnie z Panią Margrabiną za moje pieniądze: powinna także náleżeć do oddania. — W tym tu znowu drugim pokoju stoją piękne łóżka z drogimi kotarami, kosztowne szafy, stoły, dywany: — te także sprzedamy.

MARGRABINA.

To są rzeczy syna mojego.

DEL MARKO.

Pana syna? — Ale, ale! mám oświadczyć, że godny Pán syn tego wszystkiego już niepotrzebuje.

MARGRABINA.

A to dla czego?

DEL MARKO.

Przed kilku minutami przeniósł się na mieszkanie do więzienia.

MARGRABINA.

Wielki Boże! dodaj mi siły, ażebym tyle nieszczęść razem znieść mogła!

DEL MARKO.

Taki zazwyczaj bywá koniec wszystkich gołych napuszonych paniczów! — Wszędzie się wypiszą, a nigdzie zmasać się nie mogą. Wplątał się, Boże przepuść! w niepotrzebne miłostki z Panną Laurą, do której się już dawniey wysoká godność Rządcy uniżyć raczyła. Ci więc czuli kochankowie naznaczyli sobie w ogrodzie miejsce i czas, o którym się zeyśdź mieli, mniemając, że od nikogo nieposzlakowani, będą się mogli bezpiecznie oddadź uczuciom miłości; ale przed nami nic się nie ukryje. Rządca jch zeszedł, i naturalnie chciał w pierwszym zapale Pana syna przebić; ale się Pán syn sposobem sprzeciwiającym się wszelkiemu prawu przebić nie dał. Policyjá przysła, i zakończyła spory.

MARGRABINA.

Teráz dopiero jestem nieszczęśliwą! — Kończnie więc, coście zaczęli: wyrządzajcie okrucieństwa, jakie się wám podobá: nic mię już nieustraszy.

DEL MARKO.

Otóż macie! — Zostałem na reszcie okrutnikiem; ponieważ się o swoje upominám. — Mógł się Pán syn niewłuczyc po cudzych ogrodach: ale tak —

MARGRABINA.

Sprawiedliwość powinna wprzód wysłuchać: pótém dopiero sądzić.

DEL MARKO.

Oto nás już głowa nie boli! — Rozwážając okoliczności interesu, jak bądź, wolę się trzymać tego, co widzę. Zbiorę wszystko co do płátka, i wyprzedám. Pewnieyszy wróbel w rękę, niż dziecióół na sęku.

MARGRABINA.

Także więc zostałam bez nadziei ratunku! — O Boże! czegożem się doczekała! — Mámże więc z głodu umierać? mámże w starości na lichéy garstce barłogu spoczywać?

DEL MARKO.

O pomieszkanie troszczyć się niepotrzeba; bo jeżeli te rzeczy na zaspokojenie długu niewystarczą: pofatyguje się Pani Margrabina za resztę do wieży.

MARGRABINA.

Wielki Boże! dodaj mi siły, ażebym to znieść mogła!

DEL MARKO.

Nędza Margrabiny wzbudzá we mnie politowanie.

MARGRABINA.

Dáły to Bóg!

Tom II.

DEL MARKO.

Niech mię, ale Boże odpuść! — Jeszcze wiem sposób, którym się Pani ratować może.

MARGRABINA.

Na wszystko się odważam.

DEL MARKO.

He, he, he! Pani masz piękną córkę.

MARGRABINA.

Cóż z tad? —

DEL MARKO.

Pani Margrabiny córka potrzebuje męża.

MARGRABINA.

A tymby był? —

DEL MARKO.

Já! —

MARGRABINA.

Co z tego, to nie niebędzie! — Wolę, żebyś wszystko zagrabił, i mnie osadził w więzieniu.

DEL MARKO.

Dawno się tego spodziewałem, że duma, którą w sercu Wać Pani podsycają zmolałe dyplomata i w pancérze postrojonych przodków wiszące na sali portrety, a może i wstręt ku osobie mojej (lubo nie mám w sobie nic odrażającego) zezwolić na to niechee. Ale nietracąc czasu daremnie: proszę o pieniądze albo — o córkę. Jeżeli mi oboje odmówione zostanie; a zebrane pieniądze za fanty na dług niewystarczą: — przymuszony będę Panią Margrabinę osadzić w więzieniu.

MARGRABINA.

Natożżem przysłała nieszczęsná! — Przodkowie moi posiadali tron Genui; a já ostatniá z rodu Kanetolów mám za dług nędznie w więzieniu dokonać życia.

DEL MARKO.

Niech to panią nieodstręczá, że niejestem szlachcicem. Jeżeli tego będzie potrzeba: za pieniądze dostanę szlachectwa. Szlachectwo bez majątku teraz niepopłacá. Kto má pieniądze, ten odbierá od Magnatów i od ubogich ukłony.

MARGRABINA.

Ale bez szacunku. —

DEL MARKO.

Zazdrość jedynie jest tego przyczyną.

S C E N A X.

JULIJA i Ci sami.

JULIJA *niepostrzeższy Del Marka.*

Nie gniewáy się, kochaná Mamo! żem się tak długo zabawiła. Dziś go znowu widziałam, i ledwiem weszła do kościoła: przyszedł za mną; a stanąwszy naprzeciw mnie przy filarze: oka ze mnie niepuscił.

MARGRABINA.

Dáy pokóy marzeniom! Oto jest rzeczywistość, która cię na wskrus przejąc powinna.

DEL MARKO *dobrywając zegarka.*

Pięć minut daję do namyslenia. Niech Pani Mar-

grabina oświadczy córce żądanie moje. Jak pięć minut upłynie —

JULIJA.

Cóż to znaczy? matka moja zalana łzami — ten lichwiarz w takię zapalczywości? —

MARGRABINA.

Wiész Julijo, co winni jesteśmy Panu Del Marko: domagá się teraz zwrócenia długu; a já nie jestem w możności. Mász mu więc albo twoją oddadź rękę, albo — já póyde do wieży.

DEL MARKO.

Możny i bogaty Del Marko, którego okręty krążą około pbrzeż Koromandelu, dopraszá się o rękę ubogię Julii de Kanetolo.

JULIJA.

Tego sposobu odbierania długów sám cię chyba Lucyper nauczyć musiał!

MARGRABINA.

Nie, Julijo! já na to niepozwole. — Wolę náynędznię zakończyć życie, a niżeli ciebie w takie oddadź ręce.

DEL MARKO.

Już półtrzecięj minuty upłynęło. Za drugie tyle — do wieży, albo —

W czasie téj sceny Karolini w bogatym officerskim ubiorze zaglądá czasami przeze drzwi.

JULIJA.

O drogá mamó! także więc zostałyśmy bez nadziei ratunku?

MARGRABINA.

Tak jest, kochane dziecię! Tam tylko (*wskazując do nieba*) cała nasza nadzieja. — Póyde, okrutniku! potrafię znieść tę hańbę.

JULIJA.

O moja náydroższá Mamó! tego ci nieodpuszczę.

MARGRABINA.

Co chcesz czynić, kochane dziecię? marnie zakopać całe szczęście twoje? — Upamiętáy się lubá córko!

JULIJA.

Chcę wypełnić náyswiętszy obowiązek dziecięcia.

MARGRABINA.

Jakto, chcesz się poświęcić temu niegodziwemu?

JULIJA.

Za náylepszą matkę.

MARGRABINA.

Chceszże kwiat wieku twego bez náymnieyszey uciechy marnie stracić?

JULIJA.

To słodkie uczucie, żem náykochańszá Mamę od rozpaczy wyratowała: za wszystko mi stanie.

MARGRABINA.

O nie czyn tego!

DEL MARKO. *na stronie.*

Zwycięży, jak widzę, czułość córki. (*spoglądá na zegarek, po tém głośno*) Już cztery minut upłynęło.

JULIJA.

Jeszcze serce moje nie zna miłości, niedoznam więc, co to boleć nad stratą ulubionego przedmiotu. A potem, czyż to tak trudną jest rzeczą dopełnienie obowiązków dziecięcia?

DEL MARKO

Dosyc już téy gadaniny! — Dziesięć tysięcy dukatów zapisuję moję przyszlę żonie, matkę przyrzekam przyzwoicie ję stanowi utrzymywać. Pięć minut dochodzi.

MARGRABINA.

Stóy, kochaná córko!

JULIJA *do Del Marka.*

Oto Wać Pán masz moją drżącą rękę.

S C E N A XI.

KAROLINI i Ci sami.

KAROLINI *nagle wbiegając.*

Stóycie! słyszałem tu, jeźli się nie mylę, licytacyją! Já płacę długi Margrabiny, zapisuję Julii dwadzieścia tysięcy dukatów, i o wszystko starać się przyrzekám.

JULIJA.

Mamo! otóż to ten sám nieznajomy, który mię wszędzie bez przestanku śledzi.

DEL MARKO.

He! mój szumny Panie! któż ci to nadał takie prawo?

KAROLINI.

Niecnoto! a tobie kto nadał prawo handlowania ludzmi? domagania się lichwy na rozpaczających? — Chcesz piéniędzy? — oto masz więcéy, niż ci się należy (*rzucá mu kieskę z dukatami*); ale się nieważ ani słowa wymówić, któreby się ściaęało do osiągnięcia ręki tego bóztwa ziemskiego, jeźli niechcesz, ażebyś obok twoich piéniędzy życiem przypłacił. — Masz piéniądze, ale serca nie masz. — Możeszże pomysléć, że twoje wszystkie skarby wystarczą na opłacenie téy ręki? — Człowieku! maszże ty sumienie? — Nie sąż to także ludzie? I na tóż to odebrałaś z darów Opatrzności więcéy majątku, ażebyś nim zatruewał bliźnich spokojność? — Zyskałaś więcéy, niż ci się należy: uchodź więcéy śpieszno, ażeby cię moja niedoścignęta zemsta.

DEL MARKO *na stronie, wáżąc kieskę na ręce.*

Szatan jakiś gadá przez niego! — Zyskałem tyle, że łatwo ustąpić mogę ubogiéy dziewczyny. — (*głóśno*) Życzę Państwu dobrego szczęścia w téy tak romansowéy miłości, i nieprzebranéy skrzynki złota (*odchodzi*).

KAROLINI.

Nie uydiesz ty moję zemsty zakamieniały zbrodniarzu! —

S C E N A XII.

Ci sami, prócz DEL MARKA.

MARGRABINA.

Daruj Panie naszemu pomieszaniu! — Jakże ci má-

my dziękować— jak sobie to wszystko wytłómaczyć?—
Osobliwsze Pana zjawienie się:— nędzny stán, w któ-
rym nás zastałeś:— jego wspaniałość dla niezna-
jomych:— wszystko to daje mi prawo, ażebym się o je-
go nazwisko zapytała.

KAROLINI.

Kto já jestem?— okoliczności niedozwalają mi tego
wyjawić.— Lecz spoyrzyj mi Pani w oczy, i niech
Panią Margrabinę tym czasowo zaspokoi to wyznanie,
że jestem Karolo Karolini, uczciwy człowiek, który
córkę Pani kochá i pozyskać jéy serce pragnie.

MARGRABINA.

Osobliwszym sposobem starasz się Pán o rękę córki
mojéj:— przez kupno, jak o towar.

KAROLINI.

Jeżeli pozyskám serce córki Pani Margrabiny: nigdy
wzmianka w ustach moich niepostoi, jakim mi sposo-
bem szczęście do osiągnięcia jego dopomogło.— Juli-
jo! mogeż się od Pani spodziewać wzajemności?

JULIJA.

Naléganiem swoim chcesz Pán korzystać z naszego
pomieszania.

KAROLINI.

Ażeby tym łatwiéj zniewolić serce Pani— Julijo!
odpowiedz mi otwarcie: mogeż się od Pani spodzié-
wać miłości?

JULIJA.

Jeżeli Pán tym jesteś, kim się bydz zdajesz.—

KAROLINI.

O jeżeli tak, to już mojemu szczęściu nie nieprze-
szkadz!— Dziś jeszcze stanie przedślubny zapis.—
Kochaná Matko! odtąd nabyłem prawa do tak sło-
dkiego nazwiska, racz się Pani udadz do Albirona No-
taryjusza, i rozkáz mu jmieniem mojem, ażeby się tu
w wieczór o godzinie dziewiatéj stawił.

MARGRABINA.

Pán kázesz rozkazywać Notaryjuszowi.

KAROLINI.

Wymień mi Pani moje nazwisko; a on będzie po-
słusznym.— Muszę się teraz na chwilę oddalić. Po-
winnością jest moją wszystko wszędzie widziéć i sły-
széć. Sposób życia mojego jest jedyny, ale oráz tru-
dny i niebezpieczny. Wielkiéy potrzeba sztuki, aże-
by, siejąc miłość i postrach z obojga tryumfować.—
Julijo! wkrótce moja náymlszá Julijo! bywáy zdro-
wá; a to pocałowanie ręki niech będzie zadatkem
przyszłego małżeństwa naszego.— O ta chwila bę-
dzie dla nás zawsze náyśłodszém wspomnieniem!—
Tym czasem, náydroższe dla serca mego, bądźcie spo-
koyne mi, i miéycie ufność w Karolo Karolinim.

*(Śpieszno wychodzi,— chwila zadziwienia,— zastona
zapadá).*

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

SCENA I.

Pokój Albirona Notaryjusza.

MARGRABINA *sama.*

O jak przykre są dla mnie te odwiedziny, które tu odbydź muszę! — Waham się między bojaźnią i nadzieją. — Może mię będzie umiał objaśnić Notaryjusz: czy przepaść, do której nas Karolini prowadzi, nie większą jest od téj, z której nas wyrwał.

SCENA II.

NOTARYJUSZ ALBIRONO i MARGRABINA.

NOTARYJUSZ ALBIRONO.

Nigdy człowiek wypocząć nie może! — Sława o biegotości mejéj zgromadza mi zewsząd klientów, jak zapach pieczystego muchy. — Zarzucony mnóstwem spraw, jak wół w jarzmie pracować muszę. — Cóż tam nowego, Mościá Pani? —

MARGRABINA.

Jestem Margrabina Amalija de Kanetolo. —

ALBIRONO.

Była to niegdyś znaczna, bardzo znaczna familija; — ale teraz — Panie zmiłuy się! —

MARGRABINA.

Nie po tom tu przyszła, mój Panie! ażebyś mi takie gadał rzeczy.

ALBIRONO.

Czegóż więc potrzeba? — Tylko krótko, zwięzle, każdy moment jest u mnie rozporządzony, każda godzina już zakupioná.

MARGRABINA.

Córka moja má bydź dziś zaręczoną: zięć mój każał mi tu jśdź. —

ALBIRONO.

Wac Pani godny zięć?

MARGRABINA.

I Wac Panu jmieniem swoim rozkazać, ażebyś się Wac Pán dziś o godzinie dziewiątéj w domu moim stawił do zapisu.

ALBIRONO.

Co, co? — on mi każe rozkazywać? — To bydź nie może: — musiałem się przestyszyć.

MARGRABINA.

Nie! — te były jego wyrazy.

ALBIRONO.

A to niesłychaná, okropná rzecz! — Mnie sławnemu, światłemu, wysoce uczoneму Notaryjuszowi — mnie miałby kto rozkazywać! — Mnie nikt nierozkazuje. Dają mi naprzód wielkie summy: proszą z największą uniżonością: a mimo to wszystko nikomu nie-

przyobiecuję, że pewno przybędę. — To rzecz nad moje pojęcie!

MARGRABINA.

Proszę mieć wzgląd na moję delikatność, i nierozwodzić się tak w mowie. — Zdaniem mojem było, że trafię na mędrca; — alem się mocno zawiodła; gdyż prawy mędrzec nigdy niezapomina, że umiarkowanie náypiérwszą jest zasadą mądrości. (*chce odéyść*)

ALBIRONO.

Jeszcze jedno, Mościá Pani! — Jak się nazywá jéy tak grzeczny Pán zięć, który mi káże rozkazywać? — ażebym mu pokazał, gdy się z sobą gdzie zeydziemy, kto má prawo rozkazywania.

MARGRABINA.

Nazywá się Karolo Karolini.

ALBIRONO *drżąc z przestachu.*

Jak? słyssałżem já dobrze? — Ach przezacná Margrabino! racz Pani jeszcze ráz wymienić jego nazwisko — jak się on nazywá?

MARGRABINA.

Karolo Karolini.

ALBIRONO.

Jak? — Ka-ka-ka-ro-lo Karolini?

MARGRABINA.

Tak jest.

ALBIRONO *na stronie.*

Poty na mnie biją z bojaźni! — (*głośno*) Łaskawá Pani! racz Pani Margrabina jeszcze chwilkę zabawić.

Bytność Pani w domu moim jest dlá mnie náywiękším szczęściem! Proszę pokornie, racz Pani usiądź, i daruy moję nieroztropności. — Jest to moją wrodzoną wadą, którę często żałować muszę. — Héy! Dzijakomo, Paulo! moje galowe suknie — perukę z lokami! — Maryjano! kawy, czekolady, ciást! — Rozkáz Pani, Margrabino! czém mám służyć.

MARGRABINA.

Ale Panie Albirono! — zkądże ta odmiana? — Czyż jedno nazwisko może mieć tyle mocy, ażeby wyniosłość mędrca tak uniżyć zdołało?

ALBIRONO.

Nie, Margrabino! wszystko, co czynię, jest moim obowiązkiem i powinnością. — Proszę Pani jak náypokorniey, ażeby Pani Margrabina niewspominała o tém, jak Panią z początku przyjąłem. Wyjawienie tego mogłoby mié náyniejszcześliwszym uczynić.

MARGRABINA.

Czémże, podług zdaniá Wać Pana, jest mój zięć?

ALBIRONO.

Boże uchowáy! — tego wyjawić nie można.

MARGRABINA.

Rzecz niepojętá! — Przyydzieszże Wać Pán.

ALBIRONO.

Więcý niż pewno. —

MARGRABINA.

Do widzenia się. (*wychodzi*).

ALBIRONO *wyprowadzając ją.*

Náyniższy,— náyobowiązańszy sługa!— upadám do nóg!— Héy! Dzijakomo!— Paulo!— Maryjano!— galowe suknie, perukę z lokami!— Przysięgám, że od tąd nikogo nie będę przyjmował uczonym sposobem.

S C E N A III.

Noc. Teatr przedstawia uboczną ulicę miasta.

KAROLINI i LÓDOWIKO.

Obadwa w kolistych płaszczach z ukrytými latarkami przechodzą się.

KAROLINI.

Wszystko w náygłębszém milczeniu, náy mniejszy szelest nie mięszá spokojności.— Jescze on nie musiał przeyśdź.— Lódowiko! cóż ty tam robisz.?

LÓDOWIKO.

Liczę kamienie w bruku.

KAROLINI.

Z nudów — czy z bojaźni?

LÓDOWIKO.

Niczego się prawda nieboję;— lecz jle razy ten przekłety rozbójniczy ubiór wdzieję: przechodzi mi zawsze dreszcz po skórze.

KAROLINI.

Śliczny mi z ciebie towarzyszu!— *(Jeden podobnież kolistym otulony płaszczem przybiegá, i powiada cóś*

Karoliniemu do ucha: po czém Karolini) Rozsuńcie się na wasze stanowiska!— To będzie piérwszy rozbój, który prawami jest upowáźniony (kilku w podobnych płaszczach rozbiegają się w róźne strony).

S C E N A IV.

DEL MARKO, i Ci sami.

DEL MARKO.

Co to za okropná ciemność!— Bodáyto latarnie po miastach wielkich!— O gdybym tylko już był w domu!— Przekłete wstępowania po drodze tak mię spóźniły.— Noc, podług mego zdania, jest wcale niepotrzebná. Tyle drogiego czasu, w którymby można co zyskać, trzeba przespać. *(chce odéyśdź).*

KAROLINI.

Z latarnią w jednéy a z pistoletem w drugiéy ręce zastępuje mu drogę.

A tuś osiwiáły zbrodniarzu!— Jednáy się z Bogiem!— Tu śmierć twoja!—

DEL MARKO.

Gwałtu!— zbóycy! rozbójnicy!— ratuycie!

KAROLINI.

Daremnie wołász.— Wszystkie ulice osadzone są ludźmi moimi.

DEL MARKO *kłękając.*

Miécie litość nademną!— Niech przynáy mniey rozpozyczone podbiérám piéníadze.

KAROLINI.

Na tamtym świecie będziesz się z nimi kwitował: teraz umierać musisz.

DEL MARKO.

Dziś tylko jeszcze darujcie mi życie! — Wybuduję dom dla ubogich sierót — z nikim się odtąd prawować nie będę.

KAROLINI.

Do wieży, Margrabino! — nieprawdaż, tak podobno brzmiał twój kilkakrotnie dziś powtórzony wyrok? — Tu odbierzesz za to nagrodę: — musisz umrzeć!

DEL MARKO.

Teraz dopiero poznaję, z kim mam honor mówić. — Jeszcze te wszystkie pieniądze mam przy sobie: — odbierzcie je na powrót: — darujcie mi tylko życie!

KAROLINI.

W takim razie zrobiona ofiara jest nieważną; bo niedobrowolną. — Jedną się z Bogiem! —

DEL MARKO.

Zlitujcie się! — ja dziś umierać nie mogę, chociażbym nawet był pewnym, że trzysta procento zarobię.

KAROLINI *do towarzyszków.*

Odbierzcie mu jego zdobycz! — (*pełnią jego rozkáz*) Nieprawy zysk niespłynie na potomka.

DEL MARKO.

Wszystko, wszystko zabierzcie, co tylko mam: — zostawcie mi tylko życie.

KAROLINI.

Wiy się, jak chcesz gadzino! nie uydiesz jednak z pod ręki mściciela.

DEL MARKO.

Niepozyskámże łaskawszego wyroku! — Z bojaźni saméy już nie żyję; a ta morderczą broń powtórnie chyba śmierć mi zadá.

KAROLINI.

Do wieży Margrabino! — Nędzniku! — niewarłeś tego, ażebym kaláł ręce w krwi twojéy! — Wstań, jdź i grzész: dopóki się miarka zbrodni twoich nie-przepelni: — dopóki cię zemsta, Náywyższego nie znáydzie, — a piekło z radością szatańską nie pochłonie!

DEL MARKO.

Náyłaskawszy Panie! dziękuję náypokorniéy! — (*podnosząc się, na stronie*) O jakże mi się ulżyło! —

KAROLINI.

Ta nauka powinna cię poprawić, jeżeli serce twoje w zbrodniach jeszcze nieskamieniało. — Ale pamiętáy! gdy cię powtórnie na podobný złapię czynności: nie uydiesz sprawiedliwéy zemsty! — To ci przysięgá Karolo Karolini! — (*odchodzi z towarzyszami*).

S C E N A V.

DEL MARKO, a późniéy i BARYDZIELLO.

DEL MARKO sám.

Karolo Karolini nazywá się więc ten poczciwy oszust, który tak wielkie płaci lichwy; a po tém je wráz

Tom II.

z kapitałem z pistoletem w rękę odbierać.— Poczekáy, poczekáy panicz! zapewneś niewiedziął, że ja jestem naczelnikiem policyi tutejszýy.— Łotr niegodziwy! takiego mię nabawił strachu, żem trzech zliczyć nie umiał.

BARYDZIELLO.

Kto tu tak późno na ulicy?

DEL MARKO.

O nájmiłszy Panie Barydziello, co za Anioł sprowadził cię tutaj!

BARYDZIELLO.

A to co?— Pán drżysz, jak liś na drzewie, i tak spocony jesteś, jak gdyby Pana kto w wodzie skapał.

DEL MARKO.

Zeyście się z Wać Panem w téy chwili jest dla mnie nájpożądańsze.— Wkrótce go dostaniemy, tego hultaja, rabusia, łotra niegodziwego, który tę całą okolicę strachem napełniá, a który się właśnie i na mnie porwał.

BARYDZIELLO.

Kto? Czárny Robert?

DEL MARKO.

On się práwda jnaczy nazwał; ale to jego sprawa.— Zbierz tylko Panie Rewizorze swoich ludzi; a opowiem Wać Panu cały przypádek.

BARYDZIELLO.

Ale gdzież go będziemy szukać.

DEL MARKO.

W domu Margrabiny de Kanetolo pewno go teraz zastaniemy.

BARYDZIELLO.

Co?— Ten szlachetny i cnotliwy dom miałby bydź przytułkiem takich łotrów?—

DEL MARKO.

Pójdź tylko Wać Pán; a sám się zaraz przekonasz.

BARYDZIELLO.

Ręczę Panu, że to bydź nigdy nie może. *(odchodzą)*

S C E N A VI.

Pokój Margrabiny de Kanetolo.

LAURA i JULIJA.

LAURA.

Kochaná Julijo!— Te po domach krążące wieści, i ten osobliwszy u wás przypádek— nabawiá mię niespokoynością.

JULIJA.

Gdyby ta piękna twarz jego tak była zdradná: natura chyba pomylić by się musiała w znakach swoich.

LAURA.

Opowiadają o nim osobliwsze przypádky.— To szlachetne jego postępkí:— to znowu sceny, na które się ludzkość wzdręgać musi.— Ráz się on nazywá Czárny Robertem, drugi ráz jnaczy.— Wszędzie go pełno:— odmieniá co chwila ubiór i znaczenie:— policyja omijá go zdaleka: żadná tajemnica utaić się przed nim nie może.

JULIJA.

A ten osobliwszy człowiek —

LAURA.

Jest rozbójnikiem. Ludzie jego włóczą się po kraju. — Wczoráy rano znaleziono na ulicy ciało młodego kupca Rassyniego okryte ranami pugiuałów.

JULIJA.

Do okropnych naprowadzasz mię wniosków. Drżenie mi sprawia opowiadanie twoje. — Ale gdzie się Matka moja tak długo zabawia?

LAURA.

Czyż same tylko nieszczęścia miałyby dla nás być przeznaczone? —

S C E N A VII.

Te Same i DOZORCA z kilkoma Służącemi, którzy wnoszą szkatulki i kufry.

JULIJA.

A to co? — Kogóż to szukasz mój Panie?

DOZORCA.

Piękný Julii de Kanetolo.

LAURA wskazując na Juliję.

Oto jest.

DOZORCA oddając jéy list.

Ten list wytłómaczy moje przyyście.

JULIJA czytá na stronie.

„Karolini posyła náyukochańszéy Julii ten mały

„ upominek dla przyozdobienia jéy w zbliżającym się „ dniu weselá: sám w krótce do niéy póspiesz.”

LAURA otworzywszy jednę szkatulkę.

Co za brylanty! — Na takie podarunki potrzeba Xięcia, albo — rozbójnika!

JULIJA.

Sama niewiem, co o tém mám myśleć lub mówić. — Postawcie te rzeczy. — Jak na nieszczęście nie masz matki mojej w domu. — Ktokolwiek jesteś człowieku! (*do Dozorcy*) jeżeli serce twoje umie czuć politowanie nad cierpiącą ludzkością, zaklinám cię! powiedz mi, kto jest ten, co takie bogactwa posyła dziewczynie, z którą się ledwie przed godziną poznał.

DOZORCA.

Jest to człowiek, — u którego te rzeczy są fraszkami: — jest to ten, od którego podarunki przyjmować można bez náymnieszéy bojaźni nadwerczenia cnoty lub sławy. (*poktoniwszy się z uszanowaniem, odchodzi*).

LAURA.

Jakiż má zamiár ta niedocieczona tajemnica — ta grubá zastona, za którą się tak troskliwie ukrywá.

JULIJA.

O te wszystkie bogactwa nie mają w oczach moich żadný wartości, dopóki dawcy dokładnie nie poznám!

S C E N A VIII.

MARGRABINA i Te same.

MARGRABINA.

Zkąd te kufry, i ta zgraja służących, którą spotkałam na wschodach?

JULIJA.

Oto jest list, kochaná Mamo!

MARGRABINA *przeczytawszy.*

Niedocieczoną zagadka!— W te kléynoty Królowá nawet niepowstydziliby się ubrać do ślubu.

LAURA.

Nieszczęśliwá ośmielá się w domu Pani szukać dla siebie schronienia i pociechy.

MARGRABINA.

Witám cię, kochaná Lauro!— Dom nieszczęśliwego jest zawsze przytułkiem dla nieszczęśliwych. Wspólnie opłakiwać będziemy los Rynalda.— Co sądzisz lubá Lauro o tak osobliwym zdarzeniu, które Julią dziś spotkało?

JULIJA.

Kochaná Mamo! Laura wzbudziła we mnie okropne myśli.

LAURA.

Przyjázń moja nie mogła zamilczć o tém, czego rozum z drżeniem dochodzi.— Postęпки Karoliniego

aż nadto wiele mają podobieństwa z rozsianými baśniami o czynach tułającego się tu herszta rozbóyników.

MARGRABINA.

Nie! to bydz nie może!— Notaryjusz Albirono wymawiał jmię jego z náywiększém uszanowaniem.

LAURA.

W ludziach jemu podobnych trudno jest czasem różnić bojaźni od uszanowania.

JULIJA.

Serce moje mówi za nim; chociaż go rozum potępia.

MARGRABINA.

Przy zaręczynach musi się przecież odkryć.

LAURA.

Biędny Rynaldo!— gdyby był wolnym:— jako bratu musiałby to wyjawić, co przed nami tai.

MARGRABINA.

Bóg łaskawy niezechce hańby Kanetolów! Pokładamy w nim ufność; a czekając, aż nám czas wszystko wykáże, pochlebiamy sobie, że Karolo Karolini szlachetnym jest człowiekiem.

JULIJA.

O jak chętnie zgadzám się na to zdanie!— gdyż bardzo drogim stáć się już dla serca mego ten miły zbrodniarz.

S C E N A IX.

NOTARYJUSZ ALBIRONO, i Te same.

ALBIRONO.

*W galowych sukniach, w peruce z wielkimi lokami,
z papierami pod ręką.*

Jestem do usług Jaśnie Wielmożny Pani Margrabiny! — Zachowanie jak náyściślejsze naznaczonego czasu, pierwszą jest zasadą mego urzędu.

MARGRABINA.

Dziękuję Wać Panu! — Pán młody dłużey się gdzieś zabawiá.

ALBIRONO.

O! on má wiele, a bardzo wáżnych zatrudnień. — (*do Julii*) Pozwól nadobná Panno młodá, ażeby uniżony twóy sługa do tak wielkiego szczęścia, jakie Panią spotyká, o błogostawieństwo jeszcze Boga prosił.

MARGRABINA.

Do tak wielkiego szczęścia mówisz Wać Pán? —

LAURA.

Czy tylko te tak pochlebne życzenia nie mają w sobie zdrady?

ALBIRONO.

Upewniám, że się nie omyli zostawszy Pana Karoliniego małżonką.

LAURA.

A ten Pán Karolini — jakąż posiada godność?

ALBIRONO.

Pst! — Zaczniemy o czém jnszém. — Czy nieścyszycie Panie w odległości hałasu?

MARGRABINA.

Práwda. — Lecz cóż się to má znaczyć?

ALBIRONO.

Jdąc tu Loretáńską ulicą napotkałem zgraję policyjantów i żołnierzy, którzy ku téy zmiérzali stronie. Del Marko był na jeh czele, gadał o rozboju i oszukaństwie, i jeżeli się nie mylę, upewniał jeh, że tego łotra w domu Jaśnie Wielmożny Margrabiny pewno zastanie.

MARGRABINA.

Cóż to za nowe bałamuctwo? — Panie Albirono! i Wać Pán jeszcze udajesz, że niewiesz, czém jest Karolini.

ALBIRONO.

Cóż to má do tego, że Del Marko jdąc od Pani został zrabowany? —

MARGRABINA.

Nikt w domu moim dziś niebył prócz Karoliniego. — Karolini więc musiał go zrabować.

ALBIRONO.

Wniosek Jaśnie Wielmożny Margrabiny jest bezasadny. — Jakiż związek może mieć Karolini i rozbóy.

LAURA.

Karolini jest hersztem rozbóyników.

ALBIRONO.

Czegóżby jeszcze o nim powiedzieć nie można?—
Lecz jeżeli to zrobił Karolini:— ręczę Paniom, że to
jest tylko żart— széry żart.— Trzeba jednakże drzwi
pozamykać: będzie on wiedział, kiedy przyysź.

MARGRABINA.

Julijo! káž drzwi zamknąć. — (*Julija wychodzi*).

LAURA *patrzac przez okno*.

Cała ta zgraja wychodzi teraz z poboczný ulicy
przy pochodniach i latarniach.— Cóż to za halastra!

ALBIRONO.

Del Marko jest na jch czele.— Jego wrzask słyhać
już zdaleka.— Przeklęty stary kutwa!

JULIJA *powracajac*.

Drzwi już zamknięte.— Między szmérem jdących
słyszałam powtórzających jmię Karoliniego.

ALBIRONO.

Przecudny żarcik!— Zabawną będziemy mieli sce-
nę!— Oni myślą, że go już w ręce dostali.— Cze-
kamy, i bądźmy ciérpliwymi:— Karolini nie uchybi
umówionego czasu.

(*Tu słyhać pukanie w bramę domu, wrzawa na uli-
cy coráz się wzmagá*).

DEL MARKO *krzyczy z ulicy*.

Dáy go katu!— Co za ostrożność!— Jakże się po-
śpieszyli z zamknięciem! Otwórz! albo drzwi wybić
kážę!—

MARGRABINA.

Taká zniewága jeszcze się domowi memu niedziała!—

ALBIRONO.

Bądź Pani ciérpliwą! Niech czyni, co mu się po-
dobá:— wkrótce on tego pożałuje.

DEL MARKO *na ulicy*.

Daléy! wybiycie drzwi, nim moje pochowają skar-
by!— Złapałiśmy ptászka!— Niebędzie on odtąd
niczyich krwawo zarobionych piéniędzy pożérá!—

JULIJA.

O Mamo, Mamo! Laura mówiła prawdę!—

LAURA.

Czyż nieszczęście domu tego niebyło jeszcze dosyc
wielkie, że go ten nędznik zjawieniem się swoim po-
większyć musiá!

(*Wtém kamién wlatuje oknem do pokoju, i gasi świecę*).

MARGRABINA.

A to co?

ALBIRONO.

Wiatr zgasił.— Káž Pani zaświecić.—

JULIJA

*Chce zamknąć okno; ale widzac wskakujácego Karo-
liniego*.

Wielki Boże!—

LAURA.

A to co?—

KAROLINI.

Dobry wieczór Paniom!— Czy zastałam już wszy-
stkich?

MARGRABINA.

Ta droga, którąś Wać Pán do nás przyszedł, usprawiedliwia nasze podejrzenie i rozsiáne o Wać Panu wieści.

KAROLINI.

Na czémże się to zasadzą Pani podejrzenie;— albo cóż to rozgłaszają o mnie te rozsiáne wieści?

JULIJA.

Że Pán jesteś roz-boy-ni-kiem.

KAROLINI.

Czémże mię jeszcze Panie niezrobicie? Którędyż miałem tu wniyść?— wszakże drzwi są pozamykane:— naturalnie więc zniewolony zostałem udadź się do okna.— Lecz powiedźcie mi Panie, co ta halastra tu u drzwi robi?

MARGRABINA z szyderstwem.

Po tak szlachetnym uczynku, któregoś Pán przez swoich sprzymierzeńców na Del Marku dokonał:— to pytanie beczelném jest w oczach moich.

KAROLINI.

Terazem w domu!— To lekkie ukaranie tak zakamieniałemu zbrodniarzowi bynajmniej niezaszkodzi.— Nie pierwszy on ani ostatni, który je z rąk moich odbiera.— Chłostać będę wszystkich jemu podobnych hultajów!— Postrach niecháy mię wszędzie poprzędzą, dopóki miłość i przyjázń ściészki życia mego kwiatami nieuścielą.— Káz Pani dadź jeśdź, kochaná Matko! podróż do Pań zaostrzyła mi apetyt.

JULIJA na stronie.

Co za szczególná spokojność wposród takiego niebezpieczeństwa!

ALBIRONO przy oknie.

Panie! tę hołotę należałoby odprawić.— Przynieśli dragów, i zamysłają drzwi wywazać.

MARGRABINA.

Teraz jest powinnością Wać Pana użyć tu władzy swojej.

KAROLINI.

Albirono! oto Wać Pán masz mój pierścień: pokáž go Barydziellemu: niech się tu z nim przezacny Del Marko pofatyguje.— (*Albirono odchodzi z pierścieniem*)— Jak widzę w niespokójność Panie wprawia moja tajemnica.— Wkrótce ją zrzucę tę maskę:— na ten czas zupełnie zaspokojonemi będziecie.— Spóśb życia mego jest szczególny.— Biada temu, kto by się ze mną równać powążył; a to, co posiadam, śmierć mi tylko wydrzec zdoła.— Siedmkroć zmienię w oczach waszych postać i nazwisko, a siedm razy mię niepoznacie;— ale gdy zrzucę tę maskę, która mię przed wami zakrywá:— na ten czas, upewniám Margrabinę, że mię Pani uzná godnym serca macierzyńskiego.

S C E N A X.

ALBIRONO, DEL MARKO, BARYDZIELLO i Ci sami.

DEL MARKO.

O to ten sám!— Chwyćcie go!— chwyćcie te-

go przeznaczonego Pana młodego, który tak wielkie płaci lichwy; a po tém je rozbojem odbiera.— Bierście! chwytajcie go!

KAROLINI.

Barydziello! — (*i powiada coś cicho Barydziellemu do ucha*).

BARYDZIELLO *z powagą do Del Marka*.

Panie Del Marko! uspokój się Pán, i jdz do domu.— Já zaręczam, że się Panu pieniądze powrócą:— one nawet są już w domu Pańskim. Jdz Pán, a zastaniesz je pewno.— Wprzód jednakże masz Pán tę zacząć familiją przeprosić, żeś jéy tyle zniewagi nie-roztropnością swoją wyrządził.

DEL MARKO.

Barydziello! — Rządca o tém wszystkim wiedzieć będzie! —

BARYDZIELLO.

Wiem já, komu się posłuszeństwo należy.— Prze-proś Pán zaraz wszystkich.

DEL MARKO.

Całe piekło, jak widzę, sprzysięgło się na mnie!

KAROLINI.

Precz ztąd osiwiaty zbrodniarzu! — Jdz, licz twoje pieniądze! — Przestraszenie cię blizką śmiercią było karą dla ciebie.— Ażebyś z mojej ręki umierał: tego niejesteś godzien.

DEL MARKO.

Przebacz Pani, Margrabino!

KAROLINI.

Precz niegodziwy! z grona tych szlachetnych osób:— obecność twoja zatruwá niewinne zabawy.— (*Barydziello i Del Marko kłaniając się z uniżonością wychodzą*. — *Chwila zadziwieniá*).

S C E N A XI.

Ci sami prócz DEL MARKA i BARYDZIELLEGO.

KAROLINI.

Jakże, Margrabino! odzyskałżem Pani zaufanie?

MARGRABINA.

Niémogę już więcéy wątpić.

KAROLINI.

Bogu niech będą dzięki! — Notaryjusz! weź się Wać Pán do swego obowiązku.— W tych tu papierach znaydziesz Wać Pán moje rozporządzenie: są one tak ważne, jak ostatniá wola umierającego.

ALBIRONO.

Oddaje piérścień wzięty w zaprzesztéy scenie, przyymuje papiéry; a przyérzawszy je w milczeniu.

To pismo przewyższá wszystkie nadzieje! — O jak szczęśliwą jesteś Pani matką! —

KAROLINI *przerywając mu*.

Przepisz Wać Pán ten zapis na dwie ręce, i oddáy jeden odpis zapieczętowany Pani Margrabinie.— Ten przy ołtarzu otworzony zostanie; a w ten czas znaydzie w nim usprawiedliwione zaufanie nagrodę dla siebie.

MARGRABINA.

Namieńże nam Pán przynáymniéy, czém jesteś.

KAROLINI.

Może tylko dlá tego, ażebyś się Pani wzdrégnęła, że wy-da-jesz córkę swojá.—

JULIJA.

Wstrzymáy się Pán — niewymáwiáy tego tak straszego nazwiska!

KAROLINI.

Nic já tu nieznáydúję tak straszego. — Káždy spósb życia má swoje zalety; lecz zdania ludzkie zawiśły od okoliczności. — Notaryjusz náylepszá jest rękoymiá uczciwości mojęy.

LAURA.

Do jakiegóž jescze stopnia skrytośc Pana posunie ciekawośc naszę.

KAROLINI.

I Pani, piękna Lauro! żáłować tego będziesz, żeś tak nieludzko o mnie sądziła. — Rynaldo będzie Pani męžem, — albo já postradám Juliję.

LAURA.

Osobliwszy z Pana człowiek! jak mozesz mi Pán tak śmiało to przyrzekać?

KAROLINI.

Ponieważ wiem, że dotrzymám. — O jeseze Pani nieznász mojęy czarodzieyskiéy mocy! — Na moje skienienie otwierają się zatarasowane drzwi więzien, kay-

dany opádają z niewolników; a wolnośc towarzyszká jest moją. Niewidzialnym práwda stać się niémogę; — często przecieź jestem tam, gdzie mię żáden z śmiertelnych niewidzi. — Gdzie się tylko zjawię, wszędzie zbrodniarze drżą z przestachu; a udręconá tryumfuje cnota. Jestem przyjácielem sprawiedliwości; godni zaś jéy słudzy posłuszni są rozkazom mojem. — Spuśc się Pani na mnie! Rynaldo wróci się Pani. — Teraz jđźmy do stołu; gdyź wkrótce znowu oddalić się muszę. — Julijo, Julijo! kochaszże mię ty szczerze? —

JULIJA.

Ach! bardziéy — niż Panu wyrazić zdołam!

KAROLINI.

A gdybym já též był hersztem rozbóyników? —

JULIJA.

J w ten czas nawet. — A chociaź nim Pán niejesteś: — sprawiedliwie jednak zasługujesz na to nazwisko: — w wydziéraniu bowiem serc jesteś mistrzem, i - mojejużés mi porwał.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

SCENA I.

Więzienie. Przy świetle lampy siedzi Rynaldo okuty.

RYNALDO *sám.*

O jakże się wleczenie wy nudne chwile! — a waszego żółtwiego kroku ani jęki nieszczęśliwego — ani dzięk ciężkich kaydan przyspieszyć nie może! — Te kilka godzin, które tu jestem: — o jakże długimi są dla mnie! — Siedzę okuty w łańcuchy jak zbrodzień — niewiedząc, co się dzieje z moją náyukochańszą matką i siostrą. — O Lauro, Lauro! — náydroższy skarbie życia mojego! — gdybym przynáyumniéy wiedział, co ty teraz robisz! — Wierność twoja pograżá cię zapewne w náyokropniejszý rozpaczy.

SCENA II.

Słychać zgrzypienie drzwi. Karolini udając dozorcę więzienia z siwą brodą i takiemiż włosami na głowie przynosi koszyk z żywnością. Przy wchodzeniu płasz mu się odwijá, i pokazuje bogaty jego oficerski ubiór, który zaráz zakrywá.

RYNALDO i KAROLINI.

RYNALDO *jeszcze sám.*

Czegoż jeszcze tak późno chcą ode mnie? — To skrzywienie zardzewiałych zawias tak okropném jest dla więźnia, jak wycie w bliskości wilków dla błądzącego po kniei.

KAROLINI.

Nieśpisz to jeszcze Rynaldo?

RYNALDO.

Komu smutek dokuczá: rzádko ten kiedy spoczywá.

KAROLINI.

Żal mi cię, kochany młodzieńcze! — Przyniosłem ci trochę jádła i starego wina: — posil się.

RYNALDO.

Starcze! siwy twój włos jest rękoymią dobréy chęci, chociaż się ona z urzędem twoim niezgadzá.

KAROLINI.

Nie sądź tak porywczo, młodzieńcze! — Nie jeden już żałował swójey prędkości. — Okoliczności rządzą człowiekiem; a postęпки jego od nich zależą. Nie jestem já z liczby owych ponurych moralistów, którzy osiodławszy nos zaśniedziałými okólarami, błędów tylko w bliźnim upatrują; — lecz doświadczyszý sám różnego już losu, i zagniony nieszczęściem musiałem przywdziać tę suknią.

RYNALDO.

Zawsze nieszczęśliwy znáyduje ulgę dla siebie w to-

warzystwie nieszczęśliwego. — Chcesz prawda posilić osłabione ciało moje; ale prócz tego, cóż mi więcej przynosisz?

KAROLINI.

Pociechę i nadzieję.

RYNALDO.

Teraz cię dopiero witam! —

KAROLINI.

Matka i siostra płaczą za tobą.

RYNALDO.

Nieszczęśliwe! —

KAROLINI.

Twoja Laura — dowiodła w czasie náyprzykrzejszý próby, że jest godną twéy miłości.

RYNALDO.

To jest dlá mnie náywiększą pociechą! — ale gdzież jeszcze nadzieja?

KAROLINI.

We mnie ją pokładáy, i wtém, co ci opowiem.

RYNALDO z *uniesieniem*.

O mów kochany starcze!

KAROLINI.

Te żelazne kaydany wkrótce się zmienią w kwiecie-
ste więzy miłości: — ta garść zbutwiały słomy na
weselne łoże: — zamiast przeraźliwego brzęku łańcu-
chów i skrzypienia zardzewiałych zawias obje się
o uszy twoje huczna muzyka; a w miejscu mnie zgrzy-
białego starca ścisnąć będziesz ukochaną Laurę.

RYNALDO.

O starcze! — nie masz względu na twoje siwe wło-
sy, i bezczelnie náygrawasz się z nieszczęśliwego!

KAROLINI.

Niech się Bóg ze mnie tak náygrawá przy mojm
skonaniu! — Chwila wybawienia twójego jest blizką;
ale nim ona nastąpi: — milcz i ciérp! —

RYNALDO.

Rzecz dziwná! —

KAROLINI.

Opowiem ci jeszcze dziwniejsze; ale nieprzerywáy
mi mowy. — Siostra twoja jdzie za męż.

RYNALDO.

Czy to bydź może? —

KAROLINI.

Dziś została zaręczoną. — Laura i Notaryjusz Albi-
rono byli świadkami. — Przyszły twój szwagier jest
możny człowiek: duchy i ludzie posłuszni są jego
skinieniom; a postać swoją odmieniá on podług upo-
dobaniá.

RYNALDO.

Któż jest tym tak osobliwym człowiekiem?

KAROLINI.

Oto já sám! —

RYNALDO.

Nieomyliłem się, starcze! że się tylko náygrawasz
ze mnie.

KAROLINI.

Powierzchność często nas zwodzi; a wnioski ludzkie tak są niedołęzne, jak i ludzie sami.

RYNALDO.

Pochylony pod ciężarem osmdziesiąt letniego wieku, tyżbyś miał być oblubieńcem — zaręczonym z Juliją de Kanetolo?

KAROLINI.

Tak jest, ja! — ja jestem twoim szwagrem, który ciebie z więzienia wybawi, i — twoich ukarze nieprzyjaciół.

RYNALDO.

Z całego serca chciałbym ci wierzyć.

KAROLINI.

Nie, ja z ciebie kaydán nie zdémę. — Niech cię z nich Laura uwolni. — Ona sama zatarasowane drzwi więzienia przebydź musi, ażeby cię z tego zatęchłego lochu prosto przed óttárz zaprowadziła.

RYNALDO.

Starcze! — Niepodobieństwo obietnic twoich zabija mię.

KAROLINI.

Straszną złożyłem przysięgę, że dopóty niezostanę mężem Julii, dopóki ciebie niewolnię. — Tym czasem, nim to do skutku przywiodę, bywaj zdrów, oducz się niedowiarstwa; a kochaj przyszłego szwagra twego. — (*wychodzi*).

S C E N A III.

RYNALDO *sám*.

Byłóż to we śnie, albo na jawie? — Czémkolwiek jesteś, duchem czy człowiekiem — zjawienie się twoje wyprowadzi mnie w nieprzebyty labirynt domysłów! — Głos jego nie był głosem kłamstwa: — a przecież — O Opatrzności; która wszystkim rzadzisz, i nas nieopuszczaj! — (*odchodzi w głąb więzienia*).

S C E N A IV.

Jzba w Karczmie. — Wchodzą do nię

ROBERT CZARNY i DEL MARKO.

ROBERT.

Jesteśmy więc na pożądaném miejscu! — Czegożś chciał ode mnie?

DEL MARKO.

Zamknijcie drzwi — ani się ustrzedz można — ten hultaj, o którym z wami mam pomówić, — jest synem pickła: — wszędzie go pełno! —

ROBERT.

Mówisz zapewne o sławnym Karolinim.

DEL MARKO.

Boże nieopuszczaj nas! — Właśnie o tym samym! — To, to jest —

ROBERT *prerywając mu*.

Sila jego większa jest od mojej: — z nim ja nie chcę mieć do czynienia.

DEL MARKO.

Wy z nim nic do czynienia mieć niebędziecie. Ułożyliśmy sobie piękny planik:— waszemy nam tylko pomocy potrzeba.

ROBERT.

Bardzo ciekawy!—

DEL MARKO.

On się pokochał w Julii de Kanetolo, i mówiąc po prostu — z gęby mi wydarł to dziewczę.

ROBERT.

Nie sprawiedliwszego uczynić nie mógł!— Któżby też pokochał taką małą twarz jak twoja!— Gdybyś wszedł pomiędzy dzieci: uciekałyby przed tobą jak przed straszdem.

DEL MARKO.

Ten żarcik jest dla mnie dowodem łaski waszemy, Panie Robert!

ROBERT.

Gdybym z tobą na prawdę zaczął mówić:— krwawym podobno oblałbyś się potem.

DEL MARKO.

Dajcie fukom pokóy!— F słuchajcie, łaskawco!— Dostaniecie złotko — obrączkowe — ważne złotko!

ROBERT.

Może tak ważne jak twoje grzechy, nieprawda?— za które tam (*wskazując do góry*) kiedyś djabelnie beczć będziesz!— O musi to być szatański zamiar, kiedy do niego aż mojemu potrzebujesz pomocy!—

DEL MARKO.

Jaką jest u was cena dziewczyny?—

ROBERT.

Za głowę pięknej dziewczyny płaci się u nas trzysta cekinów. Głowa Karoliniego warta tysiąc.— Hul-tajów takich — jak ty — bezpłatnie nawet sprzątam ze świata.

DEL MARKO.

Ale ja niczyjey niechęć śmierci.

ROBERT.

Czegóż więc?—

DEL MARKO.

Wykradź tylko macie piękną Julię!— Wszystko do tego już przygotowane.— Jutro o świcie będzie ona kochanka swego oczekiwać w tym lasku za swoim pałacem, który rzeka oblać. U brzegu stoi łódź. Na téj przewiezicie się z nią przez rzekę, i udacie się do okolic Otrantu.— Karolini będzie jey zapewne szukać; ale — spuście się z resztą na mnie.— Jak się on tylko oddali: rozkaże Rządca Laure gwątem przyprowadzić do siebie na zamek:— a tak, wszystko się udá podług naszey myśli.

ROBERT.

Ani twoje złoto, ani wszystkie skarby Rządcy Saluzyi nienakłoniłyby mię do tego łotrostwa; ale zemsta, którą Karoliniemu przysiągłem, a do której mi się teraz sposobność nadarza: zemsta mówię zniewala

Tom II.

mię do tego!— Wydrę mu jego szczęśliwość, i wtrączę go w przepaść utrapienia i zgryzoty!—

DEL MARKO.

O godzinie trzeciéy rano każdy powinien bydz już na swoim stanowisku.— Oto są pieniądze; (*daje mu kieskę z dukatami*) a za okup téy dziewczyny możecie się także pięknego spodziewać zysku.

ROBERT.

Zgoda!— Przystaje na twój szatański projekt;— ale to ci jeszcze raz powtarzam: że nie twoje pieniądze; ale — zemsta pobudza Roberta do pogrążenia Karoliniego.

DEL MARKO.

Zegnám wás!— W okolicy Otrantu wkrótce się z sobą zobaczymy.

ROBERT.

Ani mi się wąż pokazać na oczy; gdyż na twoję przeklętą małpią twarz bez zgrozy spojrzeć nie mogę. (*odwróciwszy się przesypuje złoto na ręce*).

DEL MARKO *na stronie*.

Jakże mi soli!— Niepróżny głos ludzi: kto wchodzi między brudy, sám się od nich brudzi.— Lecz dla interesu — czegoż się nierobi?— (*głośno*) Do widzenia się z wami, szanowny Panie Robercie. (*wychodzi*)

ROBERT.

Podłá duszo!— Łotr, jak ty, łotra nawet niego-dzien nazwiska!— Hey! towarzysze!— Andzielo,

Pietro, Lorenzo, Dzirolamo! schodźcie się! káźcie kilka dzbanów dadź wina:— napijemy się bracia!—

S C E N A V.

ROBERT, ANDZIELO, PIETRO, LORENCO, DZIROLAMO i wielu jnych Rozbóyników.

ROBERT.

Daléy, chłopcy! piycie żwawo jak dawni rycérze!— Spełniáycie kufel za kuflem!— Póki Robert żyje, nie-braknie wám na wino!—

ANDZIELO *trącając szklanką o szklankę drugiego*.

Uderzcie bracia!— Niech żyje nasz herszt!

WSZYSCY.

Niech żyje Robert Czárny!

ROBERT.

Dziękuję wám, waleczni towarzysze!— (*Podnosząc szklankę do góry*) Niech żyją wszyscy bracia nasi!—

WSZYSCY.

Niech żyją!—

PIETRO.

Wierność i posłuszeństwo hersztowi naszemu aż do śmierci!

WSZYSCY.

Aż do śmierci!

ROBERT.

Tak, ona tylko niecháy nás rozłączy!— Teraz powiedzcie mi, co tam słyhać nowego w mieście?— Nie zwietrzyliście tam gdzie jakiéy dla nás zdobyczy?—

LORENCO.

Mnie się zdaje, że zdobycz po leśnych gościeńcach byłaby dla nas dostarczającą;— radziłbym nawet, ażebyśmy się do kniei powrócili.— Niedaleko za miastem stoi tu szubienica:— jle razy sobie o nię przypomnę, za każdą razą przechodzi mi naksztáft febry dreszcz po skórze.

DZIROLAMO.

Bardzo słusznie mówi!— Hańbą byłoby nawet dla nas; gdybyśmy się między miejskich partaczów mieszałi.

ROBERT.

W téj smutnéj epoce oświecenia, od czasów Petrarki i Zygwarta nic więcéj dla rzemiosła naszego niepozostało, jak gęste lasy, w których przechodzący czasem bogaty kupiec, cały na jarmarkach zebrany zysk zostawić nam musi.— Powróćmy więc do naszych lasów!— Jednakże, towarzysze!— z gołémi przecieź rękami powracać niezechcecie.

ANDZIELO.

Cóż chcecie przez to powiedzieć?—

ROBERT.

Na niczém nam niezbywá, oprócz ładnych dziewcząt:— wykradniemy więc którą!

ANDZIELO.

Myśl przecudná!—

ROBERT.

Chętnie, jak widzę, przystajesz.— Ach! ta pęc tylu

mię już zmartwień nabawiła, że mi się zdaje, jż się sprzyięgła na moje nieszczęście. Ale teraz ani łzy, ani skamlenie nic mię już niewzruszy; chociażby mi litość do żywego doymować miała.

ANDZIELO.

Czyście sobie już taką upatrzyli; którą porwać mamy?—

ROBERT.

Czy nie zna który z was młodéj Margrabianki de Kanetolo?

LORENCO.

Siostry Rynalda, który nam był zaprzędany?— Zdaje mi się, że ją znam.— Prawda! widziałem ją kilka razy skradając się wedle jch domu. Ráz nawet gdym był przebrany za kramarza: kupiła jednę drobnostkę ode mnie:— a w ten czas przypatrzyłem się náyłepięj jéj anielskiéj piękności.

ROBERT.

Ta więc moją bydz musi, choćby się nawet całe piekło przeciw mnie oburzyć miało!

WSZYSCY.

Musi bydz waszą!—

ROBERT.

O godzinie trzeciéj zrana napadniemy jéj dom, i pokrępujemy wszystkich, którzy się tylko opierać będą; a pannę uniesiemy na brzég rzeki.— Lorenzo! ty się postarász o łodzie!— A po tém—

LORENCO.

Prosto z nią do naszych lasów!—

ROBERT.

Ty Pietro zamówisz konie w náybliższey wiosce.—
W jaskini Montenotte zeydziemy się wszyscy.— Piy-
cie chłopczy, żebyście ochoty nabrali.

Wszyscy trącając szklankami.

Niech żyje piękna Julijska de Kanetolo!—

ROBERT.

Daléy!— Jdźmy teraz!— Zobaczymy się w jaskini
Montenotte. *(odchodzą)*

S C E N A VI.

Ogród oblány rzéką. Noc, księżyc świeci.

JULIJA i LAURA.

LAURA.

To nocne powietrze może ci zaszkodzić, kochana
Julijo!

JULIJA.

On mié tu będzie szukał;— a gdyby mié niezastał—

LAURA.

Jest to piérwszą miłość: nie mám ci więc za złe
troskliwości twojéy.— Ach! i mój Rynaldo niezmr-
żył zapewne przez całą noc oka; a já przez całą noc
łzy za nim wyléwałam.

JULIJA.

Karolini przyrzekł ci, że go uwolni, i że ze mną
nie póydzie do ołtarza, dopoki tobie Rynalda niewró-

ci; a to— święcie ci dotrzymá; gdyż on mié kochá
niezmiernie.

LAURA.

Alboż mié przyrzeczenie tego awanturnika może za-
spokoić?— Czemuż on się nám nigdy w dzień niepo-
káże?— Dla czegoż tułá się u nás tylko po nocach?

JULIJA.

Zniecierpliwiász mié już twoją podeyrzliwością!—
Patrz, jak pięknie księżyc świeci; a pod czas tak pię-
knéy nocy, czyliż miłość nie má więcéy słodyczy niż
we dnie?

LAURA *szyszac.*

Prawda; a ten jednostayny głuchy szelest rzéki stó-
sownym jest włásnie do téy smętności, w którój twe
serce tonie.

S C E N A VII.

MARGRABINA i Te same.

MARGRABINA.

Nie miészáy się kochaná Lauro!— Rządca chce mó-
wić z tobą.

LAURA.

Nie zniosę oblicza jego!—

MARGRABINA.

Musisz kochaná Lauro!— Któż to wie: może w téy
chwili odniesie łza niewiasty zwycięztwo nad dziko-
ścią jego.— Złączymy się wszystkie, i błagać go bę-
dziemy o uwolnienie Rynalda.

LAURA.

Daremnne prośby— nie przedrą się one do serca jego.

MARGRABINA.

Już jdzie!— Przytomność i wytrwanie!—

S C E N A VIII.

DELLA ROKKA, DEL MARKO, i te same.

DEL MARKO.

Otóż wszystkie tutaj są razem!—

DELLA ROKKA.

Lauro!— gdzież ja to Wac Pannę znajduję?—

LAURA.

W domu, którybym rada nazywać moim; gdyż w nim mieszkał Rynaldo.— W domu szlachetnym, na któryś Pán wróż z zausznikami swoimi tyle nieszczęść zgromadził.

DEL MARKO.

Między tymi zausznikami zapewne się i ja znajduję: nieprawda?—

DELLA ROKKA.

Miałem się mu dać przebić— nieprawdaż Margrabinino?— tym sposobem byłbym zapewne dogodził całej rodzinie?—

DEL MARKO.

Życie jest rzeczą kosztowną!— Utraciwszy je raz— już się nieodzyska;— a on, Boże odpuść! tak chciał kłuc jak w błoto.

DELLA ROKKA.

Ja niepragnę jego zguby,— i owszem chcę go ocalić.

DEL MARKO.

A to łaska bez granic!

DELLA ROKKA.

Natychmiast kążę go uwolnić, powróci do swego urzędu i znaczenia.—

DEL MARKO.

Dalibóg!— taki postępek warty, żeby go w księgę wiekopomnnej pamięci wpisano.

DELLA ROKKA.

Od panny Laury zawisło życie i śmierć jego.

LAURA.

O gdybym go mogła uwolnić! z własnego nawet życia uczyniłabym natychmiast ofiarę.

DELLA ROKKA.

Nie, Lauro!— Wac Panna żyć powinna,— żyć dla mnie,— i mnie kochać.—

DEL MARKO.

Taką tylko fraszkę?— A to niesłychane dobrodzieństwo!—

LAURA.

Ten warunek pogardy nawet mojej niegodzien.

MARGRABINA *klęką przed Della Rokką.*

Łaskawy Rządco!— biędna matka, która pozbawiona syna, wystawiona została na ubóstwo i hańbę, czołga się u nóg twoich, Panie! na kolanach.—

JULIA rzuca się mu do nóg.

Nieszczęsna siostra, nie mająca w nikim dla siebie obrońcy, prócz tego dobrego brata, leży u nóg twoich Panie, i skrapia tę rękę łzami, którą jednem skinieniem czworo ludzi najszczęśliwszymi uczynić może.

LAURA.

Wstańcie!— do serca jego nieprzedrze się żadna prośba, żadna łza niezmięczy jego duszy.— Byłoby tylu nieszczęśliwych na tym kawałku ziemi; gdyby on zdołał żyć jnaczy?— Ale nie, nie masz miejsca, gdzieby nie narzekano na niego:— nie ma zakątka, któregoby nie zrosiły łzy przez niego wyciśnione.— Tu zniszczona rodzina walcząc zgłodem wzywa o pomoc Niebios:— tam uwiedziona i zhańbiona niewinność jęczy o zwrócenie spokoyności i szczęścia, które jęj wydarł.— O gdyby o tém Król wiedział!— Mów, z jakim czołem powążyłbyś się stanąć przed Jego Majestatem, gdyby się od ciebie tak szczęśliwych domagał poddanych, jakich tobie powierzył?— Na próżno chcecie zmięczyć to serce!— Przed takim czołwikiem na rusztowaniu nawet niezgięłabym kolana.

DELLA ROKKA.

Dobrze więc! samaś wyrzekła wyrok na Rynalda.

DEL MARKO.

Ey, ey!— nie należało przecie zapominać!—

LAURA.

Zapominać?— Czegóżby można, widząc was, zapomnieć?— Jedno na was spojrzanie aż nadto wy-

rażnie okazuje: czego się po was spodziéwać, i jak się z wami obéysdz należy.— Jeżeliście zamýsłili zniewolić serce moje groźbami:— zbłądziliście!— Jestem wolną Genueską dziewicą, i znam drogę do stolicy.— Wiédzcież o tém, nędzniki!— a odtąd— ani słowa.

DEL MARKO.

Eyże!— Żal po niewczasie, na nic nieprzydá się!

DELLA ROKKA.

A Wać Pani, Mościá Margrabino— czegóż się Pani ode mnie dopraszász?— Wszakże sławny Karolini, Wać Pani wszechwładny zięć, który jednem skinieniem zniża i podnosi góry, pewno Wać Panią ratować będzie.— Już co Wać Pani dom, ten na szczególniejszą zasługuje uwagę!— Wszystko to, co ja nienawidzę, má w nim przytułek dla siebie.— Barydziello męczarniami będzie zmuszony do wyznania: czém jest ten Karolini, który się wáży wydawać rozkazy!— A jeżeli się okáže tém, czém go bydz sądzę:— w ten czas dopiero uczujesz Wać Pani, czém páchną takie związki.

DEL MARKO.

Dám i já jemu za moje pokrzywdzenie!

MARGRABINA.

Proszę Panów, żebyście opuścili mój dom. Ustawy, pod których opieką zostaję, wolność mi w nim zabezpieczają; z tego zaś, co czynię, potrafię się usprawiedliwić.— Wielem się spodziéwała i po czasie i po sercu Pana:— zawiodłam się!— a dawne uprzedzenie

zostało utwierdzone. — Opuśćcie mój dom: dręczyć mię w nim nikt nie má prawa.

DELLA ROKKA.

Zostawione odtąd jesteście waszemu przeznaczeniu! — Chciałem wás ratować: — Wzgardziłyście moją pomocą: — teraz pognębię wás! — *(odchodzi)*

DEL MARKO.

Zginęłyście już, zginęły — bez nadziei nawet ratunku! — Żál mi wás — ale juaczéy byđz nie może. — *(wychodzi)*

S C E N A IX.

Te same, prócz DEL MARKA i DELLA ROKKI.

LAURA.

Otóż poszli, i szydzą z naszych łez i z naszego nie-szczęścia! —

MARGRABINA.

Już dlá nás jnnéy nie masz nadziei — tylko w Bogu — i w Karolinim.

JULIJA.

O Boże! — gdzież dotąd mój Karolini? — on nás niemylnie wybawi; gdyż we wszystkim, cokolwiek czyni, nadludzkie okazuje siły.

LAURA.

Słyszę jakiś szelest po tamtéy stronie rzeki — twój Karolini przybywá znowu uboczną drogą. — Coś się pluszcze w wodzie naksztált wiosł.

JULIJA.

Cóż się to zemną dzieje! — To gwałtowne poruszenie nic mi dobrego nie wróży.

(Gwar czyli pomieszane głosy słyszeć się dają. Głos domiosleyszy przywołuje Julię po jmieniu. Odgłos piszczałek towarzyszy temu wołaniu).

S C E N A X.

Te same, po tém ROZBÓYNICY.

JULIJA.

To mój Karolini! —

GŁOS.

Julijo! zbliż się do brzegu! —

JULIJA.

Já tu jestem! — Karolini! — gdzieżeś ty? —

(W tém wypadają nágle rozbóynicy z domu: — jedni rzucają się na Margrabinę i Laurę, i wiążą je: — drudzy wynoszą sprzęty, — jnni chwytają Julię, i zatykają jéy usta. — W téy saméy chwili przybijá kilka łodzi do brzegu, i wśród następujących rozmów zanoszą zrabowaną zdobycz wraz z Julię na łodzie, i odpywają z póspiechem).

JULIJA.

Przebóg! ratujcie! —

MARGRABINA wyciągając ręce za Julię.

Ratujcie! — O moją córko! —

LAURA.

Zlitujcie się! — Toż to má bydź dziełem Karoliniego! —

ROBERT.

Daremnie wzywacie Karoliniego! — on się teraz śmieje z waszych jęków. — A co, chłopcy! macie już dosyć? — niezapomnieliście czego? —

ANDZIELO.

Już wszystko na łodziach.

ROBERT.

Pożegnaj się teraz Julijo z twojém oyczystém gniądem: — już go ty nigdy oglądać niebędziesz! — W jakini Montenotte czeka na ciebie juny Karolini. — Daj żywo! — odbijajcie od brzegu! — (*odpływają*)

SCENA XI.

KAROLINI i te same.

KAROLINI *wchodzi zadyszany i pomieszany.*

Wszystko spustoszone — służący pokrepowani — cóż to má znaczyć? — Julijo, Julijo! — (*Wtém spostrzegá Margrabinę i Laure*) Wielki Boże! — Margrabino! Lauro! — gdzież jest Julija? — (*rozrywá na nich więzy*) Dłá miłości Bożkiéy! gdzież Julija?

MARGRABINA.

Poczwaro! tyranie! powróć mi moją córkę!

LAURA.

Zrzuciłeś teraz maskę! — Jmie twoje było jch hasłem!

KAROLINI.

Mámże się przebić w oczach waszych? — Kobiéty! wy mię do szaleństwa przyprowadzicie. — Powiedźcież mi, — co się stało? — Tu nadużyto jmienia mego. — Bóg będzie sędzią między mną i wami; jeżeli waszém niedowiarstwem spóźniecie chwilę ratunku!

MARGRABINA.

Nic że Pán o tém niewiesz?

KAROLINI.

Wszakże mię Pani widzisz rozpaczającego! — Rzuć się w odmet téy rzeki; jeżeli mi Pani nie powiesz, jeżeli jescze powątpiewać będziesz! —

LAURA.

Niekazałżeś Pán Julii, ażeby go o téy godzinie czekała w ogrodzie? —

KAROLINI.

Já o tém nic nie wiem. —

LAURA.

Rozbóynicy napadli nás, powiązali, porwali Julija, i odpłynęli z nią na łodziach.

KAROLINI *zapędziwszy się ku rzéce.*

O dlá czegóż nie mogę po tobie suchą za nimi pędzić nogą, i ją ratować! — Nieszczęśliwá godzino! czyż-żem się mógł ciebie kiedy spodziewać! — Julijo, Julijo! — ten cios dlá serca mego jest nieznośny! — Lecz nie czas teraz narzékać! — Ratunek i zemsta, zemsta i ratunek jedyną niech będą myślą! — Nic to! — nowá myśl robi mi nadzieję. — Wczoráy widziano Del

Marka, jak się skradął do téj już dawno podęzrzanéj szynkowni pod wilkiem. Był tam i Robert czarny. Zgraja łotrów jego gotowała się do podróży.— Margrabinio! już mamy Julię!

MARGRABINA.

Jeżeli ją wyratujesz: czém kolwiek jesteś, rozbójnikiem czy żebrakiem, będzie twoją.

KAROLINI.

O Boże, udziel mi twojéj pomocy!— Wynądę ją, i chociażby ją nawet ukryli w pasczy wulkanu albo w náygłębszych jaskiniach Ameryki: muszę ją wynaleźć, muszę wyratować!— i za jednym zachodem zniszczyć to obmierzłe gniazdo rozbójnicze; a powrócić spokój i szczęście Saluzyi.— Miłości! ty mię prowadź, ty mię wspieráy!— Wy się módlcie;— gdyż albo mię zobaczycie z Julią,— albo nigdy. (*odchodzi. Zastona zapadła.*)

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWĄRTY.

SCENA I.

Jzba w karczmie taż sama, co w trzecim akcie.

LÓDOWIKO ubrany po podróżnemu i DEL MARKO.

DEL MARKO.

To więc z Palermu jest ten Pán wexlárz,— i dokądże on jedzie?

LÓDOWIKO z szyderstwem.

Do Turcyi.— Jeżeli gdzie dostanie hultajów: to się jm zaraz uszy i nosy poobrzyná, i na wieczne czasy do wiosel poprzykuwá.— Matpy zaś, które chwytá po drodze, rozsyłá po świecie dlá widowiska ciekawych.—

DEL MARKO.

Hm! to on ludźmi handluje!— Zyskownyc to handel!—

LÓDOWIKO.

Zysk karmi, zysk odziéwá, zysk panoszy ludzi: zysk czasem i do podłych czynności pobudzi.

DEL MARKO.

Ale słyszałem, że sprzykrzywszy sobie z nim ludzie, chcieli go zrzucić w morze:— byłaby wielka szkoda!

LÓDOWIKO.

Cóż robić?— tym tylko sposobem można się czasem łotra pozbydź.— Ale wiesz Wać Pán co?— Pán mój potrzebuje pieniędzy.

DEL MARKO.

Trudno, bardzo trudno o to!— Domągają się teraz bezsumiennie wielkiéy lichwy— ludzie niémają Boga w sercu.

LÓDOWIKO.

Zdaje mi się, że już Pán mój jdzie.

DEL MARKO.

Ciekawym bardzo, co z sobą zrobimy.

S C E N A II.

KAROLINI *w kolistym płaszczu, za nim czterech ludzi otulonych podobnemi płaszczami, i Ci sami.*

LÓDOWIKO.

Pán Del Marko oczekuje rozkazów Pańskich.

KAROLINI *zrzucić z siebie płaszcz.*

Tu łotrze, tu się sprawisz!

DEL MARKO *na stronie, przelękniony.*

Otóż mász!— znowu temu djabłu wleciałem w szpony!

KAROLINI.

Weźcie na cél tego náywiększego łotra, a káždy gdzieindziéy;— żáden zaś niech się niewáży mierzyć mu w serce lub w głowę:— Jak tylko nie— lub niewiem wymówi: wszyscy od razu pálcie do niego.— Niech rozpaczá, niech pragnie śmierci; a nieznáyduje jéy!— Panie Del Marko! ostrzégám zawczasu:— ludzie moi są wybornymi strzelcami: káždy z nich o piéćset nawet kroków wystrzeli ci kulá talara z pomiędzy palców. (*zamaskowani célują do niego*)

DEL MARKO *drząc.*

Czyż oni nie mają jnnego mieysca do popisywania się z swoją zręcznością, nie żeby do mnie biédnego strzelać mieli?—

KAROLINI.

Teraz wyznáy wszystko— wszystko, co tylko wiesz o Julii:— kto ją uwiózł?— dokąd ją uwieziono?

DEL MARKO.

Ale dlá Boga!— Mámże já o káždém łotrostwie wiedzieć!—

KAROLINI.

Jedno wymówienie się,— jedno zaprzeczenie na moje pytanie:— już po tobie!— W mgnieniu oka potrzaskają w tobie, nędzniku! wszystkie kości.— Gdzie jest Julijska?—

DEL MARKO *drząc.*

Już wszystko wyznám — niech tylko odstawią ode mnie te strzelby;— bo ani słowa niezdolám wymówić z bojaźni.

KAROLINI.

Odstawcie! — (*zamaskowani pełnią jego rozkáz*)
Teráz szczerą — pierwszą może w życiu twojem prawdę! — tu przynáymniéy nad grobem twoim wyznáy prawdę.

DEL MARKO.

Robert ją uwiózł. —

KAROLINI.

Kto go najął do tego łotrostwa? — Nieodpowiadász? —
Mierzcie! — (*zamaskowani składają się do Del Marka*).

DEL MARKO.

Stóycie! — Já — z namowy Rządcy. —

KAROLINI.

Dokąd ją uwięziono? —

DEL MARKO.

W jaskini Montenotte będzie dziś nocować.

KAROLINI.

Cóż się miało stać po tém?

DEL MARKO.

Laura miała bydz gwałtem wziętą na zamek. — Już nic więcéy nie wiem. — Na wspaniałość Pańską, zaklinám Pana: — káz mié Pán już puścić!

KAROLINI.

Nie na tém koniec, kochanku! — Ani krokiem z tego domu niewyudziesz — tylko prosto na rusztowanie. — A jeżeliś jedno słówko powiedział kłamliwe: to wzywáy miłosierdzia Bozkiego; gdyż nikt tego nie ciérpiął, co dla ciebie jest zostawione. — Lódowiku! two-

jéy straży powierzám náywiękšy skarb życia mego: ten oto (*wskazując na Del Marka*) wyrzut rodzaju ludzkiego, dopóki się o rzetelności zeznania jego nieprzekonám.

LÓDOWIKO biorąc go pod rękę.

Póydź, póydź stary hullayku! — Zabawimy się z sobą. — Dla rozrówki będziemy wáżyć złotko, i liczyć procenta, które — na tamtym świecie masz płać.

KAROLINI.

Franciszku! ty donieś o wszystkim Pannie Margrabiance Laurze de Montaldo. — A teráz śpieszmy, śpieszmy do Montenotte jak chmura, która niesie grzmo-ty. Jdzie tu o Juliją! — Kto mi dziś náymnieszczą czyni przysługę: zyská prawo do serca mego; — a w náy-srožszéy burzy losów, jeżeli ta kiedy na niego napa-dnie, niech się udá do mnie, u mnie on znáydzie po-moc: — krwi nawet mojęy dla niego żáłować nie bę-dę. — Uderzymy prosto na tę wilczą jamę, zburzymy ją; — Juliją i Xięztwo Saluzyi wyrwiemy z rąk roz-bóyników. — Daléy, dzieci! — Śpieszmy do náychlub-niejszéy walki za miłość i szczęście. (*odchodzą*)

S C E N A III.

Wszród lasu górzystego widać w skale jaskinię: przed nią ognisko, przy którym leżą.

ANDZIELO, PIETRO i LORENCO.

ANDZIELO.

Czy słyszycie płacz w jaskini? — ta biédná dziewczyna jeszcze się nie utuliła.

PIETRO.

Uspokoi się ona náydaléy za dwa lub trzy dni.— Są to zwyczajnie ostatnie zabytki po rozstaniu się z ulubionym przedmiotem.— A po tém, gdzieżeśto widział małżeństwo bez zawiści,— a rozstanie się bez płaczu?

ANDZIEŁO.

Práwda, wszak i karczmarz wczoráy płakał, gdy się mu przyszło z koniem rozstać.

LORENCO.

Opowiedzże nám, jak się to stało z tym koniem.

ANDZIEŁO.

Przechodząc wedle karczmy na krzyżowych drogach, wstąpiłem do niéy. Karczmarz tamteyszy, zwyczajnie jak wszyscy karczmarze, człowiek rozmowny wdął się ze mną zaraz w gawędkę, i naturalnym sposobem zaczęliśmy także mówić o Czarnym Robercie i szatańskiéy zgrai towarzyszów jego.—

LORENCO.

Dalibóg! gdyby nás niebyło: o czémby téż tyle próżniaków rozmawiało?—

ANDZIEŁO.

Opowiadałem mu szczególniejsze przypadki leśnych awantur naszych. Nakoniec zwróciłem mowę do koni, i oświadczyłem, że właśnie chciałbym sobie jednego kupić.— Mój dobry karczmarz zaprowadził mię do stayni, i w długich perorach zaczął się rozwodzić z pochwałami własności i przymiotów káżdego ruma-

ka swego w szczególności.— Mówię mu, ażeby náylepszego osiodłać kazał dlá przejechania.— Stało się.— Wsuwám się na konia i w náywiększym cwale wypadám za wrota.— Wytrząszył nieborák za mną oczy, i jeszcze niémógł pojąć, co się święci; ale gdym się od niego już znacznie odsunął, i z śmiechem zawołał: „Czárny Robert kazał ci podziękować za konia!”— w ten czas on dopiéro w płacz!

LORENCO.

My to ludzi uczymy rozumu!— Upewniám, zaczm ten karczmarz pozwoli komu przejechać konia, káże on wprzód dobrze pozamykać wrota.

PIETRO.

Nasz herszt jdzie — w złym chumorze — to nowe towarzystwo cóś mu nie do smaku.

S C E N A IV.

ROBERT, JULIJA i Ci sami.

ROBERT z *przymileniem*.

Uspokóy się Julijo!— Przecież nie jestem tygrysem, niepożrę cię.

JULIJA.

Jdź sobie do współnika łotrostwa, do tego niegodziwego Karoliniego!— O já nieszczęsná, żem mu zawierzyła!— żem go tak pokochać mogła!—

ROBERT.

Mám honor znać Pana Karolo Karoliniego:— on także lubi wolne życie!—

JULIJA.

— Domyślałam się wprawdzie tego; aleń się z pewno-
ścią dowiedzieć nie mogła. — Teraz dopiero otwie-
rają mi się oczy, że mię on uwięzić kazał, i że ty jego
towarzyszem jesteś!

ROBERT.

Już co w tém, bardzo się mylisz.

JULIJA

O Boże! tobie niech będą dzięki, jeżeli się rzecz má
jnczący:— jeżeli mój Karolini nie jest rozbóynikiem.

ROBERT.

Twój Karolini?— będziesz go sobie chyba w mo-
jéy osobie wyobrażać.

JULIJA.

Poczwaro! możnáz z tobą porównać anioła?— Mo-
żeszże wymagać, ażebym ciebie wzięła za niego?—

ROBERT z dzikością.

Czemuż się do tego ludzie— a szczególniéy płec two-
ja przyczynić musiała?

JULIJA *czule*.

Biédny człowieku!— byłeś zapewne nieszczęśliwym
w miłości:— zawiodło cię zaufanie w cnocie:— a zgry-
zoty zatruiły całą szczęśliwość twoję?— Ale także już
straciłeś nadzieję znalezienia cnoty,— że targasz náy-
świętsze związki ludzkości,— i że jesteś sám dla sie-
bie niesprawiedliwym?—

ROBERT.

Dziewczyno! wzbudzász we mnie uczucia, które já
w sobie przytłumić usiłuję.

JULIJA.

Żál mi cię!— Ale cóż cię pobudziło do tego, żeś
mię z łona matki, z łona przyszętego małżonka mego
uwiózł?— Myśliszże, że tym postępkim ulęczysz
rany duszy twojéy, i że ci tę nową zbrodnię ludzkość
potrafi darować?—

ROBERT.

Dłá mnie już wszystko straconę, i tak blizki jestem
przapaści;— że mię od niéy nic odwiędz nie zdoła.—
Ale cóż robić?— Już się stało!— Nie jeden já na
świecie, którym stargał związki ludzkości, którym
się wyzuł z długów obywatelstwa, i którym się zrzekł
tych świętych praw, które mnie natura wraz z życiem
nadała; ażebym używał rozkoszy i słodyczy życia to-
warzyskiego.— Gdybym ci opowiedział historiją ży-
cia mego: pewny jestem, że choć mię z gruntu nie-
nawidzisz, czuła jednak dusza twoja niezniosłaby te-
go:— zapłakałabyś nade mną.— Prawa przyjaźni i
miłości były niegdys drogiemi dlá serca mego.— Za-
kochałem się szczerze w pewnéy piękny dziewczynie;
a ta niegodziwá zawiodła mię!— Przyjáciel mój,
któremum w zapalczywéy bitwie życie ocalił, które-
gom włásnym kosztem wyléczył, któregom po tém
przez długi czas w domu moim chował i żywił, z któ-
rym wszystko dzielić gotów byłem: ten był moim
zdráycą!— Napadłem jeh na występku, i w pier-
wszym zapale utopiłem szpadę w piersiach wiaroło-
mnego przyjaciela.— Chwila ta była chwilą rozstania
się mego z ludźmi. Tak sprawiedliwą zemstę nazwano

zbrodnią. Musiałem uciekać przed karą, którą mię ustawy krajowe wszędzie ścigały.— Bojaźń ta połączoną z przekonaniem niezasłużony hańby, jaką mię okryto, przytłumiła we mnie do szętu wszystkie uczucia ludzkości:— wpadałem z występku w występpek, ze zbrodni w zbrodnią:— nieszczęście i rozpacz zgromadziły mi towarzyszków: i ja— zostałem— rozbójnikiem.

JULJA.

—Żał mi cię biedny Robercie!

ROBERT.

Któż mi teraz powróci moję wesołość?— kto tyle lat nędznie straconych?—

JULJA.

Zacznij dobrze czynić;— a wdzięczność wszystko ci wynagrodzi.

ROBERT.

Przestańmy o tém mówić, Julijo!— ty, jak widzę, zmiękczyłyś mię potrafiła.

JULJA.

Niemaszże już dla ciebie żadnego ratunku?—

ROBERT *odwracając się.*

Andzielo! rozkaż ludziom, ażeby się gotowali do podróży.— Niech ponapawają konie:— pojedziemy!—

ANDZIELO.

Czegóż herszcie tak jesteście smutni?

ROBERT.

Posępnością najsładnię zarazić się można.— (do

Julii) Julijo! zaniechaj twój smutku!— Czas namyslenia kończy się dla ciebie w kniejach Otrantu:— tam albo zostaniesz moja, albo —

JULJA *na stronie.*

O Boże! w tobie tylko i w Karolinim pokładam nadzieję ratunku!

S C E N A V.

KAROLINI *w ubiorze chłopskim*, DZIROLAMO i Ci sami.

DZIROLAMO.

Herszcie! ten chłop dopraszał się koniecznie, ażeby z wami mógł mówić.

ROBERT.

Szczególniejszy człowieku! ty jesteś pierwszy, który mię szukasz, gdy tym czasem wszyscy zdaleka mię omijają.— Czegóż żądasz ode mnie?

KAROLINI.

Ratunku, náytaskawszy Panie!— Jestem náynie-szczęśliwszy!— Grad wybił mi w przeszłym roku zaisiwy,— nawałność zmulila mi winnicę; a nieużyty ekonom domaga się po mnie bezwzględnie zwyczajnych czynszów i danin. Winienem do skarbu dwadzieścia cekinów; aże jeh nie mam z kąd zapłacić: chcą mi zagrabić mój dziedziczny kawałek ziemi, i sprzedadź na zapłacenie dęgu.— O Boże! zmiłuy się nade mną! ty tylko widzisz niewinność moję!—

JULJA.

Dopomóż mu Robercie, jeżeli możesz.

ROBERT *podając kieskę.*

Oto masz Julijo trzydzieści cekinów! — Daj mu; gdyż ja sam osobiście niechęć nic czynić dobrego.

JULIJA.

Neż wam, dobry staruszk! — weźcie te pieniądze, jdzcie i zapłaćcie, coście dłużni skarbowi; a jak wam czas pozwoli: niezapomniacie o ratunek dla mnie nie-szczęśliwéy westchnąć do Boga.

KAROLINI *odbiórając kieskę, na stronie.*

Nieturbuy się Julijo! — Karolini jest niedaleko ciebie. — (*głośno*) Zawsze się za was modlić będę, piękna panno! — Zawsze będę wzywał dla was błogosławieństwa Bożkiego!

ROBERT.

Jdz starcze! już mię nudzisz.

JULIJA *na stronie.*

O Boże! — to on! — Żeby mię tylko to gwałtowne bicie serca nie wydało! — (*głośno*) Jdzcie już, jdzcie staruszk; gdyż i my wkrótce ztąd ruszymy: — nie-prawdaż Robercie?

ROBERT.

Tak jest, natychmiast. — Dalej chłopcy, zbierajcie się! —

KAROLINI.

Jeszcze raz Bóg wam zapłać! — (*odchodzi*)

JULIJA *na stronie.*

Zbliża się już chwila wybawienia mego! — O Boże, niewypuszczaj go z opieki twojej!

S C E N A VI.

Ci sami prócz KAROLINIEGO i DZIROLAMY.

ROBERT.

A co, Julijo! czy jesteś teraz spokojniejszą uszczęśliwiwszy tego starca?

JULIJA.

Twarz moja náylepszym jest świadkiem, o jle spokojność moja powiększoną została.

ROBERT *z dzikością.*

Przekłęcie! — Zrzekłbym się teraz wszystkich skar-bów świata; gdybym wiedział, że niemi zdołam od-kupić te czasy, w których po wykonanym dobrym u-czynku wesóły i przyjemny uśmiech twarz moję záy-mował, a dusza náyśodsza poita się rozkoszą! — O! to były dla mnie prawdziwie święte czasy!

JULIJA.

Chciéy tylko; a one powrócą.

S C E N A VII.

DZIROLAMO i Ci sami.

DZIROLAMO *na stronie do Roberta.*

Herscie! jesteśmy zdradzeni. — Ten chłop nás wy-słodził, który tu był przed chwilą. Zrzucił z siebie maskę; a ja z trudnością tylko zdołałem mu uciéc. — Mnóztwo strzelców sypie się zewsząd śpiéwając i wy-krzykując. — Karolini i Julija, Julija albo śmierć jest hasłem jch okrzyków. — (*W tém słyszc się dają w od-*

ległości wystrzały karabinowe) Ołóż się już, z nimi pierwsze nasze spotykają czaty!

ROBERT.

Daléy braciá!— wy, którzyście mi potyle razy przysięgali wierność aż do śmierci: teraz czas! teraz mié o niéy przekonáycie!

WSZYSZY w *dziękiem zamieszaniu*.

Zdrada! zdrada!

ROBERT.

Andzielo! ty zaprowadź Juliją do jaskini, i tam jéy strzeż.

JULIJA *na stronie*.

O Boże! wysłucháy modły moje!— (*wchodzi do jaskini. Andzielo z dobytym pałaszem staje przed jaskinią.— Wrzawa się zbliża: słyhać odgłosy trąb myśliwskich i coráz gęstsze wystrzały*).

ROBERT.

Z rozpaczą teraz bić się musimy!— Kto nié má ochoty walczyć do śmierci: ten zaraz niech się oddali!— (*wchodzi na wyższe miejsce, a obejrzałwszy się*) Przeszło po trzech wypadá jch na káżdego z nás;— lecz kto nieprzyjáciela liczy:— ten już pobity!— Lepiéy, braciá! że legniemy we wściekłym zapale bitwy, niż żeby nás mieli na rusztowaniu liczný ciekawych zgrai wystawić na widowisko.— Chcecież się bronić do ostatniego? (*złazi z tego wywyższenia*)

WSZYSZY.

Bronić! do ostatniéy kropli krwi będziemy się bronić!

ROBERT.

Daléyże!— Jdźmy doświadczyć szczęścia!— Kto herszta kochá, ten jdzie za nim!

WSZYSZY.

Na śmierć nawet jdziemy wszyscy za tobą! (*wywiją ją pałaszami*).

ROBERT.

Dobycszy pałasza śpieszy z rozbóynikami drogą prowadzącą przez skały.— Tym czasem Karolini w ubiorze strzeleckim na czele strzelców zachodzi jm tył wedle skały. Drugá część strzelców przedziérá się z drugiéy strony przez krzaki i bezdroża. To spostrzegłszy Robert, wracá z kilkoma bronić przystępu do jaskini.— Tu żwawá wsczyná się bitwa.— W téy saméy chwili pokazują się także na skałach strzelcy walczący z rozbóynikami.

KAROLINI *śmiało naciérając*.

Poddajcie się! już jesteście otoczeni!

ROZBOYNICY.

Żáden!— żáden się nie poddá!

STRZELCY.

Karolini i Julija!

ROBERT *w groźném uniesieniu*.

W piekle wám ją oddám!

(*Strzelcy zaczynają przemágac rozbóyników, i po jednemu do poddawaniá się zniewalać*).

ROBERT.

Czyliż całe piekło sprzysięgło się dziś na mnie, ażeby mię pokonać!— O wściekłości dodaj mi siły i mocy!—

KAROLINI *naciągając na Roberta.*

Poddaj się!— Zaciętość twoja już ci się na nic nie przydą.

ROBERT.

Wpadł do jaskini,— wywłóczy Juliją za rękę, a wywijając nad nią pałaszem.

Jeżeli nie pozyskam ułaskawienia:— natychmiast ją zabiję.

JULIJA *omdlévając.*

Zginęłam!

KAROLINI *pomiészany.*

Masz je!— Tobie i twoim towarzyszom przyrzekam ułaskawienie!— Oddaj mi tylko Juliją.

ROBERT.

Czyjém jmieniem przyrzekasz?

KAROLINI.

Z nadstawionym do odsieczki pałaszem zbliża się do Roberta, i powiada mu coś cicho,— po tém głośno

Przystajeszże na to?

ROBERT *puszczając Juliją.*

Towarzysze! poddajcie się, i dziękujcie przeznaczeniu, żeśmy się w jego dostali ręce!— On nam przyrzekł ułaskawienie.— *(Reszta walczących rozbójników rzucił broni).*

KAROLINI *ściskając Juliją.*

Tyś znowu moja!— O Julijo! dwakroć odkupioną nymilszą Julijo!— Któż się jeszcze powąży wydrzeć cię z rąk moich?

JULIJA.

Nieśmiem— niegodną nawet spojrzeć ci w oczy:— nowém przeciw tobie przewiniłam podejrzaniem.

KAROLINI.

Zapomniy przeszłości, gdy nam się szczęście teraz tak mile uśmiechá.— Dziś jeszcze sprowadzę na łono matki náyukochańsze dzieci.— Wracamy więc do miasta w tryumfie, wracamy z radością!— Kráj wolny od rozbójników, Julija w rękach moich!

WSZYSZY.

Niech żyje Wielki Karolo Karolini! *(odchodzą).*

S C E N A VIII.

Teatr się zmienia w przysionek więzienia.

LAURA *zakwefioną*, PRZEWODNIK *zakapturzony*, *potém*
RYNALDO.

LAURA.

Dokąd mię prowadzisz?— mów! ani na krok dalej nie pódę!

PRZEWODNIK.

Nic nie mówiąc oddaje jéj klucze, i pokazuje na drzwi więzienia.

LAURA.

Jeżeli się nie mylę — tu zapewne jest więzienie Rynalda. O Karolini, dotrzymujesz mi więc słowa!

PRZEWODNIK.

Potakuje jęć skinieniem głowy.

LAURA.

Rzuci się z radością do drzwi, a otworzywszy je, rozmowę następującą prowadzi udanym głosem:

Rynaldo!

RYNALDO *wychodząc z więzienia.*

Kto jesteś kobyto?

LAURA.

Jestem tą, która cię kochá. Przyszłam cię uwolnić. Oto są klucze od twoich kajdan: bierz i otwórz je sobie. — Nieprawdaż mój niemy przewodniku? —

PRZEWODNIK.

Potakuje głową i odchodzi.

RYNALDO *zrzuciwszy kajdany.*

Czém kolwiek jesteś, łaskawá jstoto! aniołem czy kobytą, powiedz: kto zlitował się nad losem moim? komu winienem wolność?

LAURA.

Możny, lecz tobie nieznanomy człowiek kazał cię uwolnić.

RYNALDO *na stronie.*

A więc ten zgrzybiały starzec niezwodził mię.

LAURA.

Mász jednakże wiedzieć o tém, że tylko pod warunkiem otrzymujesz wolność.

RYNALDO.

A to pod jakim? —

LAURA.

Mász się zrzec Laury i ustąpić ją Rządcy, któremu ona przed chwilą dobrowolnie oddała rękę.

RYNALDO.

Stóy, zdrayczyno! — Oddáy mi moje więzy! — Bez Laury niechcę bydz wolnym. — Nie, to bydz nie może, ażeby się Laura miała kiedy stać powolną dla Rządcy. — Mnie ona tylko jednego kochá.

LAURA.

Nie znasz jeszcze kobyć. — Jch gust co moment się odmienia.

RYNALDO.

Przestań miotać potwarzy; gdyż nadto dobrze znám szlachetne serce Laury.

LAURA *jeszcze udanym głosem.*

Zobaczymy.

RYNALDO.

Jażbym się miał zrzec Laury? — Nie, tego nieuczynię; chociażbym nawet wiedział, że mię już Laura nie kochá: — já jęć nieporzucę! — A chociaż zostanie małżonką Rządcy: — já przecieź kochać jęć nie przestanę: — do grobu nawet wierność jęć z sobą zanio-

sę.— Niech widzi stałą miłość moję: niech ją wynędnioną postać moja wszędy ściga!— Nie wyjde z więzienia.— (*zwraca się na powrot*)

LAURA *naturalnym swym głosem.*

Náyukochańszy Rynaldo!

RYNALDO.

Boże! cóż to za głos!— Lauro! moja náydroższą Lauro!— Czys to ty?—

LAURA *odstaniając kwef.*

Nie mylisz się— já to jestem, já drogi Rynaldo!

RYNALDO *ściskając ją.*

Znowu mi wolno przycisnąć cię do serca mego!— o Lauro!— znowu mię otaczają tve śnieżne ręce!— Słodki twój oddech mięszá się z moim,— znowu czuję to mocne bicie serca twojego!— Niejestże to tylko snem?—

LAURA.

Nie!— Laura ściská cię na jawie.

RYNALDO.

Ale któż cię tu przyprowadził?— Co znaczy to szczególniejsze zjawienie się twoje?—

LAURA.

Przyszły twój szwagier posłał mię tu. Na jego rozkáz oddano mi klucze od twego więzienia.

RYNALDO.

Jakież on má znaczenie?

LAURA.

Tego nikt nie wie.— Ale póydz, śpieszmy do stęsknionéy matki twojéy.

RYNALDO.

Z jakąż znowu rozkoszą zaczynam oddychać!— Zda je mi się, że się cały świat nowémi dla mnie przyodział wdziękami.

LAURA.

O Rynaldo! jleż já to rzeczy mám ci do opowiedzenia!— Los siostry twojéy nową tve serce napełni radością!— Lecz chodźmy, wyydzmy z tego siedliska nędzy i płaczu—

RYNALDO.

A śpieszmy do przybytku miłości szczęciá! (*wychodzą*).

S C E N A IX.

Pokój Margrabiny de Kanetolo.

MARGRABINA i ALBIRONO.

MARGRABINA.

Godzina za godziną upływá,— tyle już czasu przeszło;— a náymniejszý dotąd nie mámy wiadomości.

ALBIRONO.

Lecz to pewná, że się jéy przecieź doczekamy.— Oni mu nie uydą,— on jch wszędzie znáydzie.

MARGRABINA.

Niebyłeś oycem:— nieznasz więc téy zgryzoty, któ-

ra czuje serce macierzyńskie po stracie dwojga dzieci razem.

ALBIRONO.

Nie masz się tu o co martwić. Zginęły prawda; lecz zginęły dla tego tylko, ażeby się tym szczęśliwszemi znalazły.

MARGRABINA.

Daj to Boże!— Ach, jak to teraz głucho bez nich w domu moim!— O Albirono, nigdy tego Panu niezapomnę, żeś mię w najsroższym nieszczęściu mojem nieodstąpił,— i żeś mię w ten czas, gdy mię już wszyscy opuścili, sam jeden cieszył i rozweselał.

ALBIRONO.

Racz mi tylko Jaśnie Wielmożna Pani zalecić Karolinemu:— niczego więcej niebędę pragnął na świecie.

MARGRABINA.

Czyż ten Karolini nigdy niezrzuci maski, pod którą się przed nami ukrywá?

ALBIRONO.

W ten czas ją zrzuci, gdy dopnie zamiarów swoich:— i jle domyslać się mogę:— może jeszcze i dziś.

MARGRABINA.

A przecież jeszcze nie wracá.

ALBIRONO *na stronie.*

I na mnie już poty bijá!— Woláłbym náyawilszý sprawę zrobić wywód.

MARGRABINA.

Ale gdyby się spóźnił,— albo gdyby się za mylnym udał śladem:— o Julijo, Julijo! já bym tego nieprzeżyła.

ALBIRONO.

O tém ani myśleć nie náleży, żeby się spóźnił albo za mylnym udał śladem:— nigdy on jeszcze do zamierzonego niechybił celu.

MARGRABINA.

Słyszę jakieś stukanie.

ALBIRONO.

Ktoś jdzie do nás po wschodach.— Teraz, Margrabinó! pewnie się czegoś dobrego dowiemy!—

MARGRABINA.

Serce zaczyna mi bić gwałtownie:— czuję w sobie nadzwyczajną niespokojność:— czegoż jeszcze mám się spodziéwać lub obawiać?

S C E N A X.

Jednémi drzwiami wbiegá RYNALDO i LAURA, drugiémi KAROLINI i JULIJA, i rzucają się w objęcia matki.

RYNALDO.

Matko! já jestem wolny!

JULIJA.

O mamó, moja náyukochańszá mamó! já znowu na twojém łonie!

MARGRABINA.

Synu móý! córko moja!— teraz niech umrę— niech umrę w téy chwili náyśłodszý rokoszy!

ALBIRONO.

A co? niepowiedziałem Pani Margrabinie?

LAURA.

O Stwórco! —

KAROLINI.

Ty się cieszysz w téj chwili widokiem szczęścia cnotliwych! — Już się goście zgromadzają, już kapłan czeka u ołtarza: raczże już błogostawić Matko tém dwom parom, których losy zostały połączone w niebie. — (*Rynaldo i Laura, Karolini i Julija klękają przed Margrabina*).

MARGRABINA.

Tobie Karolini winnám wybawienie dzieci moich: przyymże więc rękę Julii; a Bóg niech cię tak pocieszą w pożyciu z nią, jak ty strapioną pocieszyłeś matkę. —

ALBIRONO *ociérając sobie łzy z ocz.*

Boże błogostaw. —

Zastona zapada.

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Pokój Della Rokki.

DELLA ROKKA i DEL MARKO.

DEL MARKO.

Kiedym się tą razą wywinął: — nigdy się już w tym podobne nie wdám sprawy, chociażbym nawet — i tysiąc pro cento miał zyskać. — A wszakże to oni właśnie jak do celu chcieli do mnie strzelać.

DELLA ROKKA.

Przekłęcie! — Wszystkie, ale to wszystkie zamysły moje zostały zniweczone!

DEL MARKO.

Nie darmo to jednak ludzie gádają, że z duchami zła sprawa.

DELLA ROKKA.

Wszystkie siły obrócę teraz przeciw niemu!

DEL MARKO.

Jakie siły? — Już się dla nas wszyscy zrzekli posłuszeństwa: — już nikt rozkazów naszych słuchać niechce. —

Tom II.

14

DELLA ROKKA.

Barydziellego zniewolę tórturą do odkryciá wszy-
stkiego.

DEL MARKO.

A wszakże Barydziello już wolny! — na własne o-
czy widziałem go na rynku.

DELLA ROKKA.

Wszystko, jak widzę, sprzysięgło się na moje nie-
szczęście! — Ale jeszcze to nic — jeszcze já jestem Rządzą.

DEL MARKO.

Jmię ci tylko jeszcze zostało, mój bracie! ale rzą-
dy twoje już się skończyły. — Karolini wytepił ro-
zbóyników; a lud wynosi go za to pod niebiosá; two-
je zaś jmię — stało się przedmiotem wzgardy u wszy-
stkich. — Nie ma co w bawełnę obwijac; — ale biada
nám, jak się to do Monarchy doniesie!

DELLA ROKKA.

O náymlszy Del Marko! — Tą tylko jeszcze razą do-
dáy mi rady; a ta niech będzie jaká chce: — chociażby
nawet była radą náywiększój rozpaczy!

DEL MARKO.

Chociażbyś mi dawał wszystkie skarby świata; to-
bym ci już niedoradzał. — Wszystko złe zawsze się
na mnie oprze. — Jeszcze się nikt do ciebie tak zbliżka
niezłoczył, żeby się koniec strzelby z końcem nosa twe-
go stykał; — a mnie to przekłete szczęście już dwa ra-
zy spotkało. — Dwa razy byłem o ciebie bliższym
śmierci niż życia; a za każdą razą taką okryto mię hań-

bą, jż wystawiony pod pręgierzem większój odnieść
bym nie mógł.

DELLA ROKKA.

Więcże to i ty chcesz mię już opuścić?

DEL MARKO.

Cóż to má do tego? — A po tém — już my się na
nic sobie nieprzydamy! — Gdzie szatan rządzić zaczął,
tam nasze rządy ustały.

DELLA ROKKA.

Niecnoto! — Sám wplątałeś mię w te sidła; a te-
raz, gdy się z nich wywiktać nie mogę, teraz mię po-
rzucasz.

DEL MARKO *z przekąsem.*

Zwyczajną nagrodą świata jest niewdzięczność. —
To piękne złotko, którym dla ciebie poświęcił: —
to niebezpieczeństwo już już spotkać mię mającój
śmierci, na którój się dla miłości twojój po dwakroć
naraził: — na june przecieź zasługiwałoby względy;
jle że za każdą razą nie na trzydzieści lát życiam so-
bie ukrócić.

DELLA ROKKA.

O bodáybym teraz mógł pęknąć z wściekłości!

DEL MARKO.

Życzylbym ci, przyjacielu, zażyć jakie lekarstwo,
ażebyś na żółciową niezachorował gorączkę.

DELLA ROKKA.

Haniebna tylko ucieczka może mię jeszcze ratować.

DEL MARKO.

I to już zapóźno.— Jle się domysleć mogę: pod dobrą jesteście strażą:— do zamku puszczają prawda káždego;— ale z zamku nikogo.

DELLA ROKKA.

A więc zginęliśmy bez nadziei ratunku.

DEL MARKO.

To fraszka!— gdybym był tylko moje piędzde poodbięrał; bo ja niebęde mógł nawet spokojnie u-mięrać, dopóki choć trzy grosze dżugu u kogo mieć będe.

DELLA ROKKA z rozpaczą.

Także więc zabrąłem nieszczęśliwy!— O jakżem był nieroztropny, żem ci tyle władzy nad sobą pozwolił!— a ty niegodziwy nadużyłeś powolności mo-jęj, i hytrém pobłażaniem namiętnościom mojem wio-dąc mię z niecnoty w niecnotę:— wydarłeś mi spo-koyność, szczęście i sławę.

DEL MARKO.

Móy Boże!— Czyliż podobną, ażebym ja to u-czynił?

DELLA ROKKA.

Ty, ty jesteś przyczyną wszystkiego!— Zabrąwszy sám w piekle po uszy, zwabiłeś mię do siebie, aże-byś mię z sobą w tę przepaść wciągnął.

DEL MARKO.

O tak!— teraz wszystko na mnie!— Ey, ey przy-jáciu! przecież się to tak niegodzi. — Tegom się po

tobie nigdy niespodzięwał.— Twoje szczęście bardzięj mię zawsze obchodziło, niż moje własne.— Niewdzię-czny! zawiodłem się na twojey przyjaźni.

DELLA ROKKA.

Milcz, zdrayco! jeżeli niechcesz, ażebym się tar-gnął na ciebie!— Twe wykrety i matactwa uwiodły niewinne serce moje!

DEL MARKO.

Kto niechce, ten się uwięsz nie dá.— Uspokój się, uspokój!— Jeszcze nás wyratują moje złotem na-pełnione szkatułki.

DELLA ROKKA.

Nędzná to ucieczka!

DEL MARKO.

Złoto má wszędzie oczy na siebie! i ten niezwy-ciężony Karolini musi przed tém bożyszczem zgiąć ko-lano, chociażby niewiedzieć czém był na świecie.

DELLA ROKKA.

Czémżeby był — jeżeli nie awanturnikiem.

DEL MARKO.

A chociażby był i czarownikiem!

DELLA ROKKA.

Może łotrem, — a może téż i szpiegiem.—

DEL MARKO.

Wiesz co bracie?— moglibyśmy go oddadź pod Sąd.

DELLA ROKKA.

Milcz! ten człowiek cnotliwszym jest od nás!

DEL MARKO z *uniesieniem*.

Piękną mi cnota! — buntować lud przeciw zwiérzchności, zachęcać go do nieposłuszeństwa ustawom, odciągać sług sprawiedliwości od pełnienia obowiązków —

S C E N A II.

LÓDOWIKO i Ci sami.

LÓDOWIKO.

Wchodzi nagle, i przerywá Del Markowi mowę

Mości Panowie! — Pán mój Karolo Karolini prosi Panów na wesele.

DELLA ROKKA *na stronie*.

Ta zniewága jest dopełnieniem jego zuchwalstwa. — (*głośno*) Przyjdziemy, ażeby nie sądził, że się go lękamy.

LÓDOWIKO.

Mám rozkáz, ażebym Panom towarzyszył.

DELLA ROKKA z *uniesieniem*.

Przecież może nie ze strażą.

LÓDOWIKO.

Coś podobnego.

DELLA ROKKA.

Kto jest twój Pán, że w zuchwalstwie swoim o-
tém nawet śmie zapominać, że jestem Rządcą? —

LÓDOWIKO.

Jest to człowiek, któryby tego nigdy nieuczynił, gdy-
by do tego nie miał prawa.

DEL MARKO *na stronie do Della Rokki*.

Pozwól bracie! może się nám udá, że go ułagodzimy. — (*głośno do Lódowika*) Wiész co, przyjácielu! wina, przedniego wina, Muskato di rifosko, które, jak ci wiadomo, rośnie poniżej wulkanu Wezuwiusza, wypijemy po kieliszku.

LÓDOWIKO.

W pewnych okolicznościach niezwykłem pijać wina.

DEL MARKO.

A to kiedy?

LÓDOWIKO.

Gdy mię niem taki częstuje, który więcéy má podobieństwa z łotrem, niż dwie krople wody między sobą.

DEL MARKO.

Mnie się zdaje, że się już znamy. —

LÓDOWIKO.

Tak jest — w owéy karczmie — gdzie to ów ku-
piec z Palermu. —

DEL MARKO.

Stój przyjácielu! człowiek ulegá różném okoli-
cznościom. —

LÓDOWIKO.

Jakże? — pójdziecież Panowie? — Zgromadzenie
już czeka.

DEL MARKO.

Darmo! — gdzie przeskoczyć nie można, tam pod-
léżć należy.

DELLA ROKKA.

Zobaczę przynajmniej, czy się duma jego przed godnością moją nie uniży, i czy będzie tak zuchwałym, ażeby się śmiał targnąć na mój urząd. *(odchodzą)*

S C E N A III.

Pokój Margrabiny.

MARGRABINA i RYNALDO.

MARGRABINA.

Jakże, mój synu? odkryłże ci swoje znaczenie?

RYNALDO.

Już wiem, kochaná Matko!— Teraz dopiero możemy się nazywać szczęśliwymi!— Niebo nadgrodziło nam sownie wycierpiane zgryzoty.— Świetność rodu naszego na ostatniy gałązce jego odrodziła się na nowo.

MARGRABINA.

Jm daléy, tém bardziéy wszystkiemu dziwić się muszę.— Pán Kolonna i Santa-Krocze, ci náywięksi Magnaci w kraju naszym, zaszczycają nás w téy uroczystości obecnością swoją; a wszyscy są dlá niego z náywiększym uszanowaniem.

RYNALDO.

Gdy mi prawdziwe swoje wymienił nazwisko, przejęty uszanowaniem oddałem mu mimowolnie pokłon. W tém przyskoczył, przycisnął mié do serca swego, i przyrzekł, że mi na niczém zbywać nie będzie.

MARGRABINA.

A więc i ty zadrżałeś przed jego jmieniem?— O nietayże już przede mną znaczenia jego!

RYNALDO.

Nié mogę wyjawić:— dałem mu słowo.—

MARGRABINA.

Więc milcz!— To rzecz niedopojęcia!—

S C E N A IV.

LAURA i JULIJA *w godowym stroju*, i Ci sami.

RYNALDO.

Julijo! staráy się coráz bardziéy podobać przyszłemu małżonkowi twemu:— szlachetnego zaiste dostajesz męża. Dola nasza zawisła odtąd zupełnie od szczęścia twojego.

JULIJA.

Czy wiesz już, czém on jest?—

RYNALDO.

Wiem.— O Lauro! kto by się mógł był spodziewać, że chwila szczęścia naszego tak blisko!

LAURA.

Cóż to za osobliwszy człowiek z tego Karoliniego!— wyrazić nawet nie umię, co dlá niego czuję!— Radabym się mu rzucić do nóg i prosić o przebaczenie, żem tyle razy tak nie ludzko o nim sądziła,— żem go nawet za rozbóynika poczytywała.

Tom II.

15

RYNALDO.

Wszystko już przeszło; a szczęście w całym blasku przyświeca miłości naszej. — O za prawdę! pojąć się nawet dziś nie mogę z radości!

S C E N A V.

MARGRABINA, LAURA, JULIJA, RYNALDO, KOLONNA,
SANTA-KROCZE i wielu jnnych Gości.

KOLONNA.

Pozwól Pani Margrabino! ażeby naprzód Pani, a po tém jéy godnéj córce jmieniem całego zgromadzenia tych świętych powinszował związków, w które dziś wchodzi.

MARGRABINA.

Niewiedząc dotąd, czém jest Karolini, tyle pokładam zaufania w życzeniach Jaśnie Wielmożnego Pana, że od téy dopiéro chwili związku córki mojej za świetne poczytywać zaczynam.

SANTA-KROCZE.

Niech Pani Margrabina będzie zupełnie o tém przekonana. — Ale gdzie nám się Pán młody tak długo zabawi? —

RYNALDO

Skoro się goście zeydą, będę miał honor zaprowadzić wszystkich do ogrodu; a tam — i on przybędzie.

MARGRABINA

Ale co Rządca powie, gdy się dowie o tém?

RYNALDO.

J on jest zaproszony, — będzie świadkiem.

KOLONNA.

Już co dlá niego dzień dzisiejszy pewno niebędzie uroczystością.

SANTA-KROCZE.

Zaiste nie! — Widok tryumfujący cnoty staje się zawsze goryczą dlá zbrodni.

MARGRABINA.

Já mu wszystkie przebaczam krzywdy, które mnie wyrządził.

LÓDOWIKO.

(Wchodzi, i powiada coś Rynaldemu do ucha)

RYNALDO do gości.

Czyjá łaska! — proszę teraz do ogrodu! — W krótcie zastona opadnie, i wszystko się wyjaśni, co dotąd zagadką było. *(Wychodzą)*

S C E N A VI.

Ogród przepysznie oświetlony. — W szrodku stoi na postumencie popiersie Julii przyozdobione kwiatami: obok postumentu po prawej stronie Amorek trzymający w rękach strzałę z naciągnionym łukiem, po lewej drugi, który gra na lutni: — na stopniach para karmiących się gołębi; a w szrodku postumentu napis transparentowy „MIŁOŚCI I CNOĆIE: —” dwanaście panien z girlandami z kwiatów otaczające ten widok za odezwaniem się muzyki zaczynają tańczyć. — Wcza-

się tego tańcu osoby tę sztukę składające przychodzą parami, i stawają w porządku: między niemi od przodu staje DELLA ROKKA i DEL MARKO. — Gdy taniec ustął:

DELLA ROKA *na stronie.*

Co za szlachetne zgromadzenie! — (*głośno*) Santa-Krocze! Kolonna! — to i Panowie tu jesteście! a gdzież jeszcze wielowładny Pán młody? —

KOLONNA.

Tak jest, i my tu jesteśmy z tém przekonaniem, żebyśmy nigdzie z większym dla nás zaszczytem znáydownać się nie mogli.

DEL MARKO *do Della Rokki.*

Jle to tu musieli na to wysypać piéniędzy! — Gdzie tylko spojrzysz, wszędzie widać rozrzutność, przepych i zbytek! —

DELLA ROKKA.

Tylko naczelnika do téy uroczystości jeszcze niedostaje. — (*do gości*) Zniewolony będę przeprosić zacne zgromadzenie, że mi Pán-młody będzie musiał naprzód na moje pytania odpowiedzieć!

DEL MARKO *na stronie do Della Rokki trącając go.*

Już co to, to zupełnie nie w swoim czasie. Pokora byłaby teraz náylepszą.

DELLA ROKKA *dumnie*

Czy nie widzisz, że go jeszcze nie ma? Może się już nawet (tknięty wyrzutami sumienia) wynióstł potajemnie z miasta.

RYNALDO.

Domysły Pańskie są mylne. W krótkce on Panu odpowie; ale odpowiedź jego będzie groźną.

DELLA ROKKA.

Bezczelny! a tobie kto się powążył otworzyć więzienie?

KAROLINI *otulony płaszczem wchodząc nagle.*

Já, já kazałem go uwolnić. (*do gości*) Szlachetne zgromadzenie raczy darować, żem się tu stawił nie w weselnym ubiorze.

DEL MARKO *na stronie.*

Jle razy go zobaczę za każdą razą przechodzi mi dreszcz po skórze.

DELLA ROKKA.

Teráz masz mi odpowiedzieć, o co cię jako Rządca zapytám.

KAROLINI.

Gotów jestem na wszystko odpowiadać tak że zupełnie zaspokojonym będziesz.

DELLA ROKKA.

Kto jesteś?

KAROLINI.

To pytanie zostów na koniec. Teraz pytáy się o co jnszego.

DELLA ROKKA.

Otóż to ten awanturnik, który przez podłe przekupstwa i matactwa dla tego tylko na swoją stronę przeciągá serca obywatelów, ażeby jeh tym sna-

dnię przeciw ustawom i jeh wykonywaczom oburzał, który się bezprzykładnym zuchwalstwem mnie i moim rozkazom sprzeciwił: — który zbrodniarzów z więzień wypuszczał: który się samowolnie za poszrednika między mną a pospółstwem narzucal.

KAROLINI.

Czy skończyłeś już? — Dobrze! — Teraz ty mnie posłuchaj! — Chociażbym nawet więcej był uczynił niż to, o co mię obwiniasz: mimo to byłbym jeszcze tak niewinnym; jak gdybym był nic nie uczynił. — Lecz gdyby tobie przyszło policzyć te łzy, któreś niewinnym wycisnął: — powrócić wszystkim tę spokojność, którym ją nielitościwá dłoń twoja wydarła: — gdyby ci przyszło ulczyć te rany, któreś zadał nieszczęśliwym w czasie urzędowania twego: nie dałbym ci na ten czas rozbóynictwa mojego za twój szumny tytuł rządcy. — Gdyś ty przemocą wydarł marnotrawił skarby: gdyś się poił łzami nieszczęśliwych: i gdyś się cieszył jękiem poddanych sobie: — w ten czas ja potajemnie nie jedno zaszczępiłem szczęście: nie jednę matkę wróciłem syna, nie jednę kochance oblubienicę. Przepędzałem bezsenne nocy: walczyłem z wichrami i niepogodą, narażałem me piersi na zdradzieckie żelaza rozbóyników: poświęcałem własną spokojność moję. — Nie raz schaubiony nazwiskiem zbóycy, niewinnie ścigałem na siebie złorzeczenia i przekleństwa; a to wszystko dla tego jedynie, ażeby się przedrzeć w náyskrytsze zakąty i odkryć prawdziwe źródło nęczy i ucisku Saluzyjanów. — Teraz mię masz przed

sobą; masz świadków moich czynności: teraz mię sądz!

DELLA ROKKA.

Kto cię upoważnił do tego, coś czynił?

KAROLINI.

Ludzkość uciśnioná — i Król.

DEL MARKO *na stronie*

Biada, biada nám teraz!

KAROLINI.

Oddaj teraz Królowi poddanych jego tak, jak ci jeh powierzył: — oddaj Mu jeh tak szczęśliwych i tak do Niego przywiązanych, jakimi byli!

DELLA ROKKA.

Kto jesteś, że się wazysz tak zuchwale do mnie przemawiac?

(*Tu stychac wystrzaly z armat i radosne okrzyki ludu*)

LUD *za kulisami*

Niech żyje Xiążę! — Niech żyje nowy Rządca! —

KAROLINI.

W szród tych okrzyków szrucá z siebie plasz, i staje w galowym Xiążęcym ubiorze

Jestem Xiążę Karolo Ossuna, Rządca Królewski tu przysłany, ażeby spokoj i szczęście przywrócił Saluzyjanom, a ciebie zasłużonęý wydał karze.

DEL MARKO *przykleknawszy przed Karolinim.*

Twój Panie uniżony sluga, piérwszy przysięga ci wierność i posłuszeństwo.

JULIJA *na stronie.*

O co za szczęście!

MARGRABINA *podobnież.*

Jakież wyrazy zdołają określić uczucia moje!

KAROLINI.

Della Rokko! Della Rokko! nie chciałem twojéj zguby. Nieznany od nikogo, sześć miesięcy przepędziłem w bliskości ciebie, i byłem świadkiem wszystkich postępów twoich, a gdzim się tylko obrócił: czy do náyokázalszych pałaców, czy pod náylichszą strzechę: — wszędzie znalazłem ślady niegodziwości twoich. — Słowem, nie znalazłem ani jednego ustroina, gdzieby ci błogostawiono; ale wszędzie narzékania i przekleństwa.

DELLA ROKKA *wskazując na Del Marka.*

Oskarżam tego niegodziwego: — on mię uwiódł, — on był do wszystkiego powodem.

DEL MARKO.

Jaśnie Oświecony Rządco! czy podobną, ażeby jemu wieżyć.

KAROLINI.

Wiem ją, komu mam wieżyć, a komu nie! — Obu dwóch was odeszłę pod sąd samego Króla.

DEL MARKO.

W cóż się teraz tyle skarbów obróci, które z taką skrzętnością zebrałem?

KAROLINI.

Káżesz sobie z nich ulać posąg, przy którym zdjęte z rusztowania ciało twoje pochowają: tym

sposobem uwiecznisz pamiątkę, gdzie zwłoki náywiększego łotra pogrzebane zostały. — (*Do służby swojéj*) Odprowadźcie jch! — Roberta sám będę sądził. — (*Służba wyprowadzą Del Marka i Della Rokkę*) — Teraz przezacne zgromadzenie pozwoli, żebym się ze wszystkiego wytlómaczył. — Król nasz Náyłaskawszy zarzucony mnóstwem skárg z tego kraju, uznał mię godnym zaufania Swego, nadał mi władzę nieograniczoną, i mianował Rządcą Saluzyi. — Nieznany tu od nikogo, częstą odmianę sukien i znaczenia osądziłem za náydogodnieysze do wysłedzenia wszystkich źródeł nieszczęścia publicznego, a mianowicie rozbóyników. Odmieniając więc co chwila ubiór i znaczenie tułałem się po kraju. Dla zyskania zaś w przypadku potrzebnéj pomocy, bez wyjawienia jednak tajemnicy, nazwałem się Karolo Karolini. Wszyscy doświadczeni Urzędnicy wyższéj rangi mieli pod sekretem udzielone, że ja jestem pod tym nazwiskiem; niżsi zaś byli mi posłusznymi; ale sami niewiedzieli, dla czego. Resztę każdy łatwo odgadnąć może.

JULIJA.

Jaśnie Oświecony Xiążę, łaskawy Rządco!

KAROLINI.

Cóż to za oschłe wyrazy! Julijo! Dopełnienie tego, co Karolini przyobiecął, świętym będzie dla Xięcia obowiązkiem. — Poznałem cię, — a miłość twoja, połączywszy się z powinnością stanu mego, dopełniła tego wielkiego dzieła. — Teraz śpieszmy do

ślubu!—Náyukochańszá Matko! błogostawieństwo twoje jest zasadą stałości przyszłego szczęścia naszego.

MARGRABINA.

Takiem krokom towarzyszy zawsze błogostawieństwo matek, i szczęście Nieba.

KAROLINI.

Julijo, drogá Julijo! Kochaná żono moja! — będziesz mi ty słodzić przykre obowiązki urzędu mego? — Znáydeż já przy tobie co wieczór miłe wytchnienie po trudach dziennych?

JULIJA.

Dłá ciebie tylko żyć pragnę!

KAROLINI.

Cieszcie się przyjaciele!—Náyuboższy nawet mieszkawiec Saluzyi niech wie, że dzień dzisiejszy jest dniem náywiększy uroczystości dlá Karolo Ossuny! — Dopóki zaś choć jeden nieszczęśliwym będzie ná tym małym kawałku ziemi: dopóty niespoczne w wyszukiwaniu takich szrodków, któreby rany jego zagoić i łzy osuszyć mogły; a oráz któreby dowodziły, jak o szczęście náylichszego nawet z podanych dobry Rządca troskliwym byđz powinien.

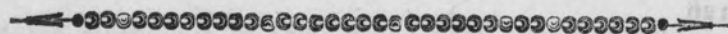
WSZYSCY.

Niech żyje nasz Rządca! — Niech żyje Xiąże!

Armáty, trąby, kotły słyszeć się dają: — zastłona zapadá.

KONIEC.

O PZEOBRAŻANIU SIĘ OWADÓW.



O PRZEOBRAŻANIU SIĘ OWADÓW.

RZECZ CZYTANA NA PUBLICZNYM POSIEDZENIU TOWARZYSTWA KRÓLEWSKIEGO WARSZAWSKIEGO PRZYJACIÓŁ NAUK DNIA 20. KWIETNIA 1826 R. I W TOMIE 19^{stym} ROCZNIKÓW TEGOŻ TOWARZYSTWA UMIESZCZONA.

Pomiędzy nąciekawsze przedmioty Zoologii należy nie mylnie sposób rozmnażania i przeobrażania się Owadów. Biorąc w ogólności, wyznać potrzeba, że owady lęgną się z jaj, które w wieku dojrzałości swojej składają, i że po wyjściu z jają trzem tak ważnym przeobrażeniom czyli przemianom podlegają, iż jeden i ten sam owad w tych trzech epokach życia swego nietylko zewnętrzną postacią, ale całą wewnętrzną budową ciała, sposobem życia i obyczajami jest sobie nie podobny. Wylęgą się z jają zwykle długą, mniéj więcéy okrągłąwą jstotą, którą stósownie do niedostatku, obecności i liczby nóg *Liszka*, *Wąsionką* lub *gąsienicą* nazywamy (*). Tę piérwszą epokę

(*) *Liszka* (*Larva, Larve*) má tylko sześć nóg, albo wcale jch nie má. *Gąsienica* (*Eruca, Chenille*) liczy nóg więcéy niż

O PRZEOBRAŻANIU SIĘ

O jakże ta rzecz mata wiele nám próbuje!
Bóg się większym w nąymniejszém rzeczy pokazuje.

Karpiński.

życia Owadu możnaby nazwać *wiekim żarłoczności* jego; gdyż w téj piérwszój postaci niedbając o jne cele życia, zajęty ustawiczném jedzeniem rośnie nadzwyczaj szybko. W téj epoce życia owady są największymi pustoszyicielami na ziemi. Nie masz ciała organicznego, któreby przed jch żarłocznością bezpieczne było, a pustoszenia jch tym śpieszniey stają się widoczne, ponieważ są między niemi i takie, które w jednym dniu trzy razy więcéy zjadają, niż same wążą.

Drugą epokę życia owada możnaby nazwać *wiekim przesyceńi*. Doszedłszy bowiem przyzwoitéy wielkości w piérwszój postaci swojej, przestaje jeśdź, wypróżnia z siebie wszelkie obce ciała i nieczystości, i przybiera postać zupełnie odmienną od piérwszój, którą stósownie do kształtu *Pupką* lub *poczwarzką* zowiemy (*) a w którój zwykle náy mniejszego nie widać podobieństwa z ową postacią, jaką w wieku dojrzałości mieć powinien. Stán przesyceńi Owadów jest oraz stanem jch bezwładności. Nie przyymują w nim żadnych pokarmów: co większą? mała

sześć a mniéy niż ośmnaście. *Wąsionka* (*faussechenille*) má ośmnaście lub więcéy nóg.

(*) *Pupka* (*Pupa*) nie má ani nóg, ani ruchu dowolnego ani téż podobieństwa z Owadem dojrzałym. *Poczwarzka* (*Chrysalis*) opatrzona jest nogami wyraźnemi, i zwykle przenosi się dowolnie z miejsca na miejsce. Są jednakże i takie poczwarki, które będąc nieruchome, mają wiele podobieństwa z owadami dojrzałemi.

tylko liczba má w tym stanie nogi i ruch dowolny; większą nierównie jłość niéma żadnych zewnętrznych członków, a nie mało nawet jest takich, które w téj epoce ani śladu życia nie okazują; gdyż pokryte są twardą jednostayną, rogową powłoką czyli skorupą.

Następuje w reszcie ostatnie przeobrażenie. Następuje stán dojrzałości Owada (*) Na dopięro opisany *Pupce* czyli bezwładnej jstocie pęká suchá powłoka, i wychodzi z niéy Owad w nowéj zupełnie (a gatunkowi swemu właściwéj) postaci; lecz wychodzi wilgotny, z wietkiemi, w tysiączne fáłdy i zmarszczki pomiętými skrzydłami. W krótcie osehł skrzydła wyprostował; a poczuwszy się na mocy, rzucá się w powietrze, i szuka dalszego przeznaczenia swego. Szuká towarzysza życia dla párzenia się z nim, i złożenia jáy na nowe pokolenie gatunku swego. Epoka dojrzałości Owada jest epoką náyokazalszój piękności jego. Jedne świetnością metalicznego połysku, drugie doborem pięknych i záy mujących kolorów w ubarwieniu, jne dziwaczością kształtów przyczyniają się nie mało do ozdoby i urozmaicenia świata. Ten jednakże stán jch świetności trwa bardzo krótko. Samec pospolicie zaraz po odbytém párzeniu się; samice zaś po zniesieniu jáy kończą zawód życia. Nie mają więc téy pociechy, ażeby potomstwo swoje oglądały, chociaż o nie tak

(*) Owád dojrzały, czyli zupełnie ukształcony nazywá się po łacinie *Imago*, albo *Insectum declaratum* albo *Insectum perfectum*.

są troskliwe, że zawsze w takie miejsca jaja swoje znoszą, w których wylęgłe liszki gotowy pokarm dla siebie znaydują. Od téy ogólney reguły wyjęte są tylko *Mrówki*, *Pszczoly* i jnne towarzyskie Owady.

Owady dojrzałe żywiąc sobą mnóstwo drobnych Ptaków, same są mniéy szkodliwe; mała bowiem tylko liczba odznacza się w tym stanie żarłocznością; więcéy nierównie znamy takich, które przestają na wysyssaniu náynieużyteczniejszych płynów. Co więk-sza? są nawet i takie między niémi, jak np. *Gziki* (*Oestrus*), które w stanie dojrzałości żadnych pokarmów nie potrzebują, bo otworu pyszka nie mają.

Czyliż wszystkie Owady podlegają trzem dopiero wymienioném przeobrażeniom? — Czy wszystkie w tychże przeobrażeniach jednakie, lub przynáymníey podobne kształty przybierają?

Nie podobną tego, co się wyżej powiedziało, zastosować w ogólności do wszystkich Owadów; bo zaraz dosyć pospolicity Owad; jakim jest *Mucha mięsna* (*Musca carnaria*) przychodzi na pamięć, że ta nie znosi jáy, ale wydaje z siebie liczne białe, robaczkowe liszki, które w lecie prędkiego psucia się mięsiv są przyczyną. Liszki te przeobrażają się późniéy w pupki, a z pupek wydobywá się dojrzały Owad tegoż gatunku. — Daléy przypominają się *Strzyżaki* (*Melophagus*), *Poczwarnice* (*Nycteribia*), *Psianki* (*Hippobosca*) i *Płacznice* (*Ornithomyia*), które nie znoszą jáy, nie lęgną liszek żywych; ale wydają z siebie po jednéy, a náywięcéy po dwie owalowate pupki, które w krótce po stwardnieniu pękają, i ży-

we dojrzałe Owady swego gatunku na świat wypuszczają. Nakoniec są i takie między Owadami, które od razu nietylko żywe i dojrzałe; ale co dziwniejszą? ze już zapłodnione z łona matek na świat przychodzą, i bez párzenia się po pięć pokoleń zapłodnionych samic co lato wydają. Z ostatniego przed zimą pokolenia tych samic lęgną się dopiéro samce i samice, które się párzą, i jaja noszą na przyszłoroczną, tak dziwnie zapłodnioną generacją gatunku swego. Témi osobliwszými jstotami są *Mszyce* (*Aphis*), które z psucia i szpecenia drzew i krzewów listkowatych powszechnie są znane.

Jeżeli z jednéy strony téy małej liczby dopiéro wymienionych Owadów przemilczyć nie można, które się pod ogólną ustawę przeobrażeń podciągnąć nie dadzą, tak z drugiéy strony wyznac potrzeba, jż pomiędzy témi Owadami, które się lęgną z jáy, i wszystkie trzy przeobrażenia odbywają, spostrzegamy tyle i tak wáżnych odmian równie w przybieranych postaciach, jak w sposobie samego przeobrażania się, jż niektórzy Badacze (a mianowicie *Swammerdam*) systematyczne podziały téy gromady na różnicach przeobrażeń ustanowić chcieli.

Przeysdz w krótkości wáżniéjsze przynáymníey odmiany w przeobrażeniach Owadów, i wytknąć náyciekawsze i náybardziéy jnteressujące postaci i obyczaje, jest celem niniejszéy rozprawy.

Ażeby w wykładzie téy rzeczy pewny zachować porządek, póydzimy następstwem rzędów i pokrewieństw o tyle, o jle te podobieństwem kształtów

w pierwszą epokę życia nąbardziej do siebie zbliżyć się dadzą, a zaczynając od takich, które w pierwszej porze życia swego nąymniej ukształcenia zewnętrznego okazują, postępować będziemy stopniami aż do takich, które w téjże epoce nąwięcej mają podobieństwa ze stanem dojrzałości.

Podług tego założenia *Owady Dwuskrzydłe (Diptera)* pierwsze zajmują miejsce. Oprócz niewielu wyjątków lęgną się one z jaj *Liszkami* w ścisłym znaczeniu. Lęgną się bowiem białe, miękkie, beztwardéj odznaczonyéj głowy, bez nóg i bez wszelkich jnych członków zewnętrznych. Mają kształt podłużny, albo walcowaty, albo walcowato-stożkowaty, albo wrzecionkowaty; a pyszek jch składa się zwykle z szępek krótkich hączykowatych. Z przyczyny takiego kształtu ciała znane są u pospółstwa pod ogólnym nazwiskiem *Robactwa*. O ile jednak podobne są między sobą zewnętrzną postacią, o tyle różnią się sposobem życia. Jedne albowiem żywią się gnojami zwierząt (a), drugie ściérwami i mięsiami wszelkiego rodzaju (b), jne podgryzają korzenie traw i roślin rozmaitych (c) jescze jne żyją

(a) Takiemi są naprzykład rodzaje Podścianka (*Myopa*), Swietnica (*Sargus*), Cuchna (*Scatophaga*), Gnoyka (*Elophilus*) i t. p.

(b) Takiemi są np. Ściérwica (*Thyreophora*), Mucha (*Musca*) i t. p.

(c) Takiemi są np. r. Mokradlec (*Nemotelus*), Pstroczka (*Ocyptera*), Cębulnik (*Eristalis*) i t. p.

wewnątrz źdźbeł zboża, i pustoszą zasiéwy rolników, (a) te toczą owoce drzew (b), owe gnieźdzą się w grzybach wszelkiego rodzaju (c); jne nakoniec wylągłszy się z jaj złożonych ukradkowo w gniaździe *Trzmiełów (Bombus)* pożerają miód, który właściciele gniaźda dla prawych potomków swoich skrętnie zbierają (d). Są nawet i takie między liszkami *Owadów Dwuskrzydłych*, które żyją w żywych *zwierzętach ssących* (e). Z tych jedne znáydujemy za skórą *zajęcy i wołów*, drugie w jch żołądku, jne w noszdrach *Owiec*, jne w kanale odchodowym *Koni*. Ostatnie tego rodzaju liszki znane są u pospółstwa pod osobnym nazwiskiem *Rupiów*. — Jakimże sposobem mogą się te liszki dostać do wyżéj wymienionych części ciała zwierząt? — Oto rzecz jest taká: matki jednych mające twarde, kończyste jajowody, przebijają niemi skórę wyżéj wspomnianém zwierzętom, i wkładają pod nią swe jaja. Z tych zaś, które mają jajowody miękkie, jedne przylepiają swe jaja do brzegów noszdry lub otworu odchodowego wzmiankowaném zwierzętom, a wylęgte z nich liszki wciskają się do przyległych otworów,

(a) Takim jest np. r. Zbożówka (*Oscinis*)

(b) Takim jest np. r. Owocówka (*Tephritis*).

(c) Takiemi są np. rodzaje: Grzybisz (*Mycetophila*), Bełdnica (*Sciara*) i t. p.

(d) Takim jest Utrzmiełnik (*Volucella*)

(e) Takim jest Gzik (*Oestrus*).

w których dopóty goscą, dopóki przyzwoitéy wielkości niedorosną: drugie matki przeciwnie przytwierdzają jaja do sierci bydląt na takich miejscach, które sobie lizać zwykły. Liżąc się bydlę, zlizuje i połyka zarody przyszłych wewnętrznych gnębicielew swoich.

ZnAMY w reszcie i takie gatunki Owadów dwuskrzydłych, których samice jnném żywém Owadom za skórę jaja swe wkładają. Wylęgte z tych jáy liszki robakowate żywiąc się sokami tak obarczonego Owada, dopóty w nim mieszkają, dopóki niedorosną. To zaś náydziwnieyszA, że noszący je w sobie Owad dopóty żyć nieprzestaje, dopóki wewnętrzni nieprzyjaciele jego wylazic z niego nie zaczną: co w ten czas dopiero następuje, gdy te jnnego miejscA do odbyciA przeobrażenia się szukać muszą. W ten czas śpiesząc z niego jedná przed drugA, przedzierają mu spojenia obrączek na cieie, i rozszarpują w kawałki żywiciela swego. Takiemi to są liszki *Muchy gąsienicznéy* (*Musca larvarum*), które niszcząc tym sposobem gąsienice wielu motylów, nie małą przysługę czynią ogrodnikom.

Jeżeli rozmnażanie się *Muchy gąsienicznéy* zdołało zająć uwagę naszą, legnienic się niektórych *Trykaczów* (*Conops*) w prawi nás pewno w náywiększe zadziwienie.—Przypatrzmy się tym *Trzmielom* (*Bombus*), owadom błonkoskrzydłém, które przelatując z kwiatka na kwiatek z náywiększą skrzętnościA miód zbierają, i do gniazda swego znoszą.—Cóż to má znaczyć? jeden z pomiędzy nich, który miodniki kwiatów z taką pilnością

przeglądał, jak gdyby się z jnnými współbraćmi o pierwszeństwo w troskliwości z bogaceniA zapasów gniazda ubiegał, padá nágle z kwiatka na ziemię, przewracá się na wznak, a kręcąc się po ziemi w kółko z náywiększą szybkościA, wydaje tak żAłosne brzęczenie, jak gdyby go náybroższe bóie dręczyły. Pęká wreszcie, i życie go odstąpiło. — LecZ cóż to za nowe zjawisko? Przez szparę pękniętego tułwa wydobywá się z niego jakás żyjącA jstota. Jakiś owad! Ale co dziwnieyszA? już dojrzały, i do tego zupełnie odmienny, bo ossie podobny, a dwuskrzydły owad. — Jest to *Trykacz Trzmielowiec* (*Conops rufipes*). Jakże on zrzęcznie wilgotne swe skrzydła prostuje i suszy! — Otóż i gotów do pielgrzymki życiA! wznosi się w powietrze, i odlatuje. — O Wielki Boże! jakież já to cuda widzę w dziełach Twoich! Słaby Trzmiel żywiąc w sobie ciałem swojém niewiele od siebie mniejszego różnorodnego owada, latá jak zdrowy, i z równą skrzętnościA zbierá i znosi zapasy żywności do gniazda swéy rodziny dopóty, dopóki wewnętrzny poźeracz jego wszystkich w nim przeobrażeń nieodbędzie, i siłą w nim nabytA ciałA jego nierozsadzi! — Ale jakimże sposobem ta różnorodná jstota mogła się zakraśdz do ciałA jego? — Tym samym, jakim się wkradają wyżéy wspomniane liszki *Muchy gąsienicznéy* w ciało gąsienic; to jest samica Trykacza stará się usiąszdz na dojrzałym Trzmielu, przebija mu jajowodem tułow pomiędzy obrączkami, i znosi w káždego, którego dopadnie, po jedném jajcu, z którego wylęgtá liszka dojrzałym dopiero

owadem na świat wylatuje, ażeby podobnie następne swe krzewić pokolenie.

Oprócz Trykaczów wszystkie wyżéy wspomniane czémkolwiek i gdziekolwiek żyjące liszki robákowate Owadów dwuskrzydłych, doszedłszy przyzwoitéy wielkości, opuszczają miejsca pobytu swego, udają się w suchą miątką ziemię, i w téy zagrzebane przeobrażają się w owalowate lub jájkowate pupki, które niczém nieostonione żadnego śladu życia nie okazują. W samym jednakże akcie przeobrażania się spostrzegamy tę różnicę między niémi, że jedne przybierając kształt pupki skórę z siebie zrzucają; drugie zaś skurczywszy się aż do kształtu owalowatego, zaczynają twardnieć, i przechodzą w stán pupki bez złożenia wyleni.

Od powyższéy reguły kształtu robákowatego odstępują te liszki Owadów Dwuskrzydłych, które w wodach żyją. Jakoż jedne będąc nad miarę wielkie w stósunku do Owada dojrzałego, mają kształt długi wrzecionkowaty, i pokryte są twardémi rogowémi obrączkami (a). Liszki te dorósłszy przyzwoitéy wielkości nie zrzucają z siebie pokrycia; lecz utraciwszy ruchawość, przybierają w dawnéy postaci kształt łukowato lub kątowato zgięty. W tak zgiętém pokryciu właściwe ciało skurczą się do tego stopnia, iż w niém tylko bardzo małą przestrzeń zajmuje: reszta więc pokrycia liszki staje się próżną.

(a) Takim jest np. rodzaj Wodoląg (*Stratiomys*)

Z téy przyczyny pupka ta będąc lżeyszą niż woda, wypływa na jéy powierzchni; a pływając się po niéy samopas, jest jgrzyskiem wiatrów i losu, dopóki spoczywający w niéy właściciel dojrzałości stanu nie doydzie. Na ten czas dopiero robi on sobie otwór w wierzchniéy stronie pokrycia swego, wydobywając się na wolność, siada na powierzchni próżnéy zwłoki swojéy, i pływa na niéy tak bezpiecznie jak na łodzi; a przeglądając się w zwierciadle wód, w których powstał: czeka, dopóki nie oschnie, i siły nie nabędzie.

Ważniejszy nie równie wyjątek między Owadami Dwuskrzydłémi stanowią Komory (*Culex*), gdyż liszki jch miękkie, szare, żyjąc w wodach stojących mają postać drobnych rybek z głową wielką wyraźnémi oczami i dwiema krótkiémi różkami opatrzoną. Jch boki ciała najérzone są kępkami krótkich włosów, a ogon kończy się dwiema błonowémi rurkami i dwiema strzępkami na kształt pletwy. Wspomniane dwie rurki przy końcu ogona są rurkami oddechowémi. Takie jch położenie jest przyczyną, że liszki te dla oddychania często ogony nad powierzchnią wody wystawiać muszą. Poczwarki komorów mają ruch dowolny, i różnią się tylko tém od liszek, że jch rurki oddechowe nie przy końcu ogona, ale na plecach przy głowie są umieszczone. Gdy te poczwarki czas przepisany w wodzie przebyły, wychodzą na jéy powierzchnię, i pękają dla wypuszczenia z siebie owada dojrzałego.

Pierwsze miejsce po Dwuskrzydłych (co do jako-

ści liszek) należy się owadom *Tęgopokrywém* czyli *Chrzęszcom* (*Coleoptera*); większą bowiem liczba między niemi jest takich, których liszki są robakowate; to jest: miękkie, białe, podługne. Zaraz jednakże na pierwszy rzut oka różnią się tém od liszek Owadów dwuskrzydłych, że prawie wszystkie mają głowę rogową twardą, silnemi szczękami i dwiema krótkimi rożkami opatrzoną. Obok takiego podobieństwa stanowią jednak trzy wyraźne oddziały. I tak jedne, które gryzą twarde części roślin, jako to: korę, miazgę i łyko suche, lub rdzeń drzew, tudzież ziarna grochowe, są mniéj więcéj walcowate i nie mają ani śladu nóg (a). Drugie nierównie liczniejszy, które toczą ziarno zbóż i owoców wszelkiego rodzaju, będąc podobnie mniéj więcéj walcowate mają po sześć krótkich rogowych nóg blisko głowy (b). Dotych należą także niektóre biélem drzew żyjące (c). Trzecie nakoniec mieszkają w ziemi, a żywiąc się soczystými korzeniami i butwiejącými ciałami roślin, mają w prawdzie (podobnie jak poprzedzające) po sześć krótkich rogowych nóg, ale tył jeh ciała jest znacznie grubszy, workowaty (d). Ostatnie nazywają pospólstwo *Pędrakami*.

(a) Takiemi są np. rodzaje Kozioróg (*Cerambyx*), Zgrzypik (*Lamia*); Rdzeniosz (*Saperda*); Strąkowiec (*Bruchus*) etc.

(b) Takiemi są np. r; Wołk (*Calanda*), Wryjek (*Curculio*) i t. p. w.

(c) Takim jest np. rodzaj Rozgryz (*Prionus*) etc.

(d) Takiemi są np. r. Żuk (*Geotrupes*), Chrabąszcz (*Melolontha*) etc.

Do wyjątków liczymy naprzód te rodzaje Chrzęszców, których liszki bardzo długie, walcowate, rogowými obrączkami pokryte, nie mają ani śladu nóg (a). Drugich liszki podobnie rogowými obrączkami pokryte i w stosunku do dojrzałego Owada bardzo długie, mają kształt wrzecionkowaty, głowę bardzo wielką, płaską, krążkowatą, potężnemi szczękami opatrzoną, i po sześć długich wstawowatych nóg (b). Te żyją w wodach i należą do jstót drapieżnych. Inne podobnie drapieztwém w wodach żyjące mają przeciwnie ciało długie, wietkie, sześcioma nogami i piórkowatými na bokach wyrostami obdarzone, a szczęki bardzo wielkie przed głową wystające (c).

Wszystkie wyżéj wymienione gatunki liszek Chrzęszcowych, gdy dorosną wskazanéj sobie wielkości, urabiają w około siebie z ziemi lub trocin strawionych przedmiotów owalowate grube skorupy, i w nich zamknięte przeobrażają się w *Poczwarki*. To jest, przeobrażają się w jstoty nieruchome prawdą, ale przytém tak zbudowane, jż zaraz od pierwszój chwili jeh przeobrażenia się można w jeh miękkim i niezgrabném ciełe rozróżnić zarody wszystkich tych członków, którými Owad dojrzały má być opatrzone, a które w miarę dojrzwania jego coraz więcéj kształtności i wyraźności nabierają.

(a) Takim jest rodzaj Mącznik (*Tenebrio*).

(b) Takim jest rodzaj Pływacz (*Dytiscus*)

(c) Takim jest rodzaj Kałużnica (*Hydrophilus*).

Wspomnieć nakoniec potrzeba o takich chrząszczach, których liszki miękkie, chropowate, spłaszczone, podługno owalowate, nogami opatrzone i zwykle albo czarniawe albo przynajmniej brudno szarawe ubarwienie mają. Te gdy dorosną, niczem się nie osłaniają; lecz przylepiwszy się do miejsca ostatniego pobytu swego, przeobrażają się w pupki nagie, podobnie jak liszki owadów Dwuskrzydłych. Takimi są *Stonki* (*Chrysomela*), *Biedronki* (*Coccinella*), *Tarczycy* (*Cassida*) i t. p. w.

Trzecie miejsce (podług naszego założenia) zajmują owady *Błonkoskrzydłe* (*Hymenoptera*). Postawiwszy je na tém miejscu ostrzedz zarazem wypada, iż nieznamy drugiego rzędu pomiędzy owadami, w którymby tyle rozmaitych kształtów liszek można było wykazać, tyle ciekawych obyczajów naliczyć. To prawda, że liszki większy jch liczby są robakowate; lecz sposób życia w każdym prawie rodzaju jest jny. Przeydźmy z nich przynajmniej znakomitsze.

Pierwsze miejsce należy się tu liszkom owadów *towarzyskich*, to jest takich, które zawsze w licznych gromadach żyją. Liszki tego oddziału Owadów Błonkoskrzydłych są robakowate w ścisłym znaczeniu; to jest: są one bez nóg, bez twardej oznaczonej głowy, a do tego tak niedołążne, że się bez obcey pomocy same wyżywić nie zdołają. Dobroczynna ręka Opatrzności utworzyła dla nich opiekunów i żywicieli w takich jstotach, które (lubo same potomstwa nie miéwają, i miéwać nie mogą) z rodzi-

cielską jednakże troskliwością wiek jch niedołążtwa pielęgnują. — Cóż to są za jstoty, które tyle rodzicielskiego przywiązania mogą mieć dla dzieci obcych? — Ażeby rzecz tę przywoicie zrozumieć, wiedzieć potrzeba, iż w tym jednym rzędzie znajdują się takie rodzaje owadów, w których oprócz sameów i samic, rozróżniamy jeszcze i takie jstoty, które żadney płci nie mają. Te to właśnie jstoty *bezpłciowe* składają podziwieniá godne towarzystwa, które się trudnią budowaniem, poprawianiem i powiększaniem wspólnego gniazda, zbieraniem zapasów żywności i pielęgnowaniem liszek wylętych z jaj, które płciowe jch towarzyszyki zniosły. Do liczby takich należą mianowicie: *Mrówki*, *Pszczóły*, *Trzmiel*, *Ossy* i t. p. w. Między liszkami dopiero wymienionych i jém podobnych rodzajów zachodzi ta różnica, że jedne żyją w gniazdzie wolne bez żadnych ogrodzeń, są walcowate, na obu końcach tępe, i przeobrażają się w pupki owalowate nagie. Takimi są *Mrówki*. Drugie przeciwnie stożkowate, na tylnym końcu szupleysze, żyją poprzegradzane tak, iż każda z nich má osobną dla siebie kómkę, którą jey bezpłciowe ulepiają. W niéy karmioná i pielęgnowaná przez wspomniane opiekunki przepędzá wiek liszki, w niéy się potem zasklepiá za pomocą tychże opiekunek, i w niéy przeobraziwszy się w poczwarkę dopóty siedzi zamkniętá, dopóki dojrzałym nie wyleci owadem. Do liczby takich należą liszki wszystkich jnych towarzyskich owadów, a mianowicie Pszczół, które nám corocznie miodu i wosku tak hojnie dostarczają.

Owady towarzyskie, a raczemy jch bezpłciowe towarzyski, okazują tyle pracowitości, tyle poświęcenia się dla dobra zgromadzenia swego, i tyle przywiązania do schłodności w gniaździe swoim, jż słusznie od dawna uwielbiane i za wzory do naśladowania tychże cnót towarzyskich są przedstawiane.

Liszki robakowate jnych Błonkoskrzydłych Owadów, podlegając ogólnemu ustawie, nie znają troskliwości rodzicielskiej i nie potrzebują obcej pomocy. Z tych jedne nogi nie mające, walcowate, żyją w żywych gąsienicach Motylów dopóty, dopóki przepisanej wielkości niedorosną. Po tem poprzegrywawszy skóre gąsienicy, i wydobywszy się z nię, gromadzą się do siebie. Zgromadzone zaczynają natychmiast wysnuwać ze spodnich warg swoich żółtawobiałe nitki pajęczyny, które przy szybkich esowatych zwrotach, wikłac nawzajem w przeciągu náydalej kwadransa tworzą w około siebie jeden owalowy oprzęd (*cocoon*), w którym wszystkie zebrane i od siebie pajęczyną poprzegrádzane przeobrażają się w poczwarki nieruchome. Takimi są liszki *Gąsieniczników* (*Jehneumon*), których w jedney gąsienicy czasem do dwóchset naliczyć można. — Drugie także walcowate i bez nog, mieszkają podobnie licznymi gromadami w żywych pupkach Motylów i jnych Owadów; lecz te są swobodniejsze od poprzedzających, bo dopóty zamieszkały pupki nieopuszczają, dopóki w nię wszystkich przeobrażeń nieodbędą: wylatują więc z nię już dojrzałymi owadami. Do takich należą np. *Pupniki* (*Eulophus*) bar-

dzo drobne, ale ogrodnictwu wielce użyteczne jstoty. — Jakim się zaś sposobem te liszki w żyjące pupki i gąsienice dostają, ten łatwo poymie, kto sobie przypomnieć raczy to, co się wyżey o *Musze gąsienicznicy* i *Trykaczach* powiedziało.

Jnne walcowate, nogi nie mające liszki Owadów Błonkoskrzydłych wylągłszy się podrzuconym sposobem w gniaźdach *Óss*, *Trzmielów* i jnych podobnych Owadów, wytępiają potomstwo prawych właścicieli wysysając jm jednę liszkę po drugiey (a). Jnne podobny kształt mające żywią się sokami nieżywych owadów, które jm jch matki pozabijały, i przy zniesionych jajach swoich pokładły (b). Wspomnieć wreszcie wypada o tych nogi nie mających liszkach, które żyją w takich pryszczach roślinnych, które wraz z niemi powstają, i dla nich jedynie rosną. Względem tych rzecz jest taká: matki jch nakłuwają jajowodem liście i latorośle niektórych roślin, i w każde nakłucie wkładają po jednem jaju. Tak poranioná roślina wydaje na każdę ranie swojey pryszcz, czyli mniey więcéy dokładnie kulisty wyrost, który zawierając w sobie naprzód jáje a późniey liszkę, dopóty rosnać nie przestaje, dopóki ta żywiąc się nadrastającym wnętrzem jego przesy-

(a) Takimi są np. rodzaje: *Lazurka* (*Chrysis*), *Naplecznica* (*Leucospis*) i t. p. w.

(b) Takimi są np. rodzaje: *Grzebisz* (*Sphex*) *Zapasięń* (*Bembex*) i t. p.

cenia stanu niedożydnie. Owady tym sposobem żywiące się w pierwszemy porze życia swego zowiemy *Galasówkami* (*Cynips*).

Jak wszystkie dotąd wymienione liszki robákowate owadów Błonkoskrzydłych są mniemy więcéy użyteczne Człowiekowi; tak przeciwnie wszystkie nogami opatrzone, do tego rzędu należące, do szkodliwych policzyć musimy. Z tych jedne mają tylko po sześć nóg blisko głowy, a ciało walcowate, białe lub żółtawe robákowate. Te tocząc korę, miążgę i biél żyjących drzew jgłowatych, nie małe szkody w lasach zrzadzają. (a) Drugie zaś liczą (stósownie do gatunku) od *ośmndstu* do *dwudziestu dwóch* nóg, z których pierwsze sześć przy głowie, są rogowe kończyste, następne zaś miękkie brodawkowate. Te mają ciało (w porównaniu z dożyrzałym owadem) bardzo długie, walcowate, powabnymi maściami w podłuż smugowane lub kropkowane: objadają liście drzew i krzewów rozmaitych; a znane są pod osobnym nazwiskiem *Wąsionek* (*fosses-Cheniles*). (b)

Oprócz *Mrówek*, o których wyżej była mowa, liszki wszystkich jnnych Owadów Błonkoskrzydłych dorosłszy właściwemy sobie wielkości, przeobrażają

(a) Takiemi są np. rodzaje: Bucz (*Sirex*), Choiniár (*Oryssus*) i t. p.

(b) Takiemi są np. rodzaje: Pilárz (*Tenthredo*); Bryzgacz (*Cimbex*) i t. p. w.

się w poczwarki nieruchome, to jest w takie jstoty, które (oprócz niedostatku skrzydeł) okazują dosyć podobieństwa z dożyrzałymi owadami gatunku swego; ale się z mieyscá na mieyce nie przenoszą. Większą jch liczba przed przeysciem w postać poczwarki osnuwá się cienką pajęczyną, i w tych oprzędach zamknięte spoczywają dopóty, dopóki dożyrzałymi Owadami nie zostaną. *Wąsionki* przeobrażają się także w podobne poczwarki; lecz przed przybraniem tego kształtu, zamykają się w podłużno owalowate, siátkowate oprzędy z grubych, twardych i prawie rogowych nitek, które podobnie jak jnne ze spodniéy wargi wysnuwają. Tym podobnych oprzędów nie znáydziemy w żadnym jnnym rzędzie.

Z porzárku rzeczy następuje mowa o owadach *Lu-skoskrzydłych* (*Lepidoptera*) czyli o *Motylach*. Wielki ten rzęd obéymując blisko *trzy tysiące* gatunków dobrze znanych, mieści w sobie náyzdobniejsze, ale oráz i náyzszkodliwsze owady, które mnożliwością niemál wszystkie jnne przewyższają. Wszystkie do tego rzędu należące lęgną się z jáy *Gąsienicami*; to jest: lęgną się długimi, walcowatymi, rozmaicie upstrzonimi jstotami, które na pierwszy rzut oká wiele mają podobieństwa z *Wąsionkami*; lecz różnią się od nich mnięyszą liczbą nóg, gdyż u Gąsienic (stósownie do gatunku) liczymy jch tylko od *dziesięciu* do *szesnástu*. Z tych pierwsze sześć pod przodem ciałá są twarde, kończyste; następne zaś miękkie brodawkowate. — Gąsienice należą do náyzarłoczniejszych jstót; aże niemál káždy jch gatunek

jnnego używają pokarmu: ztąd łatwo wnieść można, iż równie rośliny, jak zasuszone ciała zwierzęce mają między niemi niszczycielów swoich. Wszystkie Gąsienice po wyrośnięciu zupełnem przeobrażają się w pupki podłużne, w tylnym końcu zeschuplone. Mimo tę zgodność w punktach powyższych zachodzą między niemi tak ważne różnice, że dla wytknięcia przynajmniej celniejszych, wypadają do tąd znane gatunki podzielić na trzy główne oddziały; a to podług pory dnia, w jakiej dojrzałe owady pokazywać się zwykły. Dzielimy je więc na *dzienne*, *zmięrzchnie* i *nocne*.

Gąsienice *Motylów dziennych* i *zmięrzchnych* w tém się zgadzają z sobą, że mają po *szesnaście* nóg, z których *sześć* pod przodem, *ośm* pod szrodkiem, a *dwie* pod tyłem ciała są umieszczone. Różnią się zaś tém, że Gąsienice *Motylów zmięrzchnych* są gładkie, zwykle ukośnemi powabnymi smugami przyozdobione, i mają na tylnym końcu ciała po jednym miękkim wyroście, który kształt rogu naśladuje. — Przeciwnie Gąsienice *dziennych* nie mają na tyle rożkowatego wyrostu; a co do pokrycia są bardzo rozmaite: wszakże jedne widzimy gładkie rozmaicie upstrzone, drugie słabo kutnerowate, june rzadkiemi kolcami lub włosami najęzzone.

Wszystkie prawie Gąsienice *Motylów dziennych* przeobrażają się w pupki nagie, czyli oprzędami pajęczynowemi nie osłonięte. Niektóre tylko przed przejściem w ten stan spinają na roślinach po kilka listków za pomocą wysnutych z siebie nitk paję-

czynowych, i między temi się ukrywają. Kształt jednakże jch pupek jest rozmaity. Jednych pupki lalkowate, czyli sęczkowatemi wyrostami, postać twarzy ludzkiej na przednim końcu swoim naśladujące, wiszą zwykle pionowo za tylny koniec na nitce pajęczynowej do gałęzi drzew i jnnych ciał stałych przytwierdzone. Drugie zaś pupki tego oddziału są mniej więcej gładkie, okrągławe, do kształtu stożkowatego zbliżone: te znajdujemy nitką pajęczynową przez pół przepasane, i do gałązek roślin przywiązane.

Przeciwnie wszystkie gąsienice *Motylów zmięrzchnych* przeistaczają się w pupki gładkie, okrągławe, do kształtu stożkowatego zbliżone, a przechodząc w tę postać większą jch liczba snuje z wargi spodniej pajęczynę, i albo tworzy w około siebie rzadkie oprędy, albo spiną nią tylko liście i jne lekkie ciała, dla zasłonięcia się niemi: reszta zagrzebuje się w miążką ziemię.

Nakoniec, co do gąsienic *Motylów nocnych*, te ani w liczbie nóg, ani w jakości pokrycia nie mają nic jednakiego. Wszystkie jednakże przeobrażają się w pupki, podobne pupkom *Motylów zmięrzchnych*; a niemal wszystkie przed przeobrażeniem się, snują obficie pajęczynę z wargi spodniej, i robią z nię w około siebie sute, czyli gęsto utkane, podłużno owalowe oprędy. Z tego względu zasługuje szczególnie na wzmiankę rodzaj *Przędka (Bombyx)*, a mianowicie gatunek *Przędka Jedwabnica (Bombyx Mori)* jako ludzjom náyżyteczniejszą. Ję to gą-

sienicom winniśmy jedwab', źródło náytrwalszych i náyozdobniejszych materyy na stroje dla płci piękny; gdyż oprzęd téy gąsienicy składa się z nitek tak mocnych, jż się wygodnie rozwikłać i w grubsze nici prząsdź dadzą. Właściwą oyczyzną tego dobroczynnego Owada są Chiny. Z tych naprzód dostały się do Persyi; a ztąd dopiero za czasów *Justynijana Césarza* przeniesiono je do Europy. Podług świadectwa *Szymona Majolusa Biskupa Wulturaryi*, Jedwabnice w Europie chowane, są znacznie słabsze, i w przędzę mniéy obfite, niż Chińskie. Podług niego, káżdą gąsienica Chińska robi około siebie oprzęd wielkości głowy dziecięcia; przeciwnie náywiększy oprzęd gąsienicy Europejskiéy, zaledwie wyrównywa kurzemu jaju (a). — Mówiąc o jedwabnicach, nie-

(a) Po nápisaníu téy rozprawy (bo w miesiącu Sierpniu r. b.) będąc w Krzemieńcu u Professora *Zienowicza*, między innymi rzádkíemi osobliwościami zbioru swego, pokazał mi wiązkę takich worków z włókná jedwabiu, w jakie Chińcykowie oprzędę jedwabnic swoich (przygotowując do wyrobów) rozciągać zwykli. Worki te długości jednakiéy, lecz grubości bardzo różny, są kształtu kolbeczkowatego, a mając końce cieńsze, podobnym workiem gładko do kawałka trzciny przywiązane, składają wiązkę podobną trzepaczce czyli dyscyplinie; połączone zaś blisko szrodká za pomocą sznurka, którego związanie opatrzone jest pieczęcią Chińską: noszą piétno niemylné pochodzenia swego. Ucieszony tym widokiem, gdym oświadczył, że mu za pokazanie tak wáznego dla mnie przedmiotu tém bardziéy wdzięczny jestem, gdyż właśnie o oprzędach Jedwabnic Chińskich w rozprawie mojęy tylko z podaniá wzmiankę uczyniłem: na-

podobná odmówić wdzięcznego wspomnienia *Ceonie córce Latojusza* (a). Ona to piérwszą wpadła na myśl rozwijania oprzędów jedwabnic i przędzenia z nich nici.

tychmiást z zwykłą sobie uprzymoścíá, wyciągnął náywiększy worek z téy wiązki, i dał mi go obok pismá, którego osnowa dosłowná jest następująca: „Jedwab' od *Cesarza Chińskiego* przysłá-
ny w prezencie *Imperatorowéy* Katarzynie 2giéy. — Część
tego jedwabiu dostała się *Zubowi*, a od niego piéć wiązek *E-*
dwardowi Sosnowskiemu, który jednę z tych wiązek ofiarował
do mojego zbioru osobliwości. Z téy wiązki złożonéy z 23
worków, objętych sznurkiem i pieczęcią Chińską, wyciągnio-
ny jeden worek mám przyjemność ofiarować *W. Jarockiemu*
Professorowi Uniwers: *Warszaw: w dowód szacunku, przyjaźni*
i prác jego uczonych. Dnia 18 Aug. 1826 roku w Krzemieńcu, (Pod-
pisano) Stefán Zienowicz Nau: Chem: i Min: w Lic. Wołyń.
Ten darowany mi worek jedwabiu má długości calów *dwadzie-*
ścia ósm, szerokości w końcu grubszym calów *sześć*, i wa-
ży *trzy drachmy i grán piétnásćie*. — Lubo w kawałku roztrze-
panego cieńszego końca jego, można upatrzeć ślady, które zda-
ją się dowodzić, że worek ten przynáymniéy z *sześciu* oprzędów jest utworzony, tak z drugiéy strony gładko zaokrąglo-
ny koniec grubszy, równie jak calá prawie długość jego, nie-
okazując żadnych przedziałów, daje do myślenia: jakim spo-
sobem Chińcykowie większą liczbę oprzędów jedwabnic w je-
den taki worek urábíáć potrafiá, i skłania raczéy do wierzenia,
że tenże jest jednym rozciągniętym oprzędem, który, gdy był
w piérwotnéy postaci swojęy, zgodnie z podaniem *Majolusa*
wyrównywał wielkości głowy dziecięcia. Roztrzepanie zaś jego
w końcu cieńszym mogło powstać, albo przez przywiązywanie do

(a) Ceo Latoi filia.

Między Motylami nocnymi, godne są także wspomnienia gąsienice z rodzaju *Namiołnicy* (*Yponomeuta*). Są one pospolicie białe, nagie, na pozór bardzo delikatne, szesnastoma nogami opatrzone, i należą do liczby nądrobniejszych gąsienic; gdyż nąwiększe między niemi nie przechodzą dziesięciu linii długości: więcéy nierównie jest takich, które sześciu linii niedorastają. Lecz jm są mniejsze, w tém większe wprawiają podziwienie, gdy się sztucznym jch tkankom przypatrzemy. Gąsienice te żywiąc się ciałami roślinnymi, żyją w licznych zgromadzeniach, a nad gniazdem swoim rozpinają jednostayną, częstokroć tak obszerną tkankę, jż z trudnością przychodzi wierzyć, ażeby ta była dziełem tak drobnych i słabych jstót (a). Tkanka *Namiołnic* jest zwykle czy-

wyżéy wspomnianéy osady wiązki, albo téż przez sám sposób rozciąganiá. Nakoniec, że te worki w jednéy wiązce tak są nie równe, jż nąymniejsze zaledwie mają czwartą część wielkości tego, który já dostałem: wnosicby z tąd można, że i w Chinach nie wszystkie gąsienice Jedwabnic równie sute oprzędę robią. Worek w mowie będący oddaję do Gabinetu Zoologicznego Królewskiego Uniwersytetu.

(a) Gabinet Zoologiczny Uniwersytetu Królewskiego posiada kawałek takiéy tkanki, który má długości calów *dwadzieścia sześć*, szerokości calów *siedm*, a wáży tylko *trzy* grana. Dostałem go w 1822 roku od Wgo *Andrzeja Krajewskiego* Aptekarza w stół: m: Warszawy; a ten znalazł go u siebie w słoju z różami suszonými, do którego się *Namiołnice* zakradły. — Nicco dawniéy (bo w 1818 roku) odwiedzając na wsi przyja-

sto biatá, wietszá i cieńszá od nąycieńszego muslinu, mocniejšzá i mniéy lépká od wszystkich jnych dotąd znanych tkanek pajęczynowych; a chociaż nad nią tysiąc lub więcéy gąsienic pracowało: mimo to jest tak równá i gęstá, że ją do cienkiego papiéru przyrównać można, gdyż nawet przez mocno powiększające szkła trudno w niéy doyrzréc węzłów lub ustępow między nitkami. Pod tém płótnem (że tak powiem) ukryte jak pod namiotem, przepędzają wiek gąsienictwá swego, i pod niem przeobráziwszy się w pupki, czekają chwili przeysciá w stán doyrzrzałości.

Po przeysciu wyżéy wymienionych Owadów, pozostają nám jeszcze cztery rzędy, których Owady jakkolwiek różne co do zewnętrznego kształtu i sposobu życia, mimo to wszystkie dadzą się pod ogólną uwagę podciągnąć z tego względu, ponieważ we wszystkich trzech epokach życia swego używają pokarmów i ruchu dowolnego, mając po sześć długich wstawowatych nóg. — Co większáz? Liszki, poczwariki i owady doyrzrzałe większéz jch liczby, mają wiele między sobą podobieństwá, i różnią się zwykle tylko tém, że liszki nie mają żadnego śladu ani skrzy-

ciół moich, pokazano mi worek z suchými wosczynami, w którym zagniézdziwszy się *Namiołnice*, całą powierchnią jego, mającá blisko dwóch łokci kwadratowych, podobną tkankę pokryły, lecz ta przez pośpiech i niezręczność służącego w kawałki podartá została.

deł, ani pokryw skrzydłowych; u poczwarek zaś spostrzegamy na plecach krótkie, klinowate wyrosty, które można uważać za pochwy; gdyż w nich mieszczą się zarody przyszłych skrzydeł. To zaś rzecz nądzowniejszą w Owadach tych rządów, że poczwarka jch zostaje czynną, i biegną aż do ostatniéj prawie chwili nastąpić mającego przeobrażenia. Wreszcie zatrzymuje się w biegu, a wbiwszy pazurki w ciało roślinne, na którym się zatrzymała, pękają na plecach, i przez to pęknięcie wypuszczają z siebie dojrzałego skrzydlatego owada gatunku swego. Po wyjściu owada próżną zwłoka poczwarki jego zostaje w zupełności do miejsca przytwierdzoną, dopóki jéj czas lub przypadków nie skruszy.

Od powyższéj ogólnéj reguły, jako wyjątek nąwżniejszy, następczą się rodzaj *Mrówkolew* (*Myrmeleo*) należący do rzędu Owadów *Żyłkoskrzydłych* (*Neuroptera*). Jego chropowatą i kępkami krótkich włosów najérzoną liszka má ciało płasko jajowate: głowę małą na szupłéj wyraźnéj szyi osadzoną: szczętki bardzo wielkie, naksztált ostrych obcęgów przed głową wystające i sześć miernie długich nóg. Tak dziwnym kształtem różni się ona od liszek wszystkich jnnych Owadów. Lecz jeżeli osobliwszą jest jéj postać, nierównie dziwniejsze są jéj obyczaje; a przemysł jéj wywyższą ją nad wszystkie. Liszka w mowie będącá żyje w piąsczystych okolicach, i żywi się Mrówkami i jnnými drobnými owadami, które zdradzieckim sposobem łowi. Gdy bowiem upatrzy miejsce dogodne na samotówkę, zaczyna się o-

bracać w koło, i odrzucać od siebie piasek szczętkami. Tym sposobem wygrzebawszy dosyć obszérny i głębokí dołek kształtu stożkowatego, zakopuje się w piasku na dnie jego tak, jż tylko oczy i rozwarłte jéy szczętki są niezakryte. Skoro Mrówka lub jnný jaki owad wpadnie do tego dołku: natychmiast go chwytá i wysysá. — Ażeby zaś wysany trup jnnych owadów niepłoszył: wynosi go daleko za obręb samotówki swojéj. Wracając zaś do niéj, wstępuje tyłem, i to nie w prostym ale w szrubowatym kierunku: przy czém równą wszelkie nierówności ścián, a wyrzuciwszy oplezły piasek, zagrzebuje się znówu na dnie samotówki. — Dołki dopiéro opisane znajdujemy nąwczęściéj w pewnéj odległości od mrówisk na takich ściészczkach, które sobie mrówki w przechodach swoich robić zwykły. — W liszce *Mrówkolwa* spostrzegamy nadto dwie osobliwości: naprzód, że nie má otworu odchodowego, i niewyrzuca z siebie żadnych nieczystości: powtóre, że dorostszy przyzwoitéj wielkości, nie snuje pajęczyny z wargi dolnéj, jak liszki jnnych owadów, ale z tyłu ciała podobnie jak pająki. Z téj pajęczyny robi ona w okóło siebie kulisty oprzęd, i w nim zawartą przeobrażá się w poczwarkę nieruchomą, z którój wylatuje późniéj długim, wysmukłym, *Łątce* (*Agrion*) podobnym, owadem.

Na tém kończymy rzecz naszą o niektórych wáżniejszych punktach przeobrażania się owadów.

O ZWIĘRZĘTACH JADOWITYCH

W MIEJSCACH... WYDZIAŁ...
WYDZIAŁ... WYDZIAŁ...

O ZWIĘRZĘTACH
JADOWITYCH.

Wydrukowano w Warszawie...
Wydrukowano w Warszawie...

Wydrukowano w Warszawie...
Wydrukowano w Warszawie...
Wydrukowano w Warszawie...

Na pagórkach pod ciérniem, między kamieniami
Zjadowitými żmija kryje się zębami.

O ZWIĘRZĘTACH JADOWITYCH

Szczególniey zaś:

O PODOBIENSTWIE JCH NARZĘDZI, KTÓREMI W RANY ZADANE JĄD SWÓY WPUSZCZAJĄ.

RZECZ CZYTANA NA PUBLICZNYM POSIEDZENIU KRÓLEWSKIEGO WARSZAWSKIEGO UNIwersYTETU DNIA 3go PAŹDZIERNIKA 1822 ROKU, A TERAZ NIEKTÓREMI UWAGAMI POWIĘKSZONA.

Gatunki jadowite znáydujemy równie w oddziale grzbietnych jak niegrzbietnych zwierząt (a). Prze-

(a) Niektórzy żądają, ażeby w wykładzie Zoologii zamiast wyrazów zwierzęta *Grzbietne* i *Niegrzbietne* używać nazwisk *Páciérzowe* i *Bezpáciérzowe*. Zmiany téy w żaden sposób przypuścić nie można, ponieważż znány takie zwierzęta, które w plecach swoich niemają ani kościanego ani chrząstkowego páciérza grzbietowego; a mimo to do *Niegrzbietnych* należéc nie mogą; bo na miejscu właściwego páciérza znáydujemy w nich jednostayny ścięgnowy sznurek, który przestaje przez całą długość jch ciałá, a do którego podobnie jak do páciérza muszkuły plecowe i naboczne są przytwierdzone. Takiemi są następujące cztery rodzaje Ryb: *Spatularia*, *Petromyzon*, *Ammocoetes*, i *Myxine*. Jeżelibyśmy więc w systemacie przyjęli wy-

chodząc zaś zwierzęta grzbietne, natrafiamy jadowite tak między temi, które mają krew czerwoną ciepłą, jako też i pomiędzy takimi, które czerwoną zimną krwią są opatrzone. Z téy zaraz krótkiey o nich wzmianki wyczytujemy, że te niebezpieczne jstoty do różnych gromád náleżą. Dodadź zaś potrzeba, że do tak rozmaitego pomieszczenia się między jstotami żyjącemi, łączą one także rozmaitość narzędzi, którými w rany zadane jád swój wpuszczają. Jakoż, jedne mają jád w zębach, drugie w żądłach, jnne nakoniec w szponach. Między ostatniemi, u jednych te jádem napojone szpony spostrzegamy u nóg tylnych, u drugich widzimy je przytwierdzone do szczęk, u jnnych wreszcie znáydują się one na końcu ogona osadzone. Rzecz jednakże uwagi godná, jż lubo tak wielká zachodzi różnica równie między zwierzętami samými, jako też między zewnątrzniem urządzeniem i rozłożeniem jch narzędzi jadowitych; jednakże w wewnątrzniéy budowie i urządzeniu tychże jádem zaráżających organów odkrywamy náywiększe podobieństwo. — Dadź bliższą wiadomość o tych zwierzętach

razy *Páciérzowe* i *Bezpáciérzowe*: potrzebaby z czterech dopięro wymienionych rodzajów Ryb utworzyć nowy oddział pod nazwiskiem *Szurkogrzbietnych*: a tak nowá nieprzyzwoitość w nauce; bo przybywá nowy, a wcale niepotrzebny oddział, a w tym oddziale nowá tém bardziéy niepotrzebna gromada; gdyż zwierzęta do tych czterech rodzajów náležące mają z resztą wszystkie cechy takich zwierząt, jakie do gromady Ryb náleżeć powinny.

i wykazać: w czém rzeczywíście zależy wspomniáne podobieństwo między jch bronią jadowitą, jest celem niniejszéy rozprawy.

Ażeby w wykładzie przedmiotu zamierzonego zachować pewny porządek: przejdziemy dotąd znane zwierzęta następstwem jch naturalnych oddziałów i gromád.

A náyprzód między temi zwierzętami grzbietniemi, które mają krew czerwoną ciepłą, dwie dáwniey znane gromady (to jest: *Zwierząt Ssących* i *Płaków* nie raiesczą w sobie takich zwierząt, któreby (uwážane w stanie zdrowiá) (a) jadowitými nazwać można. Między nowo odkrytými zwierzętami grzbietniemi, które mają krew czerwoną ciepłą, a które składają gromadę *Nibyssących* (b), samce z rodzaju *Dzióbaka* (*Ornithorhynchus*) odznaczają się od wszystkich jnnych czworonożnych czerwoną ciepłą krew mających zwierząt. Odznaczenie się jch zależy ná uzbrojeniu nóg tylnych. Jakoż samce obudwóch dotąd znanych gatunków *Dzióbaka* (oprócz zwyczajnych pazurami zakończonych pięciu palców) mają u obu nóg tylnych po jednym długim, nieco łukowatym, ukośnie w górę wygiętym szponie, które osadzone są na przyszrodkowéy stronie goleniów. Te

(a) Mówimy dla tego: *w stanie zdrowiá*; gdyż w chorobie wściekłości wydają ślinę jadowitą, którą tę okropną słabość w jnnych zwierzętach zaszczepiają.

(b) Patrz w Tomie I. Zoologii Jarockiego.

osobliwsze jch szpony, tak z kształtu jak z położenia swego, náywłaściwiéy porównać można z owym przybyszowym szponem w rodzaju *Kur*, który u *Koguta* ostrogą nazywamy.

Przybyszowe te szpony *Dzióbaków*, jakkolwiek zadziwiały Badaczów przyrodzenia; z tém wszystkiém uważano je z początku jedynie za piętno odznaczające płeć w tym rodzaju. W krótce posłużył przykład do dowiedzenia się o właściwém jch przeznaczeniu. Rzecz całą wyjaśnili nám podróżni, którzy przed kilku latami na Angielskich okrętach z Nowéy Hollandyi powrócili. Pod czas bawienia tychże okrętów przy pobrzeżach téy nowéy części świata, dwóch z grona osób na nich podróżujących wyśiadłszy na ląd, poszli na polowanie. Przypadkiem przybywają na brzeg jeziora; i postrzegają na nim bawiącego się samca *Dzióbaka*. Jeden z nich strzela do niego. Wystrzałem tym raczéy ogłuszony niż raniony *Dzióbak* traci przytomność, i zamiast uciekać do bliżkiéy wody, kręci się obłąkany w mieyscu. W tém drugi myśliwy nadbiegá, i chwytá go żywcem. Ledwie to zwierze uczuło się ujętém; wraca do przytomności; a wydzierając się z náywiększą usilnością, ugadzá owym przybyszowym szponem swoim tak mocno trzymającego w rękę, że mu ją aż do krwi rozdrapał. Rana tém draśnięciem zadana, lubo nie głęboká, lecz przykrá bolesć sprawiająca, przechodzi nágle w wielkie zaognienie: ręka zaczyna coráz mocniéy i gwałtowniéy puchnąć, puchlina szerzy się szypko, i w krótce na ranionym pokazują

się wszystkie oznaki (*symptoma*) takiéy słabości, jaką się spostrzegać zwykło na Człowieku, który nie szczęśliwym przypadkiem od *Żmii* był ukąszony. Słabość ranionego wzmagáła się tak nágle i z taką gwałtownością, jż w parę godzin po otrzymaném draśnięciu zaczęto się już lękać o życie jego. Wcześnié użyte lékarstwa, które biegłość lékarza okrętowego przepisała, i náytroskliwszá pieczołowitość zaledwie zdołały grożące niebezpieczeństwo oddalić, i ranionego do zdrowia przywrócić. Taká wiadomość zwróciła uwagę Badaczów Europeyskich. Wzięto pod ścisły rozbiór owe przybyszowe szpony *Dzióbaków*, i przekonano się, że káždy z tych szponów będąc lékowato rurkowaty, i mając mały otwór na stronie wgłębny przy ostrym końcu swoim, osadzony jest na dużym gruzle, w którym się zbiera ciecź jadowitá (a). Ugádzając więc *Dzióbak* wspomnianym szponem nieprzyjaciela swojego, naciská nim na gruzel w nasadzie jego będący; a jád z niego wyciśniony przechodząc lékowatą w szponie będącą rurką, wpływa w zadana ranę owym małym otworem, który się przy końcu jego znáyduje. A tak widzimy, że w pierwszym oddziale zwierząt grzbietnych jeden tylko rodzaj *Dzióbaka* obeymuje jstoty jadowite, i że jch niebezpieczny jád zawarty jest w przybyszowych szponach u nóg tylnych. Nierównie więcéy znáydzimy tém podobnych zwierząt w oddziale drugim,

(a) O rzetelności takiego urządzenia szponów *Dzióbaka* przekonalem się naocznie podczas pobytu mego w Paryżu na piękných preparatach w tamteyszym Gabinecie.

czyli między takimi zwierzętami grzbietnemi, które mają krew czerwoną zimną.

Lubo ten drugi oddział, zwierząt grzbietnych liczy náywięcey i náyniebezpieczniey jadowitych gatunków, wszystkie jednak mieszczą się w jedney gromadzie, i należą do jednego tylko rzędu, to jest: są one z gromady *Gadów*, a z rzędu *Węzów*. Dwa zaś jnne rzędy *Gadów* równie jak całe dwie gromady *Płazów* i *Ryb* złożone są z samych niejadowitych zwierząt. Winienem atoli wspomnieć, że pomiędzy rybami znajądją się niektóre gatunki, które u Rybaków zostają w podeyźrzeniu, że są jadowitemi. Obaczmy, z kąd to podeyźrzenie wynika? — Wiadomo, że wiele jest takich rodzajów między Rybami, które mają w pletwach kolce, czyli ostro kończyste promienie; aże po zakłuciu się kolcami pletwowemi jednych Ryb rana mocniéy się zaognia niż po skaléczeniu się kolcami drugich: przeto te z pomiędzy ryb poczytują rybacy za jadowite, od których kolców zranione ciało bardziéy zaogniać i jątrzyć się zwykło. Lecz że to zaognienie się rany bywá bardzo słabe, i ani szérzácý się po ciele puchliny, ani żadnych jnnych złych skutków za sobą niepociągá: przeto, z powodu tak słabych i bardziéy podobno od ubocznych okoliczności zawistych zaognień w ranach kolcami pletwowemi zadanych; niemożná żadnéy z dotąd znanych Ryb policzyć między zwierzęta jadowite. Wszakże niekiedy draśnięcie lub zakłucie się śpilką albo jgłą stalową nierównie mocniéysze zaognienie i jątrzenie się ciała sprowadzá; a mi-

mo to ani jgień ani śpilek zwyczajnych jadowitemi nazwać nie można.— Powrócemy zatem do gromady *Gadów*.

Jakkolwiek są pospolitými i od niepamiętnych czasów znanými te Gady, które stanowią rząd *Węzów* albo raczéy *gadów Węzowatych*, słusznie przecieź dziwić się potrzeba, że dotąd większą część ludzi nie wie o właściwém siedlisku niebezpiecznego jadu tych, które są jadowitemi. Liczne przypadki przekonały mię, że większéy liczby jest mniemanie, iż jád tych gadów zawarty jest w tak nazwaném żądle pyskowém, to jest: w owéy długiéy, wązkiéy, czarniawéy, na końcu widełkowatéy listewce, którą te zwierzęta często z pyska wysuwać zwykły, a która jest jch językiem. A że większą część nietylko *Węzów* ale i *Jaszurek* má w pysku podobnie ukształcony język: więc téż bez różnicy prawie wszystkie poczytują za jadowite, i sądzą, że wyrwawszy *Gadowi* z gęby wspomnianą listewkę: już tém samém má się go pozbawić tego narzędziá, którémby mógł zadadź ranę niebezpieczną. Przed kilku właśnie tygodniami popisywano się w obecności mojęy z odwagą chwytając w gołą rękę dużego *Węza wodnego* (*Coluber natrix*). Potém zachęcáno obecnych do powtórzenia tegoż; gdy się zaś niektórzy z obecnych wzbrániali, zapewniano jch, że przez wyrwanie mu (wyżéy opisanego) żądłá już má jád odjęty. Mogli śmiało toż samo z tém stworzeniem uczynić i bez tak strasznegó skaléczenia go; bo *Wąż wodny* z przyrodzenia swojego jest nie jadowity; lecz niech Bóg zachowá

wszystkich od podobnego doświadczenia z którymkolwiek gatunkiem *Żmij, Grzechotników*, lub jnych prawdziwie jadowitych gadów węzowatych! Jąd bowiem tych zwierząt nie w żądle, lecz w zębach szczęki górnej jest zawarty, i jadowity gąd rzędu tego nie rani ukłuciem ale ukąszeniem. Owo zaś tak nazwane żądło (jak się już powiedziało) jest jch język, którym nie złego uczynić nie mogą. Tak więc nie przez wydarcie języka, lecz przez wyrwanie jn zębów jadowitych, można je przynajmniej na pewny przeciąg czasu uczynić bezbronnymi. Mówimy, tylko na pewny przeciąg czasu; gdyż rozczłonkując tém podobne gady, znajdujemy u nich pod dziąsłami w żuchwach przy obecnych zębach jadowitych po dwa, a czasem i po trzy stopniami coraż mniejsze zawiązki do nowych takichże zębów. Z tych więc największy zarodek wyrasta z czasem na miejsce wyrwanego zęba, i pełni potem też samę usługę, jak pierwszy.

Ponieważ (jak się już nadmieniło), całą jadowitość tych zwierząt zawartą jest w zębach: zastanówmy się bliżej nad tą niebezpieczną jch bronią.

Wszystkie dotąd znane Węże mają na żuchwach szczęki dolnej same drobne i niejadowite zęby; lecz z szczęką górną rzecz się má jnaczyj. Ztąd (jak wiadomo) względnie do jakości zębów w szczęce górnej dzielimy Gady tego rzędu na trzy następujące oddziały; a mianowicie: 1. na *Niejadowite*, 2. na *Jadowite-wielozębne*, i 3. na *Jadowite-dwuzębne*.

Węże *Niejadowite* mają w szczęce górnej cztery rzędy drobnych i prawie równych zębów. Z tych dwa

rzędy stoją w dziąsłach czyli na właściwych kościach żuchwowych, a dwa na podniebieniu.— Oddział ten obęmuje niemal wszystkie rodzaje *Równotuskich* i znaczną część *Nierównotuskich* Węzów (a); których nie mała liczba oddawna jest znana.

Jadowitemi-wielozębnymi nazywamy te, u których w szczęce górnej stoją liczne zęby podobnie cztery ma rzędami z tą jednak różnicą, że u tych dwa przednie skrajne zęby są znacznie dłuższe od następujących. W tych to dwóch przednich skrajnych zębach zamyka się jch jadowitość.— Do tego oddziału należą tylko trzy rodzaje; to jest dwa z *Nierównotuskich*, a jeden z *Równotuskich* Węzów, z których wszystkie zostały niedawno odkryte na południowej półkuli ziemi.

Nakoniec, *Jadowite-dwuzębne* są te, u których (oprócz dwóch rzędów drobnych zębów na podniebieniu) spostrzegamy z przodu na bokach szczęki górnej po jednym lub po dwa, a niekiedy i po trzy długie, nieco łukowate, a bardzo szczupłe i ostro kończyste zęby, które raczej kłami nazwać by można (b). Te więc kłom

(a) Patrz w trzecim Tomie Zoologii Jarockiego.

(b) Młody gąd jadowity z tego oddziału má tylko dwa zęby jadowite; to jest, po jednym w obu dziąsłach szczęki górnej; lecz przy rozczłonkowaniu (jak się to wyżej już nadmieniło) widzimy za każdym z tych zębów jeszcze po dwa nierówne zarody na podobne zęby. Jeżeli taki gąd nie miał sposobności przyłamać sobie pierwszych dwóch zębów jadowitych: więc w dalszym wieku wyrastają mu dwa drugie; a u bardzo starego i trzeci w obu dziąsłach zostaje ukształcony. Tym sposobem, jeżeli ten gąd w całym życiu swoim żadnego sobie zęba jadowitego nie ukruszył, może jch mieć w późnym wieku sześć; to jest: po trzy w obu

podobne zęby mogą one zapomocą osobnych muszkułków podług woli swojej w tył składać i w rowki dziąseł chować, albo téż nasrożać. Złożone w dziąsła zasłaniają jeszcze błoną, którą się od przodu na nie nasuwają, a którą, podnosząc się, te zęby siłą z siebie spychać muszą. Te to więc tak troskliwie ukrywalne kły stanowią jch niebezpiecznie jadowitą broń.— Oddział ten mieści w sobie blisko połowę rodzajów samych *Nierównoluskich Węzów*, z których znaczna część należy do liczby oddawna znanych zwierząt; małą zaś tylko liczbę znamy takich między *Równoluskimi*; a te są z liczby najsławniejszych odkryć (1).

Jak z jednéj strony uzbrojenie paszczy dwóch ostatnich oddziałów jest różne co do liczby rzędów, któremi zęby jch w szczęce wierzchniejsze są ustawione: tak z drugiejszj strony wewnętrzna budowa jch zębów jadowitych jest jednaką, i niemál zupełnie podobną téj jak w szponach przybyszowych *Dzióbaka*. Wszakże u wszystkich (dwoma ostatniemi oddziałami objętych gadów) przednie skrajne zęby są lékko rurkowate, i mają na stronie wgietéj przy ostrym końcu swoim po jednym małym otworze. Rurka jadowa w tychże zębach leży bliżéj wgietéj niż wypukléj

dziąsłach. Lubo bardzo rzádko, były jednak przykłady, że jch i po cztery znáydowno. Tak pomnożone kły, stojąc rzędem blisko siebie jeden za drugim, wszystkie się razem podnoszą, i razem się chowają w dziąsło.

(a) Między *równoluskimi* węzowatemi gadami tylko *Wiosłowąż* (*Hydrus*), *Rybowąż*, (*Pélamis*) i *Chersydra* są jadowite; wszystkie zaś june należą do liczby niewinnych gadów.

jch strony; a kierunek jéy na téjże wgietéj stronie zęba oznaczony jest pospolicie zewnątrz szwem tak właśnie, jak gdyby w tém miejscu brzegi szklivé zębówego były z sobą spojone. Nadto káždy z tych zębów osadzony jest na osobnym gruzle, w którym się ciecz jadowitá oddziela. Te jád wyrabiające i zachowujące gruzły są u niektórych (a szczególniéj u *Grzechotników*) tak wielkie, że jm aż popod oczy sięgają. Rozdrażniony gád jadowity kásając w złości przedmiot gniewu swojego, naciska dopiéro opisanym zębem na gruzel pod nim będący, a jád z niego wygnieciony wytryskując z rurki zębówéj przez otwór przy końcu jego będący, wpływa do rany, którą tenże ząb zadaje. Nýdaléj we dwádzieścia sekund miejsce zranione przez gada jadowitego dostaje obwódkę siną; a tę otacza mocne zaognienie i puchlina, które się z káżdą chwilą coráz bardziéj wzmágają i szerzą.

Podług náynowszych a gruntownych doświadczén *Mandzilego* (*Mangilli*) możemy teraz z większą niż kiedy pewnością twierdzić, że jád gadów węzowatych tylko w tenczas jest szkodliwy drugiem zwierzętom, gdy się bezposrednio miészają z jch krwią; zażyty zaś (nawet i w dużéj jłości) z jakim pokarmem niesprawiá w nich żadnego złego skutku. Powtóre, że tenże jád wysuszony i na proch starty, zachowuje szkodliwą moc swoję przez tak znaczny przeciąg czasu, że nawet po dwóch latach wsypany w ranę rozkrwawioną, sprawiá téż same okropne skutki jak najsławniejszy i bezposrednio z zęba do rany wpływający (a). O tych

(a) Chcąc się o niezawodności téj prawdy przekonać, potrzeba tę ranę, do którój się wsypało suchego jadu, obwiązać pęcherzem

dwóch prawdach przekonał się *Mangilli* następującym sposobem. Zebrał znaczną liczbę zdrowych i dużych *Żmij*; a dając rozdrażnioném gryźć brzeg filiżanki, zbierał na niéy tym sposobem jch jąd, z którym następnie na Ptakach, a mianowicie na Kosach, Gołębiach i Krukach, czynił różne doświadczenia. Naprzód otrzymawszy dopiéro opisanym sposobem jąd *Żmij*, maczał w nim kawałki chleba, i te wpychał do gardła wyżéy wzmiankowanym Ptakom. Tym sposobem *Kos* połknął jąd po sześciu *Żmijach*, *Gołąb* po siedmiu, a *Kruk* po dwanaście. Wiedzieć przytém potrzeba, że *Kruka* głodzono wprzód przez dwanaście godzin; jne zaś były syte. Zaraz po zażyciu jadem napojonego chleba zdawały się owe ptaki cokolwiek zasmucone; lecz niewyszło godziny, gdy do zwykłéy powróciwszy wesołości, okazywały náywiększą chęć do jadtá. Obecna przy téy czynności osoba, widząc taki skutek na Ptakach, odważyła się doświadczyć tego na sobie saméy; a połknawszy podobnież w kawałku chleba jąd z *czterech* dużych *Żmij* wyczerpany, zapewniała, jż żadnego nieprzyjemnego uczucia niedoznaje (a). — Późniéy zebrawszy *Mangilli* wyżéy wskazanym sposobem znaczną jlość jadu *Żmij*, wysuszył i utarł go na proch. Tak przysposobiony

lub taftą; jnaczéy wsypyany proszek jadowity spłynie z krwią wypływającą z rany, i nie zrobi żadnego skutku.

(a) *Patrz*: Giornale di Fisióa, etc. Vol. 9. — albo Dentches Archiv für die Physiologie. etc. v. Meckel. Dritter Band. Halle und Berlin 1817. na stronie 639 i na następných.

jąd przechował w dobrze zawiązanym słoiku przez dwadzieścia sześć miesięcy. Po czém wziął párgę zdrowych *Gołębi*, zadrasnął obadwa w nogę aż do krwi; a wysypawszy jm do tak zadanych rán po trosze tegoż suchego jadu, zawiązał jm rany taftą. Natychmiást pokazały się gwałtowne skutki jadu na tych biédnych ofiarach, i w przeciągu dwóch godzin obadwa *Gołębie* żyć przestały. — Tyle wiemy dotąd o jadzcie i jadowitości zwierząt *Grzbietnych*: przejdźmy teraz do gromád niższych.

Zwierzęta Niegrzbietne, czyli do (tak nazwanych) gromád niższych należące, dzielimy (jak wiadomo) na dwa naturalne oddziały; to jest: na takie, które mają *nogi wstawowate*, i na takie, które są *bez nóg*. Między ostatniémi nie wiemy dotąd o żadnym gatunku, któryby narzędziami jadowitémi był opatrzony. Przeciwnie z pomiędzy trzech gromád, które składają oddział zwierząt *Niegrzbietnych z nogami wstawowatými*, w jednéy tylko gromadzie *Skorupiaków* (a) nie znamy takich, o którychby z pewnością powiedzieć

(a) Tu także winienem się usprawiedliwić, dla czego tę wielką gromadę zwierząt (których náy powszechniéy u nás znanym reprezentantem jest *Rak rzeczny*) nazywám *Skorupiakami*, a nie *Zwierzętami Skorupiastými*. Do tego mám dwa powody. Naprzód wyráz *Skorupiaste* má obszerniejsze znaczenie, a niżeli w nauce systematycznéy mieć powinien; gdyż on oznacza wszystkie takie zwierzęta, które skornpami są pokryte. Aże *Pancerniki* w gromadzie Ssących, *Żółwie* w gromadzie Gadów, *Kostéry* w gromadzie Ryb, *Serpule* w gromadzie Robaków, tudzież większa połowa gromady *Mięczaków*, wszystkie prawie *Promieniaki*

można, że są jadowitými; gdyż nawiasowe podania niektórych Pisarzów, że ukłucie kolcem ogonowym zwierząt do rodzaju *Cierniogona (Limulus)* należących má być niebezpieczne: potrzebuje jeszcze potwierdzenia i wyjaśnienia. Natomiast w dwóch innych gromadach tegoż oddziału, to jest: między *Pająkami* i *Owadami* znajdujemy znaczną ich liczbę. Przeydźmy je więc porządkiem.

Gromadę *Pająków* dzielimy na dwa poddziały, czyli na *Przędące*, które z siebie snują pajęczynę, i

i wszystkie *Skorupiaki* są przyrodziane skorupami: wszystkie więc dopiero wymienione, a tak między sobą różniące się zwierzęta, mają równe prawo do przymiotnika *Skorupiaste*. Jakąż więc w tym przymiotniku pewność naukową? — Nie myślę zaś, ażeby samo zakończenie miało upośledzać powyższe nazwisko; bo odwieczny polski wyraz *Ptaki* má podobne zakończenie jak *Skorupiaki*: a przecież nikomu na myśl nie przyszło, ażeby *Ptaki* w języku systematycznym nazwać zwierzętami *Skrzydlatými*; boby je pomięsział z *Owadami*. — Drugim powodem, dla którego do oznaczenia *Skorupiaków* nie mogę użyć przymiotnika *Skorupiaste*, jest to; ponieważ tegoż samego przymiotnika *Jundzi* i inni poprzednicy moi użyli bardzo przyzwocie do oznaczenia tego Robactwa, które w skorupach wapiennych zamieszkuje. Szanując święcie to wszystko, co tylko dobrego w dawniejszych dziełach oyczystych znajduję, użyję tego przymiotnika podobnie jak tamci w podziale Mięczaków na *Nagie* i *Skorupiaste*. — Podobne, a może i mocniejsze powody mám do zachowania wszystkich innych nazwisk nowo utworzonych gromad; bo zawsze mám w żywój pamięci światłą przestrogę *Caesalpinusa*, że *Confusis nominibus, omnia confundi necesse est*.

na *Nieprzędące*. — Wszystkie do téy pory znane *Pająki przędące* są zwierzętami jadowitými. Moc jednakże ich jadu jest różná w różnych rodzajach i gatunkach; a nawet w jednym i tymże samym gatunku jest ona różná względnie do różnicy krajów, które zamieszkują. I tak, te z pomiędzy *Pająków przędących*, które żyją w krajach gorących i bliżej równika położonych, mają jąd mocny i często nawet niebezpieczny; gdy przeciwnie *Pająki* tegoż poddziału w krajach zimniejszych zamieszkałe są prawie całkiem nieszkodliwe. Między *Pająkami przędącými* w ciepłych krajach Europy zamieszkałými náygroźniejszym dotąd z wielkiój jadowitości jest rodzaj *Tarantula*; a mianowicie te jego gatunki, które się w krajach Włoskich znajdują. Wyznać jednakże potrzeba, iż *Tarantule* i dziwná moc ich jadu bardziój zostały okrzyczane, a niżeli w jstocie na to zasłużyły. Ażeby o tak wáżnym przedmiocie dać zgodniejsze z prawdą wyobrażenie: przytoczymy tu niemal dosłownie tłumaczony wyjątek z listu włoskiego, który 1817 roku napisał w Rzymie uczony *Franciszek Kanczellieri* do Doktora *Koreffa* Profesora Medycyny w Berlinie (a), a w którym między innymi wyrażá, co następuje:

(a) *Patrz*: Allgemeine Medizinische Annalen des neunzehnten Jahrhunderts auf das Jahr 1822. etc. Drittes Heft. Leipzig. na stronie 359 w Artykule pod napisem: Lettera di Francesco Cancellieri al Sig. Dottore Koreff Professore di medicina nell' Università di Berolino, sopra il Tarantismo, etc.

„Powszechném jest to mniemanie między pospółstwem naszym (we Włoszech), że ukąszenie Tarantuli wzniesia w ukąszonym niezbędną chęć do tańca, i że tego niebezpiecznego jadu nie można się juczęzy pozbydź z ciała, jak tylko muzyką i tańcem. Pierwszym z pomiędzy Autorów, który to błędne pospółstwa mniemanie pismami swojemi rozsiał po świecie, jest *Nicol Perollo* Neapolitańczyk, który żył w wieku piętnastym. Późnięzy *Bagliv* poparłszy zdanie *Perolla* nadał temu podaniu piętno wierzytelności; a tak urojenie ludu weisnęło się pomiędzy pracami naukowymi. Ścisłe atoli biorąc, tyle tylko jest rzeczą prawdziwą, że osoba ukąszona od Tarantuli doznaje bezsilności i ociężałości w członkach, tudzież znużenia snem, szczególniejszego gatunku tęsknoty i ciężenia na sercu. Jakkolwiek te uczucia są przykre dla ranionego: nigdy jednakże ukąszenie Tarantuli nie wprawiá ukąszony osoby w niebezpieczeństwo śmierci. Muzyka, podobnie jak każda jnná rozrywka, może prawdą choremu przynieść ulgę w cierpieniach; ale muzyka nie jest wyłącznym lekarstwem przeciw temu jadowi. Názwyczajniejszemi w tym przypadku są takie lekarstwa, które poty wzniesają, tkliwość nerwom przywracają i serce wzmacniają.” (a)

Z tych wyrazów listu *Kanczellierego* náysnadnięzy przekonać się można: o jle dáwniejsze podania o Tarantulach na wiarę zasługiwac powinny.

(a) *Cordialia et excitantia.* — *Patrz:* Bibliothek der practischen Heilkunde 1821. Monath September, na stronie 208.

Wyjaśniwszy rzecz o Tarantulach włoskich, przystąpmy do tych, które nás bliżęzy obchodzą. Ow wielki, bo około dwóch calów długi gatunek pajaków przędających, który pospolicie Tarantulą Kreczkiem nazywają (a), a który na Podolu, Pobereżu i dalęzy na Ukrainie w niektórych okolicach tak się licznie znáyduje, jż na trawnikach łąk i ogrodów trudno wyszukać takiego sążnia kwadratowego, w którymby przynajmnięzy dwóch jego nór niebyło; gdyż one nie robiąc siatek mieszkają w nórach: ten mówięzy gatunek Tarantuli posądżany jest o jadowitość śmiertelną. Oto jest wyjątek z listu z tamtych okolic pisanego, który potwierdzą powyższe podanie nasze (b).

„Jak tylko przybyłem w te okolice, opowiadano mi, że tu ludzie dosyć często umierają w skutku ukąszeń od Pajaka; ale zafundowany na tyłu światłych obrotach Pajaków, niechciałem dać wiary tém prostém podaniom. Lecz oto przed kilkunasto dniami dają mi znać z poblizkięzy wioski, że gumieny tamteyszy ukąszony od Pajaka niebezpiecznie jest chory. Przybywám do niego, i znáyduję go w stanie prawdziwie monstrualnym. Głowa jego tak już była spuchniętą, że przynajmnięzy dwa łokcie obwołu mieć mogła. Skóra na nięzy w wielu miejscach popękaná sączyła

(a) Tarantula Kreczek (*Lycosa ucrainensis*) zobacz w Tom. V. na str. 375 Zoologii Jarockiego.

(b) Jest to wyjątek z listu brata mego ś. p. *Józefa Jarockiego* Med. i Chirur. Doktora, który do mnie pisał pod d. 26. Maja 1828 r. w Sokolówce na Pobereżu,

„mnóstwo żółtę, nieprzyjemnie woniejący wilgoci;
 „a na lewéy skroni był czárniawy, wklęśły, twardy
 „punkt, który okazywał przechód w gangrenę. Prócz
 „tego puchlina zajęła już szyję i znaczną część piersi;
 „lecz puchlina ta niebyła podobną puchlinom zwy-
 „czáyném. Zapytany chory: z kąd pochodzi jego tak
 „przykrá słabość? odpowiedział, że przed trzema
 „dniami położywszy się na trawniku przy wrotach to-
 „ku (gumna), zdrzymnął się na boku lewym; a prze-
 „spawszy może kwadrans czasu, gdy się obudził, u-
 „czuł w téy skroni jakieś niemile uczucie, które je-
 „dnak ani bólem ani świeżbieniem nazwać nie może.
 „A że mu w pierwszych dniach niewiele dokuczało:
 „dlá tego nieszukáł rady lékarza. Wezwany za pó-
 „żno na próżno łożyłem wszelkie starania: gangre-
 „na szerzyła się gwałtownie, do téy przyłączyła się
 „gorączka z maligną, i ten nieszczęśliwy dziewiątego
 „dnia żyć przestał.— Jakkolwiek uporczywie lud tu-
 „teyszy przy twiérdzeniu swoim obstaje; já przecieź
 „temu nie wierzę, żeby tę chorobę zrzádziło ukąsze-
 „nie Pajáka. Doniosłem ci wiernie ten wypádek; lecz
 „niechcę cię uprzedzać, za co go uwázám: wolę ra-
 „czej oczekiwać zdania tak gorliwego obrońcy Pa-
 „jaków.”

Rzeczywiście choroba ta niebyła sprawą Pajáka.
 Wszakże tegoż samego roku, lubo cokolwiek późniéy,
 pokazała się ona w okolicach Woysławic za Krasnym
 Stawem; gdzie nigdy tém podobnych pajaków niebyło,
 i niéma; a blisko sto lát piérwéy grasowała podobná
 choroba w Państwie Szwedzkim, mianowicie w Bo-

thni, gdzie się takie pajaki nigdy nieznáydowały.
 Pospólstwo Szwedzkie przypisywało ją jakiéys żyją-
 cęy, malenkiéy, bo naksztált włosu szupłéy, i le-
 dwie jednę linią długiéy jstocie, która (podług nich)
 żyje, i rozmnáża się w tamteyszych bagnach; a wyła-
 żąc czasami na chwasty w nich rosnące, skoro od wia-
 tru porwaná padnie na jaką obnażoną część ciała lu-
 dzkiego: wciská się za skórę, i sprawia wyżéy opisa-
 ną, śmierć przynoszącą chorobę.— Na takiém podaniu
 ludzi opiérając się *Linneusz*, opisał tę zmyśloną jstotę
 między robákami pod nazwiskiem *Furia infernalis* (a).

Nauczeni postrzeżeniami niezawodnémí z pewno-
 ścią wyrzec możemy, że w mowie będącá choroba nie
 jest skutkiem ani ukąszenia Tarantuli Kreczka, ani téź
 wciśnienia się za skórę nieistniejący na świecie Fu-
 ryi.²⁾ Jest to gatunek *pryszcza złośliwego* (*pustula ma-
 ligna*), którego podobno jest więcéy odmian (b), a z
 których ninieyszą możeby náystosowniéy *Petociówką*
 nazwać można (c); gdyż w piérwszych chwilach zjá-
 wienia się jéy na ciele ludzkim wiele má podobień-
 stwá z plamką petociową, lubo znacznie jest większą.
 Lecz mnieyszá o nazwisko. Ten pryszc pokazuje się

(a) Zobacz: *Caroli a Linne Systema Naturæ, cura Gmelin.*
 Tom I. pars VI. pag. 3081.

(b) *Pustule maligne, bouton malin, puce maligne. Patrz w dzie-
 le: Traité des Poisons ou Toxicologie Générale etc. par M. P.
 Orfila. Tom II. pag. 518. Paris 1818.*

(c) Tę chorobę nazywają u nás Lékarze *Karbunkulem, Chro-
 stą czárną, lub Morówką.*

na ludziach náywięcéy w tenczas, gdy w bydle zaraza morowá, a szczególniéy gangréná śledzionowá, grasuje; gdyż petociówka powstaje z jedzenia mięsa takiego bydła; które wyżéy wspomnianéy zarazy zarwało. Co [większá? częstokroć samo powalanie się krwią, a niekiedy nawet i śliną zarażonego bydłęcia, było dostateczne do wzniecenia w człowicku téy zgubnéy choroby. Tak więc jedna zaraza tworzy drugą. Rzecz jednak osobliwszá, co doświadczenie nauczyło, że náy pewnością szrodkiem przeciw petociówce są pijawki, gdy się niemi wczesnie a gęsto plama jéy obstawi. Przez odciagnienie krwi tamuje się postęp puchliny, sama tylko plama przechodzi w gangrénę, i wypadá, zostawiając stożkowatą dziurę: osoba powraca do zdrowia: rana po wypadnięciu części zepsutéy goi się dosyć prędko; lecz dołek bardzo trudno zarasta. (a) — Po tém mimowolném, lecz do rzeczy potrzebném wyboczeniu, wracamy do Pająków, a mianowicie do Tarantuli Kreczka.

Zwróciwszy uwágę równie na wyżéy wzmiankowane mnóstwo znáydujących się na Ukrainie Pająków tego rodzaju, jak na to, że z przyczyny łagodnego klimatu tamtejszego pospólstwo Podola i Ukrainy przez całe lato chodzi boso, i większą liczbę nóć latowych na trawnikach przesypiá: więc gdyby tamtey-

(a) Inne szrodki przeciw téy chorobie wskazane są w wyżéy przytoczoném, toxykologiczném dziele *par Orfila* Tom II. pag. 551.

sze Tarantule tak były złośliwe i chciwe kąsania ludzi, niebyłoby podobno ani jednego dnia, w którymby kogo niepokaléczyły. Nie możemy prawda twierdzić, że one nigdy ludzi niekąsają (a); lecz przypadki te wydarzają się arcy rzádko, i to tylko wtedy, gdy Kreczek nie mogąc się ratować ucieczką, do bronienia się kąsaniem jest zniewolony. Ukąszenie jego sprawia wprawdzie dosyć mocne zapuchnienie miejsca ranionego; lecz puchlina ta nieokazuje dążności do przechodzenia raptownego w gangrénę, i ustępuje dosyć łatwo za użyciem zwyczajnych lékarstw antyflogistycznych. Nadto po ukąszeniu Kreczka widzimy na ciele ukąszoney osoby nie jedną plamkę; lecz dwie blisko siebie będące takie rany, jakgdyby to miejsce dwarazy jgła przekłuto; gdyż jád Tarantul równie jak wszystkich jnnych *Pająków Przędących* zawarty jest w owych dwóch długich, mniéy więcéy łukowatych i dowolnie ruchomych szponach, które do przodu jch szczęk są przytwierdzone. Te jadem groźne szpony szczękowe trzymają one zwyczajnie na spodniéy lub przy szrodkowéy stronie szczęk w rowkach ukryte, i tylko w tenczas je zapomocą osobnych muszkułów z wymienionych rowków podnoszą, i przed siebie nasrożają: gdy zdobycz złowioną zabić lub nieprzyjácieła swojego zranić usiłują. Urządzenie wewnętrzne w tych szponach szczękowych spostrzegamy znowu takie, jak w szponach przybyszowych Dzióbaków i w zębach jadowitych

(a) Będąc przeszłego lata na Pobereżu w dobrach JW. Marszałka Brzozowskiego, przyprowadzono mi dziewczynę, która rznąc trawę zagarnęła z nią kreczka, i została od niego w rękę ukąszoną.

Gadów węzowatych. Każdy albowiem szpon szczękowy Pająków przedających będąc léykowato rurkowaty, opatrzony jest małym otworem przy końcu ostrym; a w nasadzie swojej má pod sobą taki gruzeł, w którym się wyrabia i zbiera ciecz jadowitá. Za naciśnięciem szpona szczękowego na tenże gruczoł, jád w nim zebrany wytryskuje do rurki szponowéy; a z téy przepływa w zadana ranę owym małym otworem, który się przy końcu szpona znáyduje. Tyle o Pająkach Przedających.

Między lepiéy znanými *Pająkami nieprzedąciami* jeden tylko rodzaj *Niedźwiádka (Scorpio)* obéymuje zwierzęta prawdziwie jadowite. Lecz pomiędzy niemi zachodzi podobná różnica, jak między Pająkami do poddziału pierwszego należąciami; jád bowiem Niedźwiádków bawiących bliżéy równika jest bez porównania mocniejszy i niebezpieczniejszy od jadu Niedźwiádków Europejskich: nigdy atoli jád jch nie jest tak niebezpiecznym, ażeby się sám przez się miał stać przyczyną śmierci człowieka. Podług świadectwa wiary godnych Pisarzów jád Niedźwiádków wschodnio Indyjskich má bydź náygorszy, i oprócz mocnego zapuchnięcia rany przykrá trzechdniowá chorobę sprawiający. Ranioná od nich osoba doznaje naprzód przez dwadzieścia cztery godzin náydokliwszych, po całym ciele błákających się boleści, które w szóstéy godzinie po otrzymanéy ranie są náprzykrzeysze. W drugim dniu ustają bóle, a na jch miejsce następuje mimowolne drżenie i poruszanie się wszystkich członków podobnie jak w chorobie, którą *Táncem Świętego Wi-*

ta nazywają. Trzeciego nakoniec dnia po suchéy gorączce uderzają na ranionego gwałtowne poty; a te wyprowadzają jád z ciała, i chory wraca do zdrowia. Ukłucie Niedźwiádków europejskich sprawia wprawdzie przykrá bolésć w ranie, i dosyc znaczne spuchnięcie miejscá ukłutego; ale złych skutków za sobą niepociągá. Nawet i tych przykrości można się uchronić, skoro się rana sokiem Dryjakwi (a) natychmiast zapuści, lub taką oliwą posmaruje, w której Niedźwiádkki mokną (b).

Jád *Niedźwiádka* mieści się w owym długim, łukowatym szponie, który má wzniesiony na końcu ogona, a którego koniec ostry jest w tył zwrócony. Ten to szpon ogonowy służy Niedźwiádkowi równie za narzędzie do zabijania złowionéy zdobyczy, jako téż za broń przeciw nieprzyjaciołom swoim. Tak w biegu jak w spoczynku, zawsze Niedźwiádek má ogon na plecy zagięty, a szpon w pogotowiu do działania. Drażniony obraca się tyłem, i stara się przeciwnika swojego ukłuc szponem ogonowym. Zwróciwszy uwagę na tenże szpon, widzimy w nim toż samo urządzenie wewnętrzne, jak w broni jadowitéy tych zwierząt, któreśmy dotąd poznali. Ta jedynie zachodzi tu różnica, że przy ostrym końcu szpona Nie-

(a) Do tego zarówno jest skuteczny sok z liści jak z korzeniá tego gatunku rośliny, który Kluk nazywá: *Dryjakiew ugryzioná*, (*Scabiosa succisa*).

(b) Zobacz w Zoologii Jarockiego Tom, V. na str. 389.

dźwiádkowego nie jeden, lecz dwa są małe otwory, którými jád pod czas ukłucia wypływá.

To jest krótki rys tak narzędzi jadowitych jak skutków jadowitości tych zwierząt, które do gromady Pająków náleżą, a które, gdyby były większe, przewyższyłyby niechybnie mocą jádu swojego wszystkie jne jadowite na kuli ziemskiéj istniejące zwierzęta.

Nakoniec pozostaje nám jeszcze tylko jedna gromada, w którój się mieszczą zwierzęta jadowite; a tą jest gromada *Owadów*. Mnóstwo różno kształtnych jstót, które pod to nazwisko wcielámy, rozdzielić potrzeba na dwa działy: mianowicie na *Bezskrzydłe*, czyli takie, które w żadnéj płci i w żadnym wieku skrzydeł nie miéwają, i na *skrzydlate*. Między pierwszymi pokrewieństwo *Ostrorogich* (a), w którém się mieszczą z całej téj gromady náywiększe zwierzęta, te mówię olbrzymy między Owadami, náleżą do liczby jstót prawdziwie jadowitych. Lecz jak w jnych oddziałach zwierząt, tak i w tym zamorskie gatunki bardziéj są niebezpieczne, niż nasze Europeyskie. Szególniéj okrzyczaniami z jadowitości są dwa Amerykańskie gatunki, jako to: *Zjadlica olbrzymiá* (*Scolopendra gigantea*) i *Zjadlica Kúsacz* (*Scolopendra morsitans*). Z tych pierwszá, miéwając do dwóch stóp długości, już samą wielkością swoją przestraszá. Te

(a) Owady *Ostrorogie* (*Chilopoda*) w rzędzie *Licznonogich* (*Mitosata*) stanowią cztery następujące rodzaje: *Zjadlica* (*Scolopendra*), *Gryziga* (*Geophilus*), *Kamysznicá* (*Lithobius*) i *Podkloc* (*Scutigera*).

osobliwsze stworzenia urządzeniem narzędzi jadowitych náybardziéj są zbliżone do *Pająków przędących*; mają bowiem podobnież przy pyszczku po dwa łukowate, ostro kończyste, ruchome szpony, które także są rurkowate, na gruczołach jadowitych poosádzane, a przy końcu ostrym otworem opatrzone. Wáżná jednakże zachodzi tu różnica; gdyż te jádem groźne szpony u *Owadów ostrorogich* nie do końców szczęk, ale do boków spodniéj wargi są przytwierdzone, i że w czasie obojętności Owada ukrywają się w jéj przednim rowkowatym brzegu. Dobroczynne Przyrodzenie (z wáżnéj zapewne, lubo nám tajnéj, przyczyny) obdarzwszy te zwierzęta znacznym stopniem jadowitości, natchnęło je zarazem bojaźliwością i wstrętem do światła słonecznego, a pragnieniem do szukaniá ciemnych, wilgotnych i odludnych zakátów: tym sposobem usuwając je od ludzi w dzikie puscze pod zwaliska kamieni i kłody drzew pruchniejących, położyło tamé często wydarzać się mogącym niebezpieczném wypadkom.

W dziale drugim; to jest, między dotąd znanými *Owadami Skrzydlatými*, liczba jadowitych jest nierównie znaczniejszá; a z tych prawie wszystkie náleżą do rzędu *Błonkoskrzydłych* (*Hymenoptera*); jakiémi naprzyktád są: Mrówki, Pszczoły, Ossy, Galasówki i wiele jnych. Narzędziem jadowitém u tych zwierząt jest ów pospolicie czárniawy, szupły, ostro kończysty kolec, który mają w tylnéj części ciała ukryty, a który wtenczas z otworu odchodowego wysuwają, gdy nim kogo chcą zranić. Kolec ten nazywámy

Żądłem. Urządzenie tego nowego gatunku narzędzi jadowitych godne jest bliższej uwagi Badacza.

Otworzywszy z przyzwyczajoną ostrożnością część tylną ciała Owada jadowitego, widzimy w niej przez drobnowidz żądło otoczone muszkułami, które je podług woli Owada wysuwają i wciągają. Dalej między temiż muszkułami spostrzegamy dość spory gruzeł jadowity, do którego tylny koniec żądła za pośrednictwem osobnego błonowego kanału jest przytwierdzony. Przypatrzwszy się zaś dobrze samemu żądłu, widzimy, że jest w całej długości swojej lekko rurkowate, i że przy ostrym końcu opatrzone jest małym otworem. Słowem, jakkolwiek żądło Owada samo z siebie jest szupłe, mimo to znajdujemy w niem toż samo urządzenie wewnętrzne, jak w narzędziach jadowitych wszystkich tych zwierząt, któreśmy totąd poznali.

Ale jakimże sposobem odbywa się przepływanie jadu przez rurkę żądłową? — Wszakże żądło ugadzając w przedmiot zamierzony nietylko, że nie naciska na gruzeł pod niem będący; ale owszem wysuwając się z brzucha Owadowego, oddala się od gruczoła swojego? —

Jeżeli zwrócimy uwagę na to, co się wyżej powiedziało, że między muszkułami, które żądłem kierują, umieszczony jest gruczoł jadowity, i że tenże gruzeł z tylnym czyli z grubszym końcem żądła za pośrednictwem kanału błonowego jest połączony: rozwiązanie powyższego zagadnienia stanie się rzeczą nader łatwą. W tych bowiem chwilach, w których żądło

jest nieczynne i w brzuchu Owada ukryte: muszkuły, które do poruszania jego należą, a które oraz i gruzeł jadowity otaczają, znajdują się w spoczynku pofolgowane, i nie dotykają do gruzła. Lecz gdy żądło zostaje wypchnięte, muszkuły dopiero wspomniane muszą się natężyć i do siebie zbliżyć; a przeto i gruzeł w środku między niemi będący musi się ścisnąć. Im więc z większą gwałtownością wypychają żądło, tym mocniej ścisną gruzeł, i tym więcej wyciskają z niego cieczy jadowitej. Tak wyciśniony jad z gruzła płynie wspomnianym kanałem błonowym do rurki żądłowej; a z tej wpada do rany przez otwór przy końcu żądła będący. Otóż, jak widzimy, lubo odmiennym cokolwiek sposobem, dopina się tu jednakże tegoż samego celu.

Uzbroiwszy oko drobnowidzem, gdy przebiegamy różne gatunki Owadów jadowitych, natrafiamy powierzchnię żądła u jednych zupełnie gładką, u drugich zaś szorstką czyli wstecznie zadzierzystą. Nadto przekonywamy się, że żądła gładkie są pospolicie bez żadnej osłony; a przeciwnie żądła szorstkie otoczone są osobną dość tęgą pochwą. Taką poznawszy różnicę w zewnętrznej budowie żądła, łatwo domyśleć się można przyczyny, dla której jedne Owady kolą nieprzyjaciół swoich bez zostawiania żądła w miejscu ukłucia; drugie zaś w ranie zadanej żądło sobie utamują. Do rzędu ostatnich należy szczególniej *Pszczoła pospolita*. Przypatrując się ję żądłu przez dobry drobnowidz, widzimy, że oprócz strzałkowego tego gładkiego końca, całe najęzone jest drobnymi

w tył zadartými kolcami. Ta tak wielką szorstkość jest przyczyną, jż zawsze prawie po ukłuciu Pszczoły żądło jéy w ranie zostaje; wepchnięte bowiem w ciało przeciwnika, tak się w niem mocno zahacza wsteczny mi kolcami, jż się łatwiéy złamać niż wycofnąć może.

Zostawanie żądła Pszczolego w ranie zadanéy stało się powodem do dwóch następujących mniemań. A na-przód, pospólstwo utrzymuje, że Pszczoła ufamawszy sobie żądło w ciele przeciwnika swojego, pośpieszą zaraz na pokrzywę, zręwá z jéy liściá kolec parzący, i ten (dziwnym jakimś sposobem)? przyswajá sobie na miejsce utraconego żądła. To twiárdzenie, acz powszechnie od gminu przyjęte, nie zasługuje na naszą uwagę.— Drugiém, prawie równie powszechném mniemaniem jest, że Pszczoła po utracie żądła w krótcie żyć przestaje. O tém drugiém mniemaniu, jako sprzeczném z porządkiem przyrodzenia, należy powątpiewać. Wszakże *Pszczoły pospolite robocze* zabijają co-roczenie żądlami samców swoich, których Trutniami albo Trądami nazywamy. Że zaś, jak się wyżej okazało, żądło *Pszczoły pospolitéy* z przyczyny zewnętrzny budowy swojej przy ranieniu przeciwnika łamać się musi: więc przy wytępianiu próżniaków co-roczenie równá liczba z pracowitéy jch rzeszy ginący musiała. Czego gdy nie spostrzegają gospodarze chodowaniem Pszczół trudniący się: z tąd wniosek prosty, że utrata życia po utracie żądła nie jest u Pszczoły następstwem konieczném i nicodzowném. A jeżeli która w podobnym razie umiérá: to pewnie ta tylko, która sobie przy gwałtowném łamaniu żądła muskuły brzuchowe lub june wnętrzości potargáła.

Przyjawszy to za prawdę, że Pszczoły po utracie żądła bez potargania sobie wnętrzości żyć nie przestają: cóż się dzieje z resztą przyłamanego jch żądła?— Stająż się one nadal niezdolnemi do ranienia swych nieprzyjaciół?

Pytania te dla braku dokładnych doświadczeń muszą jeszcze pozostać bez zaspakajający odpowiedzi. Lecz że żądło tak potrzebną jest bronią dla Pszczół roboczych: z pewnością więc utrzymywać godzi się, że jm po złamaniu z czasem odrastać musi. Tym sposobem Pszczoły posiadałyby w téy przynáymniéy części tę zadziwieniá godną *moc odrádzania sobie członków utraconych*, którą w jnych zwierzętach, a szczególniéy w *Plazach* i *Skorupiakach* tylokrotne doświadczenia potwierdziły.

Moc jadu Owadów jest różná względnie do rozmaitości jch gatunków: żadnego jednakże Owada jąd nie jest tak mocny, ażeby pojedynczo dla Człowieka zastraszające mógł sprawić skutki. Ból dotkliwy przez niejaki czas w ranie, obok mniéy więcéy silnego zapognienia się i spuchnienia ciała w okolicy żądlém zadanego ukłucia, otóż i wszystko złe, które jąd dotąd znanych Owadów zrzádzić może.

Kończąc rzecz o Owadach jadowitych niemożemy pominąć tych zastanowieniá godnych uwąg: że więk-szą część dotąd znanych *Owadów jadowitych* prowadzi życie towarzyskie, składając mniéy więcéy liczne zgromadzenia:— że do większey liczby takich zgromadzeń wchodzą troistego gatunku jndwidua, to jest: *samce, samice* i *bezpłciowe* czyli robocze:— że zna-

czną ich liczba celuje między Owadami wysokim stopniem przemysłu i dążącą do pewnego celu pracowitością: — nakoniec, że prawie wszystkie cieszą się dłuższem od juncych Owadów życiem.

Lubo bardzo słaby stopień jadowitości, lecz ważny wyjątek równie w sposobie pomieszczenia jadu jak w juncych przymiotach okazuje Komór (*Culex*), ów powszechnie znany dwu-skrzydły owad; gdyż on má jąd w pyszczku; a to w ten sposób. W około nasady smoczka znáyduje się u niego duży, jąd wyrábiający gruczoł, który błonową trąbka nasadą swoją okrywá. Skoro Komór, dlá ssania z kogo krwi, swój długi i ostro kończysty smoczek w ciało wpychá, nietylko się wargi trąbki rozwijają; ale i cała trąbka ssuwając się ze smoczka ku głowie, naciská na wspomniány gruczoł, i wyciská z niego ciecz jadowitą, którą po powierchni smoczka spływá do rany, którą właśnie smoczek zadaje. Jakkolwiek mała ilość tego jadu dostaje się do ranki, dzielność atoli jego mocno czuć się daje sprawiając wielkości grochu nabrzmienie w miescu ukłutém; a w tém pálenie podobne owemu, jakie zrzádzá dotknięcie się *Pokrzywy zagawki*. Jeżeli się przypatrzemy smoczkowi Komora przez szkło mocno powiększające: zobáczymy, że owe pięć włókien, z których się smoczek jego składa, mają powierchnią głęboko w podłuż rowkowaną.

Po takim przedstawieniu dotąd znanych zwierząt jadowitych, i po wykazaniu podobieństwa w wewnętrzném urządzeniu ich narzędzi, któremi w zadane rany jąd swój wpuszczają: rzucmy teraz okiem na ciecz jadu zwierzęcego pod względem fizyczno chemicznym.

FRANCISZEK REDI (a) Włoch żyjący w wieku siedm-nástym był piérwszym z Naturalistów, który się zastanawiał nad jadem *Żmii*. Postrzeżenia jego (jak na ów czas) są bardzo ważne. Z powodu jednak zbyt niskiego stopnia, w jakim się za czasu jego nauki fizyczne i chemiczne znáydowały, to tylko można tu przytoczyć, że jąd *Żmii* porównał z *olejem migdałowym*. Późniéy MEAD, JAMES, JUSSIEU, FONTANA I RUSSEL zajmowali się rozwągá jadu tak grzbietnych jak niegrzbietnych zwierząt. Postrzeżenia FONTANY (b) jako skutki náytroskliwszych bádán zasługują szczególniéy na uwagę. Podług niego jąd wszystkich dotąd znanych tak grzbietnych jak niegrzbietnych zwierząt má następujące wspólne własności.

Czysty świeżo otrzymany jąd zwierzęcy nie má żadnego zapachu, jest blado żółtawy, przezręczysty i

(a) FRANCISZEK REDI d'Arezzo urodził się 1626, a umarł 1698 roku. Dzieła, które nám zostawił, są następujące:

1. Observationes de Viperis.
2. Epistola de quibusdam objectionibus contra suas de Viperis observationes.
3. Experimenta circa generationem Insectorum.
4. Experimenta circa varias res naturales, speciatim illas, quæ ex Indiis afferuntur.
5. Observationes circa illas guttulas et fila ex vitro, quæ rupta in quacunque sui parte, dissiliunt et comminuntur.

(b) Patrz: FELIX FONTANA, Recherche fisiche sopra il veneno della Vipera, etc. Luca 1767.— albo FELIX FONTANA über das Viperngift, die amerikanischen Gifte, das Kirschchlorbeergift und einige andere Gifte. Berlin 1787.

tak płynny jak oliwa czysta. Puszczony kroplami na tafelę szkła, i wystawiony na powietrze, nabiera w krótko gęstości rzadkiej galarety. W tym stanie okazuje wielką lepkość ciągnąc się włóknisto między palcami. Zostawiony dłużej na powietrzu tężeje coraz bardziej: wreszcie, gdy zacznie schnąć, owe na szkło puszczone krople jego pękają się promienisto od środka. W wyschniętym niepostrzegamy nawet przez drobnowidz żadnego śladu krystalizacji. Suchy jąd wystawiony w patelni na ogień bynajmniej się nie topi, lecz wzdyma się z początku; a później, gdy zczernieje, zapala się płomieniem.— Świeży jąd zwierzęcy wlańy do zimnej destylowanej wody wcale się z nią niełączy; ale zachowując w niej sobie właściwy kolor, opada kroplami na dno naczynia podobnie jak olej *Sassafras* lub *Cynamonu*. Jest więc cięższy niż woda. Nieroztworzą się także w Alkoholu. Tak suchy jak świeży rozpuszcza się zupełnie w wodzie ciepłej, i daje roztwór czysto przezręczysty, w którym niszcząca moc swoją zachowuje. Za wlańiem dostatecznej ilości alkoholu roztwór powyższy mętnieje natychmiast przybierając kolor mléka; a pochwili pokazuje się w nim osąd biały.

W dopięro wyliczonych własnościach jadu zwierzęcego widząc FONTANA podobieństwo z własnościami *Gummy-arabskiej*, wnosi, że te dwa na pozór tak bardzo różniące się przedmioty mają jednaki skład chemiczny. Wniosek ten zdaje się być przedwczesnym. Wniędźmy w rzecz ściśle; a może we właściwych FONTANY spostrzeżeniach znaydziemy ważne ró-

żnice, dla których gummy-arabskiej i jadu zwierzęcego za ciała jednorodne poczytać niepodobna.

Wiemy naprzód, że czysta gumma-arabska nie ma żadnego smaku. Przeciwnie z podania FONTANY wyczytujemy, że jąd *Żmii* wzięty na język sprawia w nim dosyć długo trwające tak ciępkie uczucie, jakie po gryzieniu niedoyrzałych owoców w ustach zostawać zwykło; jąd zaś *Szerszenia* i jnych zwierząt niegrzbietnych ma smak tak mocno palący, że nawet w małej ilości na język puszczony przez kilka godzin dokuczać będzie.

Powtóre, jle nám wiadomo, gumma-arabska nie ma szkodliwego wpływu na krew zwierząt. Przeciwnie uczą nas przypadki o jądzie. Sam nawet FONTANA przytacza własne, bardzo ważne dwa doświadczenia. Naprzód rozpuścił on w ciepłej wodzie kilka kropel jadu *Żmii*; a otworzywszy *Królikowi* arteryję w szyi, wpuścił w nią zapomocą sikawki powyższy roztwór. Natychmiast zdecht ów Królik wydając krzyk wyrażający náydotkliwszą boleść. Przy rozczłonkowaniu jego znalazł FONTANA w sercu i w uszach sercowych krew czarną i ssiadłą; w jnych zaś żyłach była prawda płynną; lecz wszędzie podobnie czarną. Nadto płuca jego były plamami upstrzone i flegmą powleczone, a trzewia i muszkuły tak piersi jak brzucha mocno zaognione.— Drugie doświadczenie FONTANY jest następujące. Do kilku kropel świeżo upuszczony i jeszcze ciepłej krwi wlał kroplę jadu *Żmii*. Zaraz krew ta przybrała kolor czarny; a gdy ostygła: zamiast się ssiadać, stała się rzadszą, i biątka (*serum*) z siebie nieoddzeliła.

Z tych dwóch doświadczeń pokazuje się, że jąd Żmii czerniąc krew, sprawia w niéy prócz tego stósownie do okoliczności dwoisty, a zupełnie przeciwny skutek; bo płynącą w zwierzętach żyjących przynaglą do ssiadania się; a oddzielony od ciała ssiadać się nie pozwala.

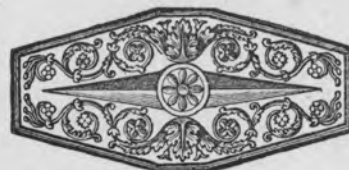
Po trzecie nakoniec; roztwór czystéy gummy-arabskiéy nie okazuje na próbach chémicznych żadnego śladu ostrości. Przeciwnie MEAD, JAMES i JUSSIEU utrzymują, że jąd Żmii czerwieni tynkturę *lakmusu*: i to właśnie było powodem, że JAMES radzi *ammonija*: za najsukuteczniejsze lékarstwo przeciw jadowi zwierzęcemu. Wreszcie sám FONTAÑA pisze, że na papierze w soku *rzodkwi* umączanym świeży jąd Pszczół i Szerszeniów dawał plamy czerwone, które po chwili zamieniały się w blado żółte.

Bydź może, jż jąd zwierzęcy zawiera w sobie wiele części wspólnych z gummą-arabską; lecz mówiąc otwarcie, wyznać potrzeba, że właściwych pierwiastków jego z pewnością jeszcze nieznamy.

Na ostatek wspomnieć tu wypadá o takich zwierzętach, które dlá tego poczytane są za jadowite; ponieważ mają mięso tak niezdrowe, jż zjedzone prędkiéy i gwałtownéy śmierci stają się przyczyną. Takiemi są szczególniéy niektóre w morzach mieszkające Gady, Ryby i Skorupiaki (a). Lecz że te zwierzęta nie mają narzędzi jadowitych: przeto je raczéy do jstót truciznowych, a nie do jadowitych policzyć należy. Jąd

(a) Patrz w Zoologii Jarockiego w tomie 3 na stronie 15, tudzież w tomie 4 na stronie 416 i w kilku miejscach Tomu 5go.

bowiem zwierzęcy (jak się wyżej okazało) w ten czas tylko działa szkodliwie, gdy jest w bezpośredniém zetknięciu się z krwią i z naczyniami krwistými; zażyty zaś wewnątrz zostaje strawiony bez żadnego dolegliwego skutku. Przeciwnie rzecz się má z truciznami; gdyż te, lubo mogą mieć szkodliwy wpływ na organizm zwierzęcy przez zewnętrzne użycie, całą jednakże moc swoją wywierają w ten czas, gdy są wewnątrz użyte. Słusznie więc mowa nasza rozróźnia *truciznę* od *jadu* dwiema od dawna używanými wyrazami.



Wszystkie te ptaki, które w naszym kraju żyją, są bardzo różnorodne i różnią się od siebie wieloma sposobami. Niektóre z nich są bardzo duże i mają silne skrzydła, podczas gdy inne są bardzo małe i mają słabe skrzydła. Niektóre z nich są bardzo piękne i mają kolorowe upierzenie, podczas gdy inne są bardzo brzydkie i mają szare upierzenie. Niektóre z nich są bardzo łagodne i nie atakują człowieka, podczas gdy inne są bardzo agresywne i atakują człowieka. Niektóre z nich są bardzo inteligentne i mogą się uczyć, podczas gdy inne są bardzo głupie i nie mogą się uczyć.



Wszystkie te ptaki, które w naszym kraju żyją, są bardzo różnorodne i różnią się od siebie wieloma sposobami. Niektóre z nich są bardzo duże i mają silne skrzydła, podczas gdy inne są bardzo małe i mają słabe skrzydła. Niektóre z nich są bardzo piękne i mają kolorowe upierzenie, podczas gdy inne są bardzo brzydkie i mają szare upierzenie. Niektóre z nich są bardzo łagodne i nie atakują człowieka, podczas gdy inne są bardzo agresywne i atakują człowieka. Niektóre z nich są bardzo inteligentne i mogą się uczyć, podczas gdy inne są bardzo głupie i nie mogą się uczyć.

(1) Wskazywanie na ptaki, które w naszym kraju żyją, są bardzo różnorodne i różnią się od siebie wieloma sposobami.

O PTAKACH OLBRZYMICH

POROZUMIENIE MIĘDZY ZNANYMI NATURALISTAMI
I TYMI, KTÓRZY WIELKIM PTAKOM

WYDANE W 1810 ROKU

O PTAKACH OLBRZYMICH.

Wszystkie te ptaki, które w naszym kraju żyją, są bardzo różnorodne i różnią się od siebie wieloma sposobami. Niektóre z nich są bardzo duże i mają silne skrzydła, podczas gdy inne są bardzo małe i mają słabe skrzydła. Niektóre z nich są bardzo piękne i mają kolorowe upierzenie, podczas gdy inne są bardzo brzydkie i mają szare upierzenie. Niektóre z nich są bardzo łagodne i nie atakują człowieka, podczas gdy inne są bardzo agresywne i atakują człowieka. Niektóre z nich są bardzo inteligentne i mogą się uczyć, podczas gdy inne są bardzo głupie i nie mogą się uczyć.

Wskazywanie na ptaki, które w naszym kraju żyją, są bardzo różnorodne i różnią się od siebie wieloma sposobami. Niektóre z nich są bardzo duże i mają silne skrzydła, podczas gdy inne są bardzo małe i mają słabe skrzydła. Niektóre z nich są bardzo piękne i mają kolorowe upierzenie, podczas gdy inne są bardzo brzydkie i mają szare upierzenie. Niektóre z nich są bardzo łagodne i nie atakują człowieka, podczas gdy inne są bardzo agresywne i atakują człowieka. Niektóre z nich są bardzo inteligentne i mogą się uczyć, podczas gdy inne są bardzo głupie i nie mogą się uczyć.

O PTAKACH OLBRZYMICH

c z y ł i

PORÓWNANIE DOTĄD ZNANYCH NIELÁTAJĄ- CYCH BIEGAJĄCYCH PTAKÓW.

RZECZ NAPISANA W 1825 ROKU.

Menażeryja zwierząt P. *Hermana van Aken* ząymu-
jącá od niejakięo czasu uwągę Publiczności stolicy
naszýy, zawiera w sobie bez wátpieniá wiele cieka-
wych i rzádkich gatunków. Mówić w tém piśmie za-
mierzamy o dwóch ptakach, po ráz piérwszy na sta-
łym lądzie Europy ukazywanych, które PP. WITH,
LATHAM i CUVIER pod nazwiskiem *Casuarius novae*
Hollandiae opisali, a które VIELLOT nie bez powodów
za osobny rodzaj uwážając, pod nazwiskiem *Dro-*
majus Emio między *Reami* i *Kazuarami* w systema-
cie pomieścił. Porównamy więc je z dáwnieý zna-
némi do tegoż rzędu należącemi rodzajami, korzysta-
jąc z tak rzádkieý sposobności, dozwalającý nám nao-
cznie to porównanie uczynić.

Wiadomo, że náywiększym dotąd znanym ptakiem
na kuli ziemskiéy jest *Strus* (*Struthio camelus*) mie-
szkaniec piászczystych krajów Afryki, który ósm stóp

wysokości przerasta. Pierwsze po nim miejsce zajmuje *Rea* (*Rhea americana*), która żyjąc w stepach Ameryki południowej sześciu stóp wysokości dochodzi. Trzecie co do wysokości miejsce należy się *Kazuarom*, z których dawniej znany (*Casuaris Emeu*) mieszka w Indyjach wschodnich i na wyspach jém przyległych; drugi zaś *Casuarius Novae-Hollandiae* lub *Dromajus Emio* znajduje się w Nowej Hollandyi, a mianowicie na pobrzeżu Botany-Bay i przy zatoce Jacksona.

Wszystkie te cztery gatunki ptaków pozbawione są náycelniejszój, jnném ptakóm właściwój zdolności; bo wszystkie cztery z przyczyny zbyt krótkich skrzydeł latać nie umieją. Względnie do takiego upośledzenia znajdujemy ważną zmianę w wewnętrznej jch budowie ciała. Wszakże u jnnych ptaków łódkowatą kość piersiową opatrzoną jest na szrodku długą i wysoko podniesioną krawędzią, do której przytwierdzone są potężne muszkuły, któremi skrzydła poruszają; przeciwnie u tych kość piersiową jest prawie zupełnie płaską lub słabo wypukłą, i nie má na szrodku żadnego wywyższenia. U jnnych ptaków náyznaczniejszą ilość mięsa mieści się na kości piersiowej: przeciwnie u tych kość piersiową pokrytą jest cienkimi tylko muszkułami. Zupełną niemożność lątania wynagrodziło jém Przyrodzenie nadzwyczajną szybkością biegu; a lubo wszystkie wyżej wymienione z przyczyny wielkości swojój wydają się ociężałymi i niedosyć zwinnymi: przecieź biegają z taką szybkością i zwinnością, że jch z trudnością tylko charty dopędza-

ją. Wszystkie nie mają u nóg palca tylnego. Napotkane pojedynczo są płocne i bojaźliwe; przeciwnie w obronie gniazd i dzieci stawiają się z zadziwiającą odwagą. Mianowicie samce bronią potomstwa swego wierzgając nogami jak konie. Wszystkie gnieźdzą się na gołej prawie ziemi. Dzieci wszystkich lęgną się pokryte puchem z oczami otwartymi, i zaraz po wydobyciu się z jaj same szukają dla siebie pożywienia. Wszystkie żyjąc gromadnie żywią się roślinami i jch nasionami. Otóż to te własności są wspólne czterem wyżej wymienionym gatunkom ptaków. Zwróćmy teraz uwagę na takie szczegóły, które jstotne między niemi stanowią różnice; a naprzód zaczniemy od Strusia.

1. STRUŚ. (*STRUTHIO CAMELUS*).

Zaraz na pierwszy rzut oka różni się Struś tém od jnnych siebie náybliższych, że u nóg má tylko po dwa naprzód zwrócone palce, z których większy (przyszrodkowy, wewnętrznym zwany) kończy się potężnym, daszkowato kopytkowatym pazurem; krótszy zaś (skrajny) palec jest tępy i bez pazura. Przeciwnie trzy jne wyżej wymienione gatunki mają u nóg po trzy naprzód zwrócone palce, z których wszystkie zakończone są grubymi pazurami.

Kuper Strusia porasta tak licznymi, długimi, kędzierzawo strzępiastymi piórami, jż má dosyć okazały, kępiasty ogon. Przeciwnie jne trzy gatunki mając całe ciało, położystymi piórami pokryte, mają tył zaokrąglony, i nieokazują ani śladu ogona.

U Strusia całe boki ciała i całe nogi są zupełnie nagie. Przeciwnie trzy june wyżey wymienione gatunki mają tak boki ciała jak uda gęsto piórami pokryte.

Te są zewnętrzne celniejsze cechy, którými się Struś afrykański (czyli właściwy) od jnnych biegających nie-lotnych ptaków rozróżnia. Rzućmy jeszcze okiem na wnętrzości jego. Struś má wole wielkie, a żołądek wyraźnie na dwie torby przedzielony, i dużą kizką ślepą (coecum) opatrzoną (a). Trzewia jego są bardzo obszerne; a mianowicie jego nad miarę rozszerzoną kizka odchodową zastanawiała już od dawna badaczów. Jego płuca, serce i wątroba są stósowne do wielkości ciała. Mięso (mianowicie młodych) jest smaczne; lecz jaja nierównie smaczniejsze. Są one żółtawo brudno białe, zaokrąglone, a każde wáży blisko trzy funty, (bo 2 funty 14 uncyy). Jedna samica znosi zwykle na gołym piasku od 16 do 20 jaj; a z tych wysiaduje náywięcéy 7 lub 8 piskląt, które przychodzą na świat rudawo szarym puchem pokryte. Samice zazwyczaj na zawsze tę masę piór zachowują; samce zaś stają się czarne, a w skrzydłach i w ogonie mają pióra białe. Znáydują się jednakże między niemi całe czy-sto białe odmiany.

2. REA. (*RHEA AMERICANA*).

Náybliższą Strusia jest Rea; gdyż równie u niéy jak u Strusia skrzydła są jednako zbudowane, i lubo

(a) Kizkę grubą czyli ślepą pospólstwo nasze nazywá zwykle *Maćkiem*.

do látania niezdatne, są jednakże tak duże i tak suto długiémi strzępiastými piórami pokryte, że jém w spoczynku całe boki ciała okrywają, a podczas biegania nie małą czynią przystugę; gdyż máchając niemi, i równowágę ciała utrzymują, i bieg znacznie przyspieszają. Przeciwnie u Kazuarów skrzydła są tak małe, że tylko szatkami skrzydeł nazywaćby się powinny. Lecz jle podobieństwo skrzydeł zbliża Reę do Strusia, o tyle oddala się od niego jnnými wyżey (*w mowie o Strusiu*) wymienionými różnicami: nadewszystko zaś budową nóg, które mają po trzy naprzód zwrócone palce, a z których wszystkie kończą się miernými, prawie równými, zaokrąglonými pazurami. Nadto zaraz na piérwszy rzut oka rozróżniamy Reę równie od Strusia jak od jnnych współrzędnych tém, że má głowę miernie wypukłą, zaokrągloną i podobnie jak całą szyję gęsto drobnými piórami pokrytą; gdy przeciwnie u Strusia głowa jest płaská i wráz z szyją nagá.

Gdyby wewnętrzny skład Rei był znany, znaleźlibyśmy zapewne i w nim odmiany takie, któreby liczbę różnic pomnożyły; lecz wyznać potrzeba, że ten pták nie był jeszcze pod względem naukowym rozbiórany.

Mięso Rei (mianowicie młodych) jest wyborne, starych zaś przytwarde. Jch jaja podobne strusiém, są jednakże znacznie mniejsze, i wáżą tylko po dwadzieścia dwie uncyy. Samice dorosłe są zwykle szarawo białe, z plecami ciemno szarými. Samce różnią się tém zaraz na piérwsze weyźrzenie, że mają cały kark czárniawy. I między témi ptákami znáydują się zupełnie

białe i mniéy więcéy czárniawe odmiany. Rea żyje náyliczniéy w królestwie Chili przy pasmie gór Andyjskich.

K A Z U A R Y.

Pozostały nám jeszcze dwa gatunki ptaków, z których jeden (jak się już nadmienilo) żyje w Indyjach wschodnich; drugi zaś w Nowéy Hollandyi. Jakkolwiek te dwa gatunki ptaków olbrzymią wielkością zbliżone są do poprzedzających, tak chociażbyśmy na inne różnice nie mieli względu, już sama zbyteczná małość jch skrzydeł, która jest tak uderzającą, różniąc je zaraz na piérwszy rzut oka równie od Strusia jak od Rei i niedozwólając jch ani z piérwszym ani z drugim rodzajem połączyć: zbliża tém samém obadwa do siebie, i usprawiedliwia zdanie náyślawniejszych wieku naszego Zoologów, jakimi są: WITH, LATHAM i CUVIER, którzy obadwa do jednego rodzaju *Casuarus* wcielają. Lecz z drugiéy strony wążąc rzeczy na szali słuszności, nie można odmówić sprawiedliwéy zalety wielce zasłużonemu Ornitologowi P. VIELLOT, który te dwa gatunki ptaków za dwa oddzielne rodzaje uważa; ponieważ są między niémi różnice takie, których nikt zaprzeczyć nie może, a które bezstronny badacz za stanowcze poczytać musi. Zastanówmy się naprzód nad dawniéy znanym, czyli nad Kazuarem właściwym.

3. KAZUAR (*CASUARIUS EMEU*).

Kazuar właściwy mieszkaniec południowéy Azji i wysp jéy przyległych, dorasta tylko pięciu stóp wy-

sokości; lecz właściwe ciało jego nie wiele jest mniejsze od ciała Strusia. Ten olbrzym ptastwa azyjatyckiego oprócz różnic, któreśmy wyżéy w uwągach nad Strusiem wymienili, odznaczá się jeszcze:

1. Że má na czole i na części dzióba duży, tępo klinowaty, rogowy wyrost, który mu nie mało okazałości dodaje, a którego wszystkim jnym współrzędnym nie dostaje.

2. Że má głowę i wiérzchnią część szyi nagie, pięknie błękitne z karkiem ponsowym pozmarszczanym.

3. Że na bokach przodu szyi má dwa długie, nagie, tępo języczkowate płatki skórzane, które w części są błękitne, a w części pięknie ponsowe.

4. Że jego dziób jest wyższy niż szerszy, z boków ściśniony, a z wiérzchu zaokrąglony.

5. Że jego skrzydła, jakkolwiek bardzo małe, są jednakże jeszcze dosyć wyraźne; a każde z nich má u tylnego brzegu po pięć długich rogowych prętów, które miejsce lotek zastępują.

Nakoniec w jego grubych, a mniéy wysokich tróypalczastych nogach spostrzegamy tę ważną różnicę, że pazur palca przyszrodkowego (wewnętrzny) jest przeszło dwa razy dłuższy od dwóch jnych.

LATHAM (w dziele swojém o ptákach) pisze: „że jaja Kazuara azyjatyckiego są podługne, do kształtu eliptycznego zbliżone, a przy tém blado szarawo zielone, w popielate przebijające, wywyższonémi ciemno zielonémi kropkami upstrzone.”— Dwa jaja które w miesiącu Maja r. b. zniosła samica tego gatunku będąca w bawiącej tu menażeryi P. Hermana v. Aken,

nieodpowiadają ze wszystkiém dopiero przytoczonemu opisowi. To prawda, że są podługowato eliptyczne; ale przytém prawie zupełnie gładkie i niemal jednostajnie czysto jasno majowo zielone; gdyż tylko na końcach i gdzieniegdzie na bokach mają drobne, płytkie, blade żółte dołki. Nie zgadzanie się to (z powyższym opisem) albo jest skutkiem przemiany: to jest, że LATHAMOWI podsuniono jaje gatunku następującego, za jaje *Kazuara azyjatyckiego*; albo téż może i to, że tu w Warszawie zniesione wydane zostały na świat bez przyczynienia się samca, którego P. Aken nie posiada. Bliższym jednakże prawdy, zdaje mi się, że jest domysł pierwszy; bo samice wszystkich jnych lepięz znanych ptaków niosąc jaja bez párzenia się, znoszą je zupełnie podobne zapłodnioném. Ostatnie z tych dwóch jáy zniesione d. 10 Maja r. b. (1825) wążone przeze mnie w obecności kilku osób wáżyło łótów *pięćdziesiąt dwa i pół* ($52\frac{1}{2}$) polskiéy kupieckiéy wági. Kupione za 48 zł. znáyduje się w Gabinetcie Zoologicznym Król. Warsz. Uniwersytetu.

Jch dzieci przychodzą na świat szarawo rdzawym puchem przyodziane i bez wyrostu na głowie, który dopiero w ten czas wyrastać jm zaczyna, gdy się czárniemi piórami pokrywać poczną. Dorosłe są jednostajnie ciemno czárne słabo w brunatne przebijające, a głos jch rechający má cokolwiek podobieństwa z rechaniem świni.

Do takich zewnętrznych różnic łączy on nie mniéy wáżne różnice w wewnętrzny budowie swojéy. Má wprawdzie wole wyraźne, lecz nié má drugiéy torby

żołądkowéy, która w Strusiu jest poszrodkowá między wolem a żołądkiem właściwym. Kiszka ślepá jest w nim mała, a trzewia krótkie i w stosunku do ciała tylko miernie obszerne. Serce, płuca i wątroba odpowiadają wielkości jego. Mięso má czárne, twarde, łykowate i niesmaczne.

4. DROMÁY. (*DROMAJUS EMIO. VIELL.*)

(*CASUARIUS NOVAE-HOLLANDIAE. WITH.*)

Wcale jnaczyéy urządzone znáydujemy wnętrzości w tym ptaku; który się na Nowéy Hollandyi znáyduje, a którego Angielscy żeglarze nazwiskiem *Demio* oznaczają. Podług świadectwa WITHA nié má w nim ani wola, ani drugiéy torby żołądkowéy, ani kiszki ślepéy; sám zaś żołądek jego jest błonowy workowaty. Od żołądka aż do otworu odchodowego ciągnie się tylko jedna, miernie obszerená, porządnie pozwijaná, przeszło sześć łokci długá kiszka. W dziko żyjących znáydował WITH żołądek wypełniony trawá i kwiátkami. Serce i płuca są proporcjonalne do wielkości ciała; lecz wątrobę znaleziono w nim tak nadzwyczaj małą; że ją WITH do wątroby *Drozda Kosa* (*Turdus merula*) przyrównał. Przy tak małym wątrobie znáydował się dosyć duży i obficie wypełniony worek żółciowy.

Do takiego urządzenia wnętrzości łączy ten pták następujące zewnętrzne różnice. Dorostá blisko siedm stóp wysokości, a skrzydła má tak małe i między piórami boków ciała tak ukryte, że jch wcale nieznac. Potrzeba się dotknąć ptáka, ażeby się o jch obecności

przekonać: jakoż dotknąwszy się znajdujemy u niego bardzo małe (bo ledwie pięć calów długie) raczej bezwładne jakies przysadki niż skrzydła, które kończąc się pazurem pokryte są wietkami piórkami, i nie mają owych prętów, które nás u *Kazuara właściwego* zastanawiały.

Dziób má gruby, tępo klinowaty, przy nasadzie szerszy niż wyższy, na wierzchu lekko wypukły, na końcu zaokrąglony. Otwory nosdrzy jájkowate znajdują się u niego na wierzchu dzioba bliżej końca niż nasady.

Nie dostaje mu wyrostu na głowie i piórek pod szyją. Jego głowa i szyja są piórami pokryte; tylko w około otworów słuchowych spostrzegamy po jednę nagię bladą błękitną smudze, która klinowato na początek szyi zasięga, a która u samca jest wyraźniejszą. Nogi má podobne jak *Rea*, to jest: każda noga jego má po trzy naprzód zwrócone palce, a każdy palec kończy się grubym, tępym pazurem, których długość jest prawie jednaká. Pióra na tym ptaku są podobne jak na *Kazuarze*, to jest: są one długie, wązkie wietkie i podwójne; czyli tak ukształcone, że z każdéj dutki po dwa oddzielne pióra wyrastają. Mięso jeh jest smaczne, soczyste, mięsu młodego wołu podobne. WITH pisze, że jeh jaja są pięknie zielone: co téż wypádek potwierdził; gdyż dnia 8 Lutego r. b. w wieczór, samica w menażeryi P. Aken będącá zniosła jaja, które mi właściciel jescze ciepłe przysłał na pokazanie; a to było z kształtu podobne jajom *Kazuara* azyjatyckiego, to jest: było podługowate, do kształtu eliptycznego zbliżone; lecz przytém jasno seledyno-

wo zielone, pięknymi ciemno trawisto zielonemi wywyższonemi kropkami gęsto upstrzone. Te kropki będąc w wielu miejscach z sobą połączone, tworzą rozmaicie pogieęte hieroglifom podobne zagonki, które piękność jego powiększają, a powierzchnią bardziéj chropowatą czynią. Wáżyło czterdzieści pięć łutów wági naszéj. Kupione za 60 zł. znajduje się w Gabinetcie Zoologicznym Król. Warsz. Uniwersytetu (a). — Jch dzieci są biało i brunatno w podłuz smugowane. Na dorosłych całe pokrycie jest jednostaynie rudawo szare. Głos wydają bardzo cichy, bębniący, raczej hurgotaniu wewnątrz ciała niż głosowi podobny. Przy wydawaniu tego głosu rozdymają całą szyję.

Wykázaliśmy podobieństwo tych ptaków z *Kazuarami*, lecz nie pominęliśmy także i różnic, jakie między niemi zachodzą. Z tego zaś, co się powiedziało rzecz widoczna; że czy kto ptaka w mowie będącego nazwie *Dromajem*, czy *Kazuarem Nowo-Hollandskim*, zawsze będzie miał słuszne powody za sobą; bo za piérwszém nazwiskiem mówi zgłębiecie naukowe różnic: za drugim powága náyświetniejszych Mężów w nauce Zoologii; lecz ani ze *Strusiem* ani z *Reą* w jeden rodzaj *Dromaje* połączyć się nie dadzą: w żadném téż dotąd jstniejącém dziele zoologiczném nie były z niemi łączone.

(a) Dla zachowania wierzytelnej pamiątki, że te w Gabinetcie Zoologicznym znajdujące się jaja tu w Warszawie były zniesione, postarałem się o sporządzenie urzędowego aktu podpisanego przez naocznych wiary godnych świadków, który przy tychże jajach jest złożony.

dziuple, które się blisko ziemi znajdują; gdyż pracowita, i z każdej chwili pogodnego dnia korzystać chcąc pszczół, nąbardziéy lubi schronienie takie, które jest blisko poziomych kwiatów, ażeby zyskanego z nich zbioru wysoko niedźwigafa, i czasu nie marnotrawiła. Takie téż było, i jest samowolne osadzanie się *pszczót dzikich*; a te jch siedziby nąystosowniéy *ulami samorodnémi* nazwaćby można; pospółstwo zaś nasze nazywá je *ulami ślepémi*.

W wiekach naszych Naddziadów (równie jak i dziś) znalazłszy Człowiek ul samorodny nie mógł jnaczeý dostać zawartego w nim miodu i wosku, tylko przez odłupanie z owego drzewa takiéy drzázgi, ażeby przynąymniéy wznacznéy części śpichrze pracowitéy rzeszy odłonione zostały. Tego dokázawszy, zabiérá jém tyle, jle mu rozsádek lub chciwość kázafa; lecz pragnąc i nadal korzystać z tego odkrycia, zamknął zapewne zrobiony otwór tąż samą odłupaną drzázgą, lub zrobił umyślnie do otworu *dłużnié* (a). Jakkolwiek atoli ją przytwierdził, zrobiwszy ráz przystęp do mieszkania pszczót, które sobie blisko ziemi obrały, otworzył do nich drogę nietylko káżdemu *tutajcemu się próżniákowi*, ale nawet i káżdemu miód lubiącemu zwierzęciu; a mianowicie niedźwiedziom. Łupione ustawicznie pszczoły, pomimo náyskrzętniéy

(a) *Dłużnia, Dłużnica, Dłużec, Placha* są to nazwiska techniczne prowincjonalne, które oznaczają ów wáski kawałek deski, którym się zamyká okno ula, czyli ten otwór ula kłodowego lub barci, przez który się miód podbiérá.

szą pracę musiały ginąć z niedostatku żywności i z niedostatku rozplódu. Widząc to właściciel lasu, a chcąc i sobie korzyść zapewnić i tak użyteczny owad od zagłady zabezpieczyć, wpáđł na myśl usunięciá mieszkańá pszczót od ziemi przez zrobienie sztucznych wydráżeń wysoko na drzewach gładkich, które nazwał *barciami*. W tych osadziwszy dzikie pszczoł roje, utrudnił do nich przystęp *spróżniaczátemu* ludowi, a niedźwiedzi odstraszał przydanémi samolówkami i samobitniami, czyli wolno przy dłuźni zawieszonémi pátkami.— Był to piérwszy, lecz z przyrodzeniem pszczót nąyzgodniejszy sposób przyswojenia jch sobie.

Wicher lub przypádek obalił drzewo z barcią w czasie takim, w którym przesadzenie pszczót do junéy barci z nąywiékszą tylko szkodą mogło byđz uskutecznione. Troskliwy jch właściciel kazał piłą z obu końców tyle drzewa oderznąć, ażeby tylko barć sama w szrodkowym pniaku nietkniętą została. Tak zaś odosobnioną bojąc się na łup piérwszego przechodnia zostawić w lesie, przeniósł w bliskość domu swego: a to stało się początkiem tak nazwanych *kłodowców* czyli *ulów kłodowych* (a) i *pasiek* w bliskości mieszkań ludzkich.

Od téy chwili, gdy pszczoła z dzikiego stanu wyrwaná, w sąsiedztwo z człowiekiem przeniesioną została, zyskała wprawdzie jego bliższą opiekę; ale stra-

(a) Nazwiska prowincjonalne ulów w pniakach wydłubanych są: *kłoda, pień, kłodowiec, ul kłodowy, pniák, leżák*.

ciła wiele dzielności swojej i zbyt drogo, bo często aż znikczemnieniem opłacać musi narzuconą około siebie pieczołowitość jego.

Ule kładowe albo są pionowo stojące, albo poziomo leżące: pierwsze nazywają pospólstwem *Pniakami*, drugie *leżakami*. Jakkolwiek ule takie náydawniéj i náypospoliciéj są używane, tak oraz náywięcéj niedogodności dla *Pszczół mają*. Na szczególniejszą uwagę zasługują w nich wady następujące:

1. Jeżeli ul kładowy jest zaciasny, więc albo wydając rój za rojem żadney prawie korzyści w miodzie i wosku Pszczoły nieprzynoszą, a wreszcie wysiliwszy się i same giną; albo téż nie rojąc się wcale w náydogodniejszym czasie do zbiorów na ulu próżnują; a to z tąd pochodzi, że widząc w rozpalonym pniu rozmięktle woszczyzny, w obawie obsunięcia się całej roboty i śmierci pod ciężarem własnych zbiorów, chcą ulżyć kómórkom woskowém, i ciągną z nién w siebie tyle miodu, jle go tylko w sobie zmieścić mogą; a tak obciążone leżą na powierzchni ula.
2. Jeżeli przeciwnie ul kładowy jest za obszérny, więc Pszczoły nierojąc się z niego nigdy, lub bardzo rzádko, wydają wprawdzie czasami dosyć roboty; lecz z drugiey strony będąc za zimny nabawia je zaziębienia płodu, z którego się wywięzuje tak nazwany *Zgnilec* náyokropniejszą zaraza, która nie tylko w swojej, ale i we wszystkich okolicznych

pasiekach morowe powietrze na Pszczoły sprowadza (a).

Nie wspominam o mniejszych niedogodnościach, jakich Pszczoły w ulach kładowych doświadczają; jakimi są np. trudność wypędzania z nich *Trutniów*, zachowania potrzebnéj schładności i oprzątności i t. d. W ogólności zaś ule kładowe są z tego względu náybardziéj niedogodne, że podbieranie odbywa się w nich przez wyrzynanie plastrów przy podkurzaniu. Dwie przyrodzeniu Pszczół náyprzeciwniejsze okoliczności.

Co do pierwszego, troskliwa *Matka ula* o dobro towarzystwa i potomstwa swego, widząc, że jéj náypiękniejsze pląstry miodu wybierają, uwijają się z náywiększą niespokojnością między plastrami, i nie rzádko zdarzają się, że podbiegają pod nóż; a skalęczoną lub przeciętą, ul ten na *Zmatczenie* czyli osierocenie wystawia: czemu jeżeli się wcześniej nie zapobieży przez *sztuczne utworzenie Matki* (b), cały rój jdzie w rozsypkę i ginie.

(a) *Zgnilec* jest dwoisty: *naturalny*, który się z zaziębnego zarodu wywięzuje, i *sztuczny* przez poddanie Pszczółom miodu pomieszanego z drożdżami; lecz takiéj krzywdy człowiek poczciwy nikomu nie zrobi.

(b) Z káždego jájka Pszczolego, i z káždey jch Liszki (byleby ta nad trzy dni starszą nie była) można ulowi utworzyć matkę czyli królową; a to następującym sposobem. Skoro się opiekałość pszczół spostrzeże, co zwykle jest oznaką nieobecności lub niedołożności Matki w ulu, potrzeba naprzód obéyżrzéc jch ul, i przekonać się: czy mają w kómórkach jaja lub liszki wyłéj

Drugie, to jest podkurzanie dla wypędzenia Pszczół z ula w czasie podbiierania wykonywane przez ludzi mnię bacznych, tak z czasem wierzechnie pląstry zakopca i stapia, jż te raczej kawałkom brudny skury niż pląstrom wosku są podobniejsze.

wzmiankowaney starości, lub czy tych wcale niemają. — Jeżeli obok dostatku miodu mają jaja lub bardzo młode liszki; między któremi jednak nie widać komórki na nową matkę: więc zaraz po zachodzie słońca ul taki odstawia się w miejsce zacienione, i zatyka się jego oczko, ażeby z niego żadna pszczoła wylecieć nie mogła. Tak zamknięte w ulu potrzymawszy przez dni cztery: po zachodzie słońca dnia czwartego można je śmiało na zwyczajne miejsce przestawić; gdyż pewno przez ten czas jedną przez jaje lub liszkę zajętą komórkę pląstru powiększyły o tyle, jż z nię nową dla siebie matkę wypielęgnują. — Jeżeli zaś w ulu zmatczonym nie ma ani jay ani młodych liszek, a miodu jest dostatkim: w takim ulu wyżyna się kawałek pląstru z miodem wielkości dłoni: po tém jdzie się do takiego ula, w którym są jaja lub bardzo młode liszki, wyżyna się w nim z témiz podobny kawałek pląstru, i ten przypina się spilkami drewnianymi na miejsce wyciętego w ulu zmatczonym. To zrobiwszy zatyka się oczko tegoż ula, i postępuje się z nim tak jak w pierwszym przypadku. Przytrzymane w zamknięciu pszczoły nietylko przypięte liszki obce karmić będą z ochotą; ale jedną komórkę przerobią na łożo przyszłej rządczyny swojej. Jak tylko piątego dnia odzyskają wolność, skrzętny ruch wszystkich okaże widocznie, że jch nadzieja otrzymania w krótcie nowę Królowy do zwykłych prac ożywia. O tym sposobie ratowania rojów Pasiecznicy Polsey wiedzieli już w 15 wieku, o czém świadczy ówczesna ustawa. Przez brak jednakże pisarzów poświęcających się u nas naukom przyrodzoném utraciliśmy chlubę tak pięknego i pożytecznego wynalazku. Przed kilkunastu latami przywłaszczono sobie za granicą, jakoby przypadkiem odkryty.

Nakoniec i to niemają jest wadą ula kłodowego; że podbiierając, nowsze się pląstry wyrzynają; w starych zaś, które zostają, komórki przez ustawiczne gnienie się w nich płodu stając się coraz mniejsze, coraż téż drobniejsze i nikczemniejsze Pszczoły z siebie wydają tak dalece, że albo same nakoniec wymrzeć, albo ze wszystkim wybite bydź muszą.

Takie wady ulów kłodowych zniewoliły Pasieczników oświeconych do myślenia nad ulepszeniem ula, tego náyważniejszego przedmiotu w pszczolnictwie.

Do piérwszych ulepszeń ula można policzyć *Ulik zatworowy* zupełnie podobny matemu *Kłodowcowi* i *Bezdenek* czyli ulik Ukrainski bez dna u spodu. Oba dwa mają tę zaletę, że będąc małe, dają ciepłe mieszkanie dla Pszczół, przyspieszają rozwijanie i dojrzwianie w komórkach zawartego płodu; a tém samém przynaglając Pszczoły do częstego rojenia się, są bardzo dogodne dla tych, którzy liczbę ulów pasieki swojej w krótkim czasie chcą rozmnożyć. Nadto będąc niskie ułatwiają Pszczołom wykonywanie wszelkich jém potrzebnych robót. — Lecz taż sama jch małość, mianowicie ostatniego w latach żyznych zuiewalá pasiecznika do wybierania pod nim dołka w ziemi, jeżeli nie chce, ażeby Pszczoły jego náykorzystniejszą porę roku przeproźnowały. Nadto gdy je (podobnie jak ule kłodowe) przy podbiieraniu podkurzać potrzeba: z tą náydalę *piątego* roku wybijane bydź muszą; a w tedy właścicielowi w miodzie i wosku nie wielką korzyść, krajowi zaś náywiększą stratę przynoszą; bo podług wykazu Witwickiego, który w piérwszy

części manuskryptu swego o Pszczolnictwie umieścić, w krajach Ruskich i Polskich do milijona pni co rocznie tym sposobem ginie. — Nie małą także wadą tych dwóch ulików jest to, że je na zimę do podziemnych lochów chowają: przez co Pszczoły w nich chowane zbyt prędko nikczemnieją.

Pojedyncze koszyki Geddego, jnaczyéy *Słomianki*, czyli z słomy plecione misiurkowate ule, których od dawna w Anglii używano, mają niemál te same zalety i wady jak *Bezdenki* i *Uliki* zatworowe.

W piérwszým połowie 18^{go} wieku zjawiły się dwa dosyć sobie podobne gatunki ulów, to jest: *Niemiecki*, czyli z płytkich, czworobocznych, bezdennych drewnianych szufládek złożony; drugi *Szwajcarski* przez *P. Gelieu* wynaleziony, a z obyczajów (a) czyli z szerokich drewnianych obrączek składający się. — Oba dwa te ule mogąc byđz powiększane przez podstawianie od spodu coraz nowych (lubo jednakich) części, zabezpieczały Pszczolom możność wygodnego przez całe lato zbierania zapasów miodu i wosku; a dozwalając odéymować wierzchnie miodem i woskiem zapelnione części ula, obiecywały coroczny z Pszczół pożytek, i uwálniały je równie od podkurzania jak od nielitościwego wybijania. Słowem zdawało się na piérwszy rzut oka, jż te dwa nowe ule odpowiadają wszelkiém życzeniu Pszczolarza. Co więcéy? sławny Akademik *Reaumur* tak był pozorną dobrocią wyná-

(a) *Obyczáy* jest pospolite techniczne nazwisko, które znaczy drewnianą obrączkową osadę przetaka, sitá i rzeszota.

lazu *Gelieugo* uwiedziony, jż z náyżywszým uwielbieniem przedstawił go ówczesnemu Towarzystwu Agronomicznemu Francuzkiemu; a to polecilo go krajowym gospodarzom. — Doświadczenie w krótce wykazało nowe w nich niedogodności, które na Pszczoły nie równie gorsze skutki ściągnęły, niż samo jch wybijanie. Ponieważ owe podstawki nie miały den: więc Pszczoły prowadziły przez wszystkie jednostajny słup plástrów. Chcąc jm Pasiecznik odebrać część ula zapelnioną, musiał ją drutem odrzynać od następných, przy czém przecinał komórki miodem wypełnione, który spływając na dół, broczył będące w ulu Pszczoły. Zbroczone nietylko że przez znaczny przeciąg czasu stały się niezdatne do pracy, i zawadzały suchém pracującym; ale co gorszą? rozlany miód rozpościérając swą wonię, wabił do podobnego ula Pszczoły z junych ulów, i w jednéj chwili skrzętných pracowników zamieniał w rabusiów; a spokojną pasiekę w teatr wszystko niszczący woyny, która się w krótce na całą okolicę rozlała, i zagłada w niéy Pszczolnictwa zagroziła. Chciwá miodu Pszczoła zapominá o kwiatach, skoro gdzieindziéy zapach jego zwietrzy, i z náyskromnieyszým robotnicy przeistacza się w tak zapamiętałego rabusia, że wydzierając cudze zbiory, własne tym czasem na słup jnném wystawia. Jest to náysmutniejszy widok dla Pszczolarza; bo nie spostrzegá przynoszących, lecz same wynoszące z ulów roje; a brzęk rozhlukanych w powietrzu głuszac ucho jego, zasmucá serce przyszłością. Tak smutne doświadczenie powodowało Towarzystwo Agronomiczne, jż niebawnie polecony przez siebie ul odwołało.

Na samym początku wieku teraźniejszego Pan *Settegast* dodawszy do koszyka słomianego obszerną szufladę drewnianą, uczynił wprawdzie ul z wielu miar wygodny do pracy pszczół; lecz że odradził cząstkowe roczne podbióranie, co z samy budowy ula jego wynika, a zalecił *zabijanie* (a) rojów całkowite co lat kilka, już tém samém okazał, że ul jego daleki jest od rzeczywistego udoskonalenia.

W kilka lat później P. *Du Coëdic* zwrócił na siebie uwagęj Rządu Francuzkiego tak dalece, iż dekretem najwyższey krajowey władzy w roku 1812 jmie jego wyryte na miedzianey tablicy na wieczną pamiątkę zawieszono zostało w kościele parafijalnym miasta *Mory* (de Maure). Zasczyt ten spotkał go za wprowadzenie w tamte okolice *Dwu szufladkowego ula z słomianką na wierzchu*, który nazwał *la Ruche pyramidale*. Ul ten nie był nowym jego wynalazkiem. Jest to ul *Szkocki Wardera* z małą tylko odmianą, który mając wiele rzetelnych zalet, znacznie jescze do życzenia zostawia. Jakoż ul ten mając dna u wierzchu szufladek,

(a) *Zabijanie rojów i wybijanie uli* obadwa te wyrażenia są techniczne pospolite, i lubo blisko znaczne, malują jednak czynności odrębne. I tak Polscy Pasiecznicy wiedząc, że jstnienie roju zawisło od jstnienia Matki jego, więc nietroszcząc się o Pszczoły robocze, z ula przeznaczonego na zagładę wytrząsają do beczki miód z wszystkiemi plastrami, i topią między niemi Matkę, która ciągle plastrów pilnuje. Czynność tę nazywają *wybijaniem uli*. Przeciwnie Niemcy zamknawszy ul z Pszczolami, podkádżają go siarką: tém spobem uspiwszy wszystkie w nim będące Pszczoły, dopiéro miód z robotą zabierają: słusznie więc nazywają takie postępowanie *Zabijaniem rojów*.

dozwalá corocznego podbióraniá bez kadzenia i odrzynaniá, a tém samém bez obawy broczenia Pszczół miodem i zmatczeniá roju. Ale że w dnach wierzchnich przepisał zbyt małe, bo tylko od 15 do 18 linii szrednicy mające otwory, przechód Pszczół z jednéy szufládki do drugiéy bardzo utrudnił. Nadto ponieważ szufládki mają obszérność wszędzie jednaká, i oczka wylotowe jednakie: więc w czasie lata, gdy rój jest náyliczniejszy, bardzo wiele Pszczół dla ciasności miejsca próżnować musi. Nakoniec i to jest wadą jego, iż rojenia się Pszczół z niego wstrzymać nie można: a przeto z czasem do nieszczęsnego zabijaniá rojów powróciłby musiano. Jakkolwiek bądź, ul w mowie będący jest náylepszy z tych wszystkich, któreśmy dotąd przeszli.

W równym prawie czasie, bo w 1813 roku *Czaplowic* w Wiedniu, a *Birkenstock* w Frankfurcie nad Menem ogłosili tak nazwane *Ule magazynowe* czyli *z boku przystawiane*, które mając wiele podobieństwa w składzie swoim, dały powód, że się *Czaplowic* drukiem usprawiedliwiá, iż niewiedząc o wynalazku *Birkenstocka* nie z niego nie korzystał. Lubo z jednéy strony ule te z przyczyny zbytniéy sztuczności w urządzeniu dla rolnika mniéy dostępne, a w użyciu náywiększe trudności i niedogodności w sobie mające, nie bardzo na polecenie zasługują, i nie wiele upowszechnienia obiecują; tak z drugiéy strony wyznać potrzeba, że nie są zupełnie nowe; bo już *Wildmann* w dziele swojém o *Pszczolnictwie Angielskiém* podaje opis ula przez *Rektora Holtona w Suffolku* używanego, który *Kol-*

lateralnie-stycznym ulem nazywają, a który z temi dwiema wiele má podobieństwa.

Przeszedłszy dotąd ważniejsze zmiany w urządzeniu uli, w których przyjaciele dobra ogólnego starali się uczynić takie ulepszenia, ażeby pracowitemu owadowi wygodne pomieszkanko, swobodne miejsce do pracy i wszelkie bezpieczeństwo utworzyć; a przy tém stałą, pewnoczasową korzyść właścicielowi jego zapewnić: wspomnieć przynajmniej nawiasowo wypadki i o takich, którzy czyniąc sobie jgrązkę z rzeczy milijony krajowi przynoszący, takie projekta zachwalać poważyli się, które (jako zupełnie przeciwne przyrodzeniu pszczół) do zupełnej jch zagłady wkrótceby doprowadziły. Takim jest w ostatnich latach przez Panów *Józefa i Alexandra Martin* we Francji wynaleziony sposób przymuszania pszczół do mieszkanki w otwartej przestrzeni bez żadnej osłony, i do budowania plastrów z dołu do góry. Jakkolwiek już sám pomysł takiego żądania niepodobnym wydawać się może: znaleźli się jednakże (jak widzimy) ludzie, którzy nie tylko do skutku go przywiedli; ale nawet i w publicznych pismach (ganiąc wszelkie inne ulepszenia ula), swój wynalazek za náylepszy i náykorzystniejszy wystawili. Nie żebyśmy w czémkolwiek pochwalali dzieło; lecz dla ciekawości tyle tu tylko nadmienić sądziemy potrzebnym, iż ci Panowie *Martin* spoiwszy za pomocą bardzo cienkich słupków cztery deseczki mające po *jednej* stopie kwadratowej powierzchni w odległości *trzech* cali i *jednej* linii jedna nad drugą, i zrobiwszy w środku każdej otwór czworokątny obszerny

na *jeden* cal i *siedm* linii kwadratowych: pokryli to rusztowanie kapą płócienną (przedmiotem przyrodzeniu pszczół náyprzeciwniejszym) i do tak urządzonego ula wsadzili na dno rój zebrany. Biedne pszczoły nie mając żadnych ściąg, po którychby w górę łązić mogły, bo po płótnie żadnym sposobem chodzić nie mogą, zniewolone były rozpocząć swe prace między dwiema dolnemi deskami, i rozpocząć ją wbrew przyrodzeniu swemu, bo z dołu do góry; a gdy w robocie już znacznie postąpiły, zdjęto z nich kapę płócienną, i zostawiono bez żadnego okrycia.

Takim jest stan pszczolnictwa i usiłowań przemysłu ludzkiego, ażeby w téj arcy ważnej gałęzi gospodarstwa ulepszenie jakie uczynić. Zaczawszy od *Swammerdama*, czyli od połowy XVII wieku, nietylko pojedyncze osoby, ale i całe Towarzystwa uczonych pracowały w tym względzie. Widzieliśmy téż w skutku jch zabiegów rozmaite zmiany w ulach; lecz żadnej nieznaleźliśmy między niemi takiej, któraby wszystkiém życzeniom doświadczonego pszczolarza odpowiadała. Mianowicie zaś

- 1^e. Ażeby ul był w urządzeniu swém prosty, do zrobienia łatwy i tani.
- 2^e. Ażeby w nim doziéranie i oprzątkanie pszczół bez trudności odbywać można.
- 3^e. Ażeby w nim pszczoły miały wszelką wygodę czyli łatwość w odbywaniu robót i zatrudnień swoich.
- 4^e. Ażeby w każdej porze roku cały rój miał przyzwoite miejsce do pracy, bez zniechęcania się jednak zbytnią obszernością ula.

- 5^e. Ażeby zapewnić pszczołom ciepłe mieszkanie nie tylko w czasie zimy, ale jeszcze bardziej podczas słotnych dni wiosny, gdzie delikatny zaród najczęściej zagładzie podpadá, i zgnielec z siebie wywija.
- 6^e. Ażeby ul dopóty sprzyjał wychodzeniu bogatych czyli mocnych rojów, dopóki kráy rozmnażania pszczoł potrzebuje; a gdy taką liczbę ulów otrzymamy, którą okolica przyzwocie wyżywić może, ażeby dalsze rojenie się jch zupełnie wstrzymał.
- 7^e. Ażeby coroczną korzyść w miodzie i wosku pasiecznikowi zapewnić.
- 8^e. Ażeby przy podbiéraniu usunął potrzebę podkádzań, i nie narażał pszczoły na zmatczenie lub broczenie miodem.
- 9^e. Nakoniec, ażeby całkowite wybijanie i zabijanie rojów na zawsze usunął.

Te są żądania, do dopięcia których w ulepszeniu ulów ciągle dążono, i które sobie P. M. *Witwicki* osiągnąć postanowił. — Przypatrzmy się więc teraz ulowi, który nám tenże szanowny nasz rodák Mikołáy *Witwicki* Obywatel Wołyński jako owoc wieloletniej praktyki w pszczolnictwie przedstawia.

Ul P. M. *Witwickiego* składa się z sześciu czworobocznych pudeł, które się w kształcie słupa na sobie ustawiają, a które są tak prosté budowy z sosnowych lub jnnych (byle nie z dębowych) desek, że ul taki każdy prawie chłop zrobić potrafi; a przeto tyle tylko kosztuje, co potrzebne deski i dzień *pańszczyzny* wyniesie. — Jego części są następujące:

Pierwsze od góry pudło (któreby *ulikiem osadowym* nazwać można, gdyż w nim osadzają się róy nowo zebrany) jest u góry zamknięte, a u dołu bez dna, 12 cali wysokie, a ściany jego mają u góry po 8, a u spodu po 10 cali szerokości wewnątrz. W środku jego są 4 krzyżujące się miernie grube szeble, które służą pszczołom do przytwierdzenia roboty: a między temi wązká ukośnie do wylotowego oczka podaná deszółka, po której jak po moście w górę i na dół pszczoły chodzić mogą. Oczko wylotowe w dolnym brzegu jednej ściany wyrżnięte jest $1\frac{1}{2}$ cala długie, a $\frac{1}{4}$ cala wysokie. — Gdy wysokość oczka wylotowego we wszystkich częściach tego ula musi być jednaká (wyższebowlowiem oczko pozwałałoby wciskać się do ula Szerzeniem i jnném rabuśniczym owadom): dla tego przy następnych częściach tylko długość jego wymieniać będziemy.

Drugie pudło (czyli *ulik przyrobkowy*) jest z dnem tylko u góry, 13 cali wysokie, ściany jego u góry po 10 a u spodu po 12 cali mają szerokości wewnątrz: oczko jest 2 cale długie. W środku dna wierzchniego jest otwór czworokątny mający po 2 cale w każdym boku, a opatrzony rzádká kratá z 4 lub 6 cienkich krzyżujących się prętów. Wnętrze tego ula tak jest urządzone jak poprzedzającego.

Ponieważ te dwie dopięro opisane części ula są przemijające, czyli dla każdego nowo zebranego roju tylko przez krótki czas służyć mające: więc można je zastąpić koszykami słomianými podobnego kształtu i wielkości; gdyż te na wsi znacznie będą tańsze od pudeł deskowych. Ostrzedz jednak należy, iż sło-

mianki splatać potrzeba wtkami wikłowými, lub jeżeli się użyje szpagatu, ten dobrze wywoskowany bydź musi; pszczoły bowiem włókną konopnego niecierpią.

Trzecie pudło (czyli ulik główny) jest także 13 caliów wysokie i tylko u góry dnem opatrzone. Ściany jego równie u góry jak u spodu mają wewnątrz po 12 caliów szerokości. Otwór w szrodku dna wiérzchniego czworokątny má po 3 cale długości każdego boku, i opatrzone jest rzádką kratką z 6 lub 8 cienkich krzyżujących się pręcików. Oczko wylotowe jest $2\frac{1}{2}$ cala długie. Urządzenie wewnętrzne ulika kardynalnego jest zupełnie takie jak dwóch poprzedzających. — Dodadź tu należy, że każdy z tych trzech ulików má w stronie oczku przeciwległéy otwór na 3 lub 4 cale długości a 2 cale wysoki, który się zasuwką lub drzwiczkami zamyká.

Po dopiéro opisanych trzech ulikach następują jeszcze trzy *szufládky* czyli *pudła*, które *podstawkami nazywamy*. Każdą z tych podstawek má po 6 caliów wysokości, i każdá zamiast dna u góry opatrzona jest tylko szeroką w brzegi wpuszczoną ramą, w której umieszczone są równo-odległe na cal grube szeble; wewnątrz zaś będąc puste różnią się w następujących tylko względach:

Pierwszą podstawka má w ramie 4 szeble, jéy ściany na wewnętrzny stronie mają u góry po 12 a u spodu po 16 caliów szerokości. Oczko jéy wylotowe jest 3 cale długie.

Drugą podstawka má w ramie 6 szeblów, jéy ściany na stronie wewnętrzny liczą u góry po 16 a u dołu po 20 caliów szerokości. Jéy oczko jest $3\frac{1}{2}$ cala długie.

U tych dwóch podstawek ramy wspomniane powinny bydź tak szerokie, ażeby każdy z trzech powyższych ulików mógł do nich przystać bez zostawiania szpár.

Trzecią nakoniec *podstawka* má w ramie 8 szeblów: jéy ściany mają u góry po 20 a u spodu po 24 cale szerokości; oczko zaś 4 cale długości.

U wszystkich trzech podstawek w stronie oczku przeciwnéy zamiast drzwiczek znáyduje się tylko mały na 1 cal długości a $\frac{1}{4}$ cala wysoki otwór, który odetkawszy w czasie upałów latá daje wolny przewiew i chłód w ulu utrzymuje.

Nakoniec każdá z tych sześciu części ula má zewnątrz na dwóch przeciwległych ścianach po kawałku przybitéy łaty, które zastępując miejsce rękoiści, ułatwiają jch podnoszenie i przestawianie.

Takie urządzenie dopiéro opisanego, a przez M. *Witwickiego* wynalezionego ula odpowiadá (podług zdania naszego) wszystkiém wyżéy wymienioném warunkom ulepszenia, a mianowicie.

- 1^e. Proste urządzenie, łatwość zrobienia i taniość jégo okazaliśmy już wyżéy.
- 2^e. Łatwego doglądania, podmiątania i kármienia pszczoł dozwalają pasiecznikowi drzwiczki lub zasuwki na przeciw oczka będące.
- 3^e. Oczka wylotowe wycięte w dolnym brzegu ściany każdéy części tego ula ułatwiają pszczołom wykonywanie wszelkich zatrudnień, a nade wszystko wypędzanie trutniów: nad czém w jnych ulach bardzo wiele náykorzystniejszego czasu mitrężą.

4^e. Ponieważ wszystkie części tego ula (oprócz ulika głównego) są u dołu szersze niż u góry: w miarę więc powiększania się roju w czasie lata, mają zawsze tak wygodne do pracy miejsce, jż jedna drugiey nie zawadza. — Nadto podstawiając części spodnie, w miarę zbliżania się jch z robotą do spodu wiérzchniey, utrzymuje się je w ciągłéy chęci pracowania, a nizkość tychże części ula nie odstręcza jch zbytnią obszérnością przestrzeni. Nakoniec stopniowo coraż dłuższe oczko wylotowe w dolnych szufládkach daje tak wygodne przejście, jż náylicznieysze nawet pracownicy niczém na wstępie do ula nie wstrzymywane, nie potrzebują osiadać na wiérzchu jego i próżnować. — Wreszcie wysokość oczka wylotowego nieprzechodząc $\frac{1}{4}$ cala niedozwala myszom i szerszeniom wciskać się do jch zbiorów.

Dodać tu tylko potrzeba, jż skoro się drugą część ula podstawia, oczko wiérzchniey natychmiast zamknąć potrzeba: tym sposobem wszystkie dowiedzą się zaraz o przydadku pomieszkaniá.

5^e. Ponieważ Pszczoły zawsze tylko w jednym z trzech piérwszych ulików nie tylko zimę, ale i większą część wiosny przepędzić muszą, który będąc zapełniony robotą, nie pozwala jm w czasie zimnych dni wiosny gromadzić się w jeden kłęb u wiérzchu: więc, *rozłokowane* dosyć gęsto na plástrach wypełnionych zarodem, okrywają go sobą. Tym sposobem i same się grzeją, i zarodowi przeziębnięć nie dozwolają; a tak osiąga się jeden z náyważniey-

szych celów, to jest zabezpieczenie Pszczół od zary *zgnilca*.

6^e. Jeżeli wiosna ciepła, więc zwykle w drugiey połowie Maja (niechcąc dopuścić zbyt wczesnego rojenia Pszczół) podstawiam pod ulik zimowy część jemu odpowiednią; to jest, jeżeli zimowały w uliku piérwszym czyli *osadowym*, to podstawiam pod niego ulik drugi czyli *przyrobkowy*; jeżeli zimowały w drugim, podstawiam pod niego trzeci czyli *kardynalny*; — jeżeli nakoniec zimowały w *uliku kardynalnym*, natenczas podstawiam pod niego *drugiego kardynalnego*. Tym sposobem wstrzymuję zbyt wczesne rojenie się; gdyż nowo wylęgte Pszczoły znáydując przyzwoite do pracy miejsce zabijają nadliczbowe Matki, i zostają w jednym ulu ze starémi. Tak powiększony rój rzucá się z nowym zapałem do budowania plástrów w uliku dolnym i do zapełniania miodem tych, które się w uliku górnym próżne znáydują. W miesiącu Czerwcu wywięzuje się rój nowy. Jeżeli go chcę wypuścić, to nie podstawiam ulika trzeciego; jeżeli zaś nie chcę mieć rojów nowych: więc podstawiając w przyzwoitym czasie jedną część ula po drugiey, nigdy się temu ulowi roić niedozwolę. O czasie i potrzebie podstawiania nowéy szufládki przekonać się można zaglądując od czasu do czasu przez otwór naprzeciw oczka będący. Tak więc w tym ulu rojenie się Pszczół zawisło zupełnie od woli Pasiecznika.

7^e. Przy końcu Lipca lub na początku Siérpnia za-

glądając drzwiczkami do ulika wierzchniego w południe dnia pogodnego, skoro w nim nie spostrzeżemy [uwijających się Pszczół, to będzie oznaką, iż tenże ulik jako zupełnie miodem napełniony od Pszczół został opuszczony, i że go pasiecznik bez skrzywdzenia roju jako należną *letnią korzyść* zdjąć może. Przygotowawszy więc szpunt odpowiedni do zamknięcia otworu w dnie wierzchnim ulika następnego, zabięra z niego wierzchni, a wierzch spodniego szczelnie zatyka. — Następnie we Wrześniu lub Październiku, gdy słoty i zimna jesienne nastaną, uziębłe Pszczoły porzucają robotę, i gromadzą się do náywyższego pozostałego ulika; w tedy pasiecznik wymuje wszystkie dolne podstawki, w których znáydujące się próżne a niekiedy i miodem napełnione pląstry wosku stanowią *drugą roczną* czyli *jesienną* korzyść z Pszczół; gdyż zwykle w tym uliku, do którego się zgromadziły mają tyle miodu, jle jém do życia przez sześć zimowych miesięcy potrzeba. — Przeworny pasiecznik powinien na wszelki przypádek schować kilka niekniętych z wierzchu zebranych ulików aż do przyszłorocznego podbięrania letniego.

8^e. Ponieważ jak się wyżej powiedziało, wszystkie uliki opatrzone są u wierzchu dnami w ten sposób, iż każdy z nich oddzielne piętro roboty pszczolnój stanowi, czyli że pląstry jednéj części tego ula nie łączą się z pląstrami drugiey: więc podbięranie w tym ulu, (jak się wyżej okazało) odbywá się bez kadzenia, bez odrzynania; słowem bez

wszelkich tych niedogodności, bez których się w jurnych ulach (prócz *Szchockiego*) obęysdz nie podobná.

9^e. Nakoniec z całego powyższego wykazu rzecz widoczna, że i ostatni warunek ulepszenia, to jest: *usuńnięciá potrzeby wybijania i zabijania Pszczół w ulu P. Mikołaja Witwickiego* dopełniony jest tym pewniey, skoro rojenie się z niego Pszczół zawisło zupełnie od woli Pasiecznika. Rzeczywiste bowiem rozmnażanie Pszczół dzieje się przez powiększanie liczby rojów, czyli oddzielnie jstniejących Matek; gdyż one tylko niosą jaja. Jeżeli więc przeszkodzimy wychodzeniu rojów nowych, pszczolnictwo musi zostać w równym zawsze stanie; gdyż w Pszczołach postrzegamy to podziwienią godne zjávisko, że się corocznie same do pewnéj liczby w tenczas zmniejszają, gdy korzyść dla nich w polu ustaje: czyli że z nastąpieniem zimna jesiennego ledwie *dziesiątá część* roboczych Pszczół na zimę w ulu osiadá, a reszta jch niewiedzieć gdzie się podziéwá. To prawda, że w miesiącu Sięrcniu wypędzają z ula próżno miód zjadających Trutniów, lecz liczba tych z liczbą pokazującego się ubytku Pszczół, skoro na zimowanie osiadły, jest prawie nic nie znaczącá. Wszakże ów ul, któremu się wczesném podstávianiem podstawek przez całe lato roić nie pozwolono, stał się w końcu tak muszny, iż w nim do *sześciudziesiąt tysięcy* Pszczół można było naliczyć. Między temi znáydowało się náywięcéy dwa tysiące Trutniów, re-

szta były zaś same robocze, które dopoki tylko ciepło trwało, i miodne rośliny kwitnęły, z taką skrzętnością około powiększenia zbiorów pracowały, jak gdyby wiekować miały. Zayrzawszy zaś do ula w tenczas, gdy się zimna i słoty jesienne zaczęły, z owego mnóstwa gorliwych pracowników znajdujemy w nim tylko małą od *pięciu do sześciu tysięcy* liczącą gromadkę. Gdzie się więc przeszło 40 tysięcy roboczych Pszczół z tego ula podziało, jest tém trudniejszą do rozwiązania zagadką, ponieważ nigdzie zmarłych niepostrzegamy. Rzecz tylko pewna, że z końcem latá każdy ul w podobnym stósunku ubożeje.



O P U S C Z Y

BIAŁOWIEZKIÉY

I O CELNIEYSZYCH W NIÉY ZWIÉRZÉTACH.

432

MI (p) Redakcja Powszechnego i Uniwersyteckiego
Historii i w innych kierunkach nauki
na polski i w innych kierunkach nauki
i w innych kierunkach nauki
i w innych kierunkach nauki

O PUSCZY BIAŁOWIEZKIÉY

I O CELNIEYSZYCH W NIÉY ZWIÉRZETACH

C Z Y L I

ZDANIE SPRAWY

z polowańi odbytego w dniach 15 i 16 Lutego
r. b. na dwa Zubry,

K T Ó R E

NAYJAŚNIEYSZY MIKOŁAY I^{szy} CÉSARZ WSZECH ROS-
SY, KRÓL POLSKI etc.

DLĄ GABINETU ZOOLOGICZNEGO KRÓLEWSKIEGO ALEXANDROWSKIEGO WAR-
SZAWSKIEGO UNIWERSYTETU NAYŁASKAWIÉY DAROWAŁ.

*Złożone Kommissyi Rządowéy Wyznań Religijnych
i Oświéceńi Publicznego.*

dnia 29 Maja 1830 r.

Z dwiema z natury zrobionémi wyobrażeniami Zubrów w barwie zimowéy.

Stósownie do poleceń (a) Wysokiéy Kommissyi Rzą-
dowéy Wyznań Religijnych i Oświéceńi Publiczne-
go, przybywszy w dniu 8^{ym} Lutego r. b. do W^{go} Ron-

(a) Piérwsze polecenie K. R. W. R. i O. P. z dnia 22 Stycznia
1830 r. No $\frac{238}{148}$ obéymuje rozkáz udania się do puszczy Biało-

ki (b) Leśniczego Powiatowego a Naczelnika puszczy Białowiezkiej w wiosce Królowym-Mostem zwaney na południowo zachodnim brzegu téżże puszczy zamieszkałego; a niezastawszy tych dwóch Urzęduików, którzy przy dozwolonych przez NĄYJAŚNIEYSZEGO PANA polowaniach na Zubry znáydownać się powinni: to jest, Starszego Guberskiego Leśniczego i Kapitana Sprawnika: napisałem natychmiast do Grodna donosząc o przybyciu mojem. To pismo przez zwyczajne strzeleckie stóyki z równym niemál jak przez sztafetę pośpiechem zostało odniesione; gdyż w skutku tego z Grodna 22 mil od Królowego Mostu odległego już szóstego dnia przybył JW^{zny} *Jonat Tu-Han Baranowski* Delegowany w zastępstwie starszego guberskiego Leśniczego.—Blizko dwa dni dłużej czekaliśmy na W^{go} Szpinka Kapitana Sprawnika; ponieważ ten, stósonnie do przepisów, dopiero po otrzymaniu wezwania guberskiego Prużanę opuścił. Tym sposobem dopiero w dniu 15 Lutego przystąpiliśmy do rozpoczęcia polowania.

Gdy podług doniesień wezwanych Strážników náystarszy i náyokazalszy Tur czyli pojedynczo chodzący Zubr samiec upatrzony był w północným stronie straży Okólnickiéj w blizkości wsi Białowieży prze-

wiezkiéj i dopilnowania dozwolonego przez N. PANA polowania na dwa Zubry.— Drugie z dnia 30 tegoż miesiąca i roku No $1\frac{1}{8}\frac{3}{8}$ jest dalszym ciągiem poprzedzającego, i przesyła potrzebne dowody Náywyższego Pozwolenia na to polowanie.

(b) *Eugienijusz de Ronca* Leśniczy powiatu Prużańskiego.

szło dwie mile od Królowego Mostu: więc już w Niedzielę wysłano tam obławę; my zaś w towarzystwie kilku znakomitych z okolicy przybyłych Obywateli wyruszyliśmy dopiero w poniedziałek rano. Po przybyciu naszém, między godziną trzecią a czwartą z południa obsaczono w cichości strzelcami i osocznikami ów gąszcz, w którym upatrzony Zubr już od sześciu dni był pilnowany. Łańcuch strzelców pod dowództwem Strážników, do których się kilku Obywateli przyłączyło, posunął się w głąb gąszcu, i piérwszy strzał strzelca *Tomasza Szpakowicza* przeszło siedmdziesiąt letniego starca był mistrzowski. Kula jego wpadłszy pod prawą łopatkę, przeszła zwierza ponad sercem i uwięzła w lewéj łopatce. Gdy mimo to raniony Zubr uchodzić zaczął, Pán *Engielhard* Obywatel poprawił mu dwukrotném z dubeltówki wypáleniem. Tak więc trzema po sobie następującými wystrzałami został na mieyscu położony ten ogromny zwierz, między którego rogami dwóch miernych ludzi usiądz może, a który blizko czternáscie cetnárów mógł być wáżyć. Gęstość lasu, w który upadł, nie mały przy wywiezieniu nabawiła nás trudności, i dlá tego z odległości pół mili dopiero o szaréj godzinie do wsi Białowieża został dostawiony, i natychmiast w obecności mojej wypaproszony.

Ponieważ trzy Rządowe gmachy łowieckie będące na górze w szrodku wsi Białowieży stoją w zimie niezamieszkane i nieopálane: przygotowano nám wieczrę w chałupie wspomnianego wyżéj strzelca *Szpakowicza* w téj jzbie, w której on dlá swoich i swo-

ich sąsiadów dzieci własnym kosztem szkółkę utrzymuje. Zdziwiłem się niepomatu, gdym się dowiedział, że ten żwawy, celnie strzelający, a o naukę dzieci tak dbały starzec sam czytać i pisać nie umie. Po wieczery Leśniczy Guberski, Obywatel Eysmund i jego Kommissarz zostali się ze mną w téj chałupie na nocleg; jmi zaś Urzędnicy i goście polowania rozkwaterowali się po jnych chłopskich domach; gdyż jak się nazajutrz przekonałem, we wszystkich tamtejszych chatach są bardzo porządne i dobrze ogrzane izby. Jedną tylko dla nieprzyzwyczajonych osób znalazłem w nich nieprzyjemność; a tą jest mnóstwo *Karaczanów persaków* (*Blatta laponica*), które się po ścianach uwijają.

Nazajutrz udaliśmy się w straż Augustowską na zachodnią stronę puszczy blisko dwie mile od wsi Białowieża; lecz ubicie tam drugiey sztuki nierównie więcej kosztowało zachodu. Ponieważ wyraźnie oświadczyłem, że koniecznie potrzebuję Zubrzycy: większe więc pół dnia strawiono na przeglądaniu z blizka jednego trzynastu sztuk liczącego stada Zubrów, ażeby się zapewnić, które w nim są samce a które samice. Dzień był niepogodny, śnieg gęsty z wiatrem padał ciągle. Gdy strzeley i osoczniaki pod okiem Strażników trudnili się przeglądaniem stada przepędzając je z miejsca na miejsce: my tym czasem schroniwszy się do pustey, na siano przeznaczonéy szopy, grzaliśmy się przy ogniach, które przy niéy na łące pozakładano. Dopiero po trzeciej godzinie z południa udaliśmy się na stanowiska około wielkiego gąszcu, do którego się przepędzaniem spłoszone Zubry schroniły.

Pomimo znaczney liczby ludzi uzbrojonych, gdyż samych strzelców było do stu, rozstawienie nastąpiło dosyć rzadkie; bo długą linię od łąki wyciągnąć musiano. W krótcie po odezwaniu się obławy w gąszcu, wypadły Zubry; lecz nie na linię strzelców, ale na stanowisko naszych sán i koni powodowych przy owéy szopie, przy której mieliśmy ogniska rozłożone: czém jeszcze bardziéy spłoszone wróciły do kniei. Tam spotkawszy znowu łanicuch obławy, w náywiększym pędzie zaczęły wybiegać na łakę w tém miejscu, gdzie náyrzadsze było obsaczenie. Strzelec *Bartłomiéy Martysiuk* przeszedł na sto kroków wypalił do jednéy sztuki. Łąka w tym miejscu była blizko na tysiąc kroków szeroká: widzieliśmy więc kierunek strzału; lecz sztuka trafioná po otrzymanym strzale jeszcze więcej niż sto kroków suwała przez náywiększe zasy py sńiegu zarówno ze zdrowými. Nagle po tém zwolniała w biegu, wyprzedziły ją zdrowe, lecz bieg jéy ku przeciwległéy gęstwinie był jeszcze dosyć szybki. W obawie, ażeby nám w tym ostepie czyli gąszcu nieginęła, jedni pędzą za nią pieszo, drudzy rzucają się na sánki; ale przybywszy na rzeczkę szrodkiem łąki płynącą (przez którą z taką łatwością przebiegły Zubry) konie nám powięzły w śniegu. Wyskakujemy więc z sánek, lecz śnieg blizko po pas głęboki niedozwalá śpiesznego chodu. Tym czasem widzimy, że owá sztuka przyszedłszy pod mały wzgórek, na którym się gąszcz zaczyna: już tylko noga za nogą powoli na niego wstępuje. Stańto wreszcie na wzgórkku to wspaniałe i przepyszna broda o-

patrzone zwierze, obróciło się ku nam rogami, a stojąc i chwiejąc się, pada powoli na ziemię. Okrzyk radosny: „Już nasza!” rozległ się na całej linii. Niecierpliwość oglądania ję z blizka, i przekonania się, czy rzeczywiście jest Zubrzycą, przynęglą wszystkich. Zbliżamy się coraż bardzię. Mnogość gromadzących się ludzi obudzą ją z omdlenia. Zręwa się ze strasznym bruknieniem, i rzucą się ku nam. Pán *Głębocki* Strážnik chciał do nię strzelić; lecz fuzyja mu odmówiła. Aże właśnie byłem na przeciw ję głowy: krzyk przestachu wsczał się za mną; ale uskoczyć było niepodobieństwem; bo śnieg był zbyt głęboki. Już byłem blizki wráž z kilkoma jnnými osobami dostania się ję na rogi lub pod nogi. Szczęściem dla nás, że siły Zubrzycy nieodpowiedziały ję dzikości: padła po drugim skoku tuż przed nami.— Tu dopiéro przyniesiono ucięte drzewko, a założywszy ję na kark, siadło na końcach jego kilkunástu ludzi, i tak doduszono leżącą.

Ukończywszy tak pomyslnie przez NÁYJAŚNIEYSZEGO PANA dozwolone polowanie: późno w nocy powróciliśmy na nasze kwatery do wsi Białowieża.— Naza jutrz rano (we szrodę) dawszy zakwitowanie Starszemu Guberskiemu Leśniczemu z odebranych dwóch Zubrów, pożegnałem się tak z gośćmi jak Urzędnikami delegowanymi; i gdy się ci rozjeżdżali, a ubite Zubry na sánki pakowano: poszedłem tym czasem obeyrzć pomnik, w kształcie czworograniastego obelisku z białego piáskowego kamienia przeszło sześć łokci wysoki, który stoi na prawym brzegu rzeki Na-

rewki przy moście na małym wzgórkku blizko owęj góry, na któręj (w szrodku wsi) są wspomniáne wyżęj trzy gmachy Łowieckie, a cokolwiek dalęj ku wschodowi kościół drewniany. Pomnik wzmiankowany otoczony jest drewnianými sztachetami, a napisy na nim w polskim i niemieckim jęzuku wykute, świadczą o świetném polowaniu, które *August III* Król Polski odbył w téj puszczy (a). Jlé z podania międy

(a) Napis na dwóch bokach tego obelisku w jęzuku polskim jest następujący:

„Dnia 27 Septembra 1752 r. Náyjaśnieysze Państwo August III. Król Polski, Elektor Saski z Królową Jéymościa i Królewiczami Jchmość *Xawerem* i *Karolem* mieli tu polowanie Zubrów, i zabili 42 Zubrów; to jest: 11 wielkich, z których náywáźniejszy wáżył 14 cetnarów i 50 funtów; 7 mnieyszych: 18 Zubrzyc, 6 młodych.— 13 *Łosiów*; to jest: 6 z których náywáźniejszy wáżył 9 cetnarów i 75 funtów: 5 samic, 2 młodych.— 2 *Sarn.*— Summa 57 sztuk.

„Byli przytomni: JW. JPán *Branicki* Hetmán Wielki Koronny.— JW. Hrabia *de Brühl* piérwszy Minister J. K. M.— JW. JPán *Wielopolski* Cześnik Koronny.— JW. Hrabia *de Brühl* Koniuszy náywyższy J. K. M.— JW. Marszałek *de Birberstein* Jenérál poczty Koronny.— JW. *de Schönberg* Marszałek Nadworny J. K. M.— JW. i W. JPanowie *Poniatowski*, *Wilczewski*, *Węgierski*, *Starzewski* Pułkownicy, i *Sapieha* Oberster Lieutenant.

„Polowaniem dyrygował JW. JPán *de Wolfersdorff* Łowczy náywyższy J. K. M.—

„Assystowali przy polowaniu: W. JPán *de Gablenz* Podłowczy J. K. M.— W. JPán *de Armin* Szambelan.— W. JPanowie *de Geusau* i *de Leipziger* Paziowie od polowania.— Strzelcy nadworni JPán *Pflug*, *Stockmann*, *Schreyer* i *Pezold*.— Nadle-

ludem tamtejszym pielęgnowanego dowiedzieć się mogłem, łowy te odbyły się z wielkiem przygotowaniem. Na kilka tygodni przed przybyciem Nájjaśniejszego Monarchy i Jego Dostoyńey Familii, obwiedziono parkanami i płotami wielką przestrzeń puszczy ząymującą część Okólnickiéy, Browskiéy i Haynowskiéy straży; to jest to miejsce, które teraz ogrodem *Wielká Kletna* albo *Ogrodem Królewskim* nazywają; a około którego dotąd jeszcze znáydują się miejscami ślady parkanów. W to ogrodzenie, szrodkiem którego płynie struga Orłówka spędzono z jnnych części puszczy znaczną jlość Zubrów i jnnéy zwierzyny; a w szrodku jego na miejscu dogodném wystawiono wzniesiony namiot dla *Nájjaśniejszych Gości*, którym zostawiono przyjemność strzelania do przeciągających zwierząt. — Królestwo Jchmość przybyli z tak licznym orszakiem, że w tak wielkiéy wsi jak Białowięża z trudnością tylko pomieścić się mogli. Zaráz rano na drugi dzień udano się na polowanie. Przeszło tysiąc chłopów zebrano w obławę, która ku namiotowi napędzała zwierzynę. Dwáy bogato ubrani paziowie stojąc za *Nájjaśniejszém Państwem*, trudnili się nabija-

śniczowie: *Breyther, Bormann; Eckhard*. — Leśniczowie: *Szurbert, Angermann, Stockmar, Richter, Eichler, Homburg, 3 Kozłowsky, Wap, Rode, Prokopowicz, Żrebkiewicz*.

Toż samo słowo w słowo jest na drugich dwóch bokach tego obelisku w języku niemieckim. — Nájbardziéy zastanawia w tym pomniku, że równie między wyższymi jak niższymi Urzędnikami, którzy na nim są wymieniéni, nájwięcéy jest nazwisk niemieckich.

niem i podawaniem broni. *Królowá Jéymość* zajęta czytaniem książki, strzelała tylko jakby od niechceniá; ale strzelając celnie, ubiła kilkanaście Zubrów. *Nájjaśniejszy Pán* strzelał także wybornie. Pod wieczór odezwały się trąby na znak ukończonych łowów. Poczém strzelcy ułożyli w porządku pobitą zwierzynę, któręy było 57 sztuk, a Nájjaśniejsze Państwo przechodząc się pomiędzy nią; rozkazało wáżyć nájwiększe Zubry i Łosie. Nakoniec rozdávszy większą część pomiędzy zgromadzonych ludzi, wróciło do Białowięża. — Były to ostatnie tak wspaniałe, albo raczéy bezpotrzebnie zwierzynę wytępiające łowy. Późniéy *STANISŁAW AUGUST* polował prawdá kilka razy w puszczy Białowięzkiéy; lecz łowy Jego były gospodarniejsze i ograniczały się ubiciem kilku tylko Zubrów. —

Około południá wróciliśmy do Królowego-Mostu, gdzie miały bydź Zubry na umyślnie sporządzonych sánkach tak przytwierdzone, ażeby w całości do Warszawy były dowiezione; lecz náglá odwilż po południu, i następnie przez całą noc pádający dészcz zniewoliły mié do zmiany postanowieniá mego. Lękając się, ażeby taká odwilż długo niepotrwała, i Zubrów w drodze nieczepsuła: zamiást wyruszeniá w podróż, zażądałem nazajutrz ludzi, którzy skury z Zubrów pozdýmowali, i w umyślnie przyrządzoney kadzi w spirytusie zamoczyli; ciáta zaś Zubrów kazałem tłuczonymi węglami wypełnić i w rogoże poobwijać. Z przyczyny takiego przyrządzeniá dopiéro w Piątek, to jest dnia 19 Lutego już późno z południá opuściłem Królowy-Most w towarzystwie trojga sán, z któ-

rych dwoje wiozły ciała, a trzecie skury zubrze w spirytusie zamoczone.

Nadmieniłem wyżej, że przez ośm dni musiałem czekać na Urzędników delegowanych. W tym czasie P. Ronka Naczelnik puszczy; człowiek bardzo gościny i światły starał się wszelkiemi sposobami ułatwić mi poznanie tak miejscowości jako też i zwierząt téj puszczy; a mianowicie Zubrów. Wyjeźdzaliśmy w różne części puszczy, gdzie małemi obławami strzelców wypędzane z gąszczów na golizny stada Zubrów z blizka wygodnie widzieć mogłem. Co więc z własnych spostrzeżeń, z wiary godnych wskazań Naczelnika puszczy, z rozmów ze Strážnikami i Strzelcami, jako też z podań znakomitych blizko puszczy mieszkających Obywateli (z którymi się poznałem w domu P. Ronki) náywážniejszego i náyciekawszego zebrałem: to wszystko postanowiłem wiernie tu przedstawić. Do tego tém mocniéj czuję się obowiązany; gdyż mylne podania w opisie puszczy Białowiezkiéj przez *Barona Brincken* (a) umieszczone, przechodząc do dzieł jnnych (b), coráz bardziéj upowszechniać się zaczyna-

(a) *Mémoire descriptif sur la forêt Impériale de Białowieża en Lithuanie, rédigé par le Baron de Brincken etc. orné de quatre gravures et d'une carte. Varsovie chez Glücksberg 1828.* Niewiem, dlá czego rok na tytule zmieniono; gdyż to dzieło wyszło nierównie wcześniéj, i już dnia 29 Kwietnia 1826 r. było przypisane Náyjańszszemu Monarsze Naszemu.

(b) Zobácz: *Dziennik Wileński Ner 9 roku 1829, miesiąc Wrzesień, na stronie 183. w artykule Zoologija. O Zubrze Litewskim.* — Niemniéj wielce szanowne dzieło pod tytułem: *Opis starożytnéj*

ją. Wiele prawda z podań wspomnianego Autora zostało już sprostowanych, częścią przez artykuł botaniczny Pana *S. G.* w *Dzienniku Wileńskim* (a), częścią przez pismo *P. Ronki*, które mi przy odjeździe doręczył, a które w *Powszechnym Dzienniku* w całej osnowie umieścić pozwoliłem (b): mimo to zostały jeszcze wáżne przedmioty niedotknięte, które tu (bez wdawania się w krytykę cudzéj pracy) chcę przedstawić.

Nazwisko puszczy Białowiezkiéj (jak się zdaje) musi byđz bardzo dáwne; gdyż od ludu tamtejszego niczego w tym względzie dowiedzieć się nie można. To tylko rzecz pewná, że w saméj puszczy są dwa miejsca, które noszą źróđło-słowy tego nazwania. Mianowicie piérwszém jest wielká i dobrze zabudowana wieś, która leży w szrodku puszczy nad rzeką Narewką przy drodze z Brzescią do Grodna i Wilna prowadzącéj, a którą *Białowieżem* lub *Nową Białowieżą* nazywają. Drugiém jest uroczysko, czyli rzádkim lasem porośły wzgórek, który *Starą Białowieżą* zowią, a który na miłę od piérwszéj odsunióy leży w strážy Augustowskiéj.

Polski przez Tomasza Świćkiego. Wydanie powtórne. w Warszawie 1828 w Tomie 2, przypisek 12 zaczynający się na stronie 264.

(a) Zobácz wyżej wymieniony Ner 9. *Dziennika Wileńskiego* na stronie 207. artykuł: *BOTANIKA. O roślinach Zubrom upodobanych, jako też jnnych w puszczy Białowiezkiéj.*

(b) Zobácz: *Powszechny Dziennik Krajowy, w piątek d. 26 Marca 1830 r. Ner 84 na stronie 418. a dokończenie w Nrze 85. na stronie 423. w art. Do Wg Jarockiego Prof. Król. Warsz. Uniw. Niektóre uwagi względem Puszczy Białowiezkiéj.*

Jest nakoniec i trzecie miejsce na dwie wiorsty od staréj Białowieży odległe, które má nazwisko *Zámczyska*. W tych to dwóch ostatnich chciał jeden z nowszych pisarzy znaleźć źródło tego nazwiska, pod którym cała puszcza jest znana; lecz zamiast prawdy wysledzonéj, udzielił nám czczych tylko domysłów swoich, które jednak dosyć zgrabnie w pozór rzeczywistości przystroić umiał (a).

Złudzony nazwiskiem *Zamczysko* jeden przemyślny sąsiad puszczy, którego nie wiele obchodzi pochodzenie wyrazów, postanowił korzystniejszy w tym pagórku szukać rzeczy. Podjeżdżał więc kilka razy w czasie pogodnych nóc, i kopął doły; lecz dostrzeżony przez czuwającego strzelca, a obawiając się, ażeby za kopanie na gruncie Rządowym niebył pociągnięty do odpowiedzialności: doniósł natychmiast do Gubernii, że z pewnych znaków wnosi prawie z niezawodnością, iż w puszczy Białowieżkiéj w uroczysku *Zámczyskiem* zwaném wielkie skarby zakopane być muszą. W skutku tego doniesienia w 1825 r. zjechał JW. *Bobiatyński* Gubernator Grodzieński, i w obecności swojej kazał ten wzgórek rozkopywać. Zamiast atoli skarbów, lub przynajmniej fundamentowych murów jakiego zamku, znaleziono w nim tylko liczne groby ludzi regularnie pochowanych, o których dotąd niebyło żadnéj wzmianki między podaniami mieszkańców puszczy. Siegają one może aż wieków pogańskich; gdyż pod głową każdego kościotrupa był mały garnuszek,

czyli tak nazwaną *Łzownica*, do której w owych czasach, jak historyja podaje, jdący na pogrzeb za nieboszczykiem krewni i przyjaciele ronione łzy zbierali, i jako ostatni zakład przywiązania i szacunku pod głowę mu w grobie stawiali. — Ta okoliczność wykryła, że niewiedzieć dla jakiej przyczyny miejsce to nazywają *zámczyskiem*.

Puszcza Białowieżka w gubernii Grodzieńskiéj, w powiecie Prużańskim znajdującá się, leży w stronie północnéj na ośm mil od Brześciá litewskiego pomiędzy rzekami Białą, Lśną i Narwią, z których dwie pierwsze płyną od północy ku południowi; ostatniá zaś od południa ku północy. Samym niemal środkiem gdzie rzeka Narewka, która po wyściu z puszczy na północnéj stronie w pada do Narwi powyżej miasteczka tegoż nazwiska; a Narew, która wypływa z bagien w lasach prywatnych z puszcą graniczących, dopiero pod Sierodzkiem łączy się z Bugiem. Trzy wyżej wspomniane rzeki powstają w samej puszczy podobnie jak wiele mniejszych rzeczek i strug, które tę puszcę w różnych kierunkach przerywają, a z których jedne w padają do Bugu, drugie do Narwi. Wszystkie obfitują w Raki, Węgorze i kilka gatunków Białorybów.

Puszcza Białowieżka tylko stroną wschodnią styka się z wielkiemi lasami prywatnemi, od których ją część rzeka Narew oddziela; z resztą niemal dokoła otoczona jest uprawnemi gruntami, które w różnych odległościach małe lasy przerywają; najwięcej jednakże widzimy jch od strony Brześciá.

(a) Zobacz wyżej przytoczone dziełko *B. Brincken*.

Znaczniejsze miasta w koło téy puszczy są: na wschodzie Prużana i Słonim, na północy Grodno, na zachodzie Białystok, a na południu Brześć litewski. Mniejsze lecz bliższe miasteczka są: Kamieniec litewski, Kobryń, Szereszów, Narew, Orla i Kleszczel.

Powierzchnią lasów puszczy Białowieżkiéy (podług pomiaru w 1793 roku przez Połchowskiego Jeometrę Królewskiego uskutecznionego, a z rozkazu Ministerjum Skarbu Petersburgskiego w 1806 r. przez Jeometrę Galisiewicza sprawdzzonego) wynosi $17\frac{2}{3}$ jeograficznych mil kwadratowych (a). Ta tak wielką przestrzeń lasu mając w szrodku znaczne wywyższenie, na którym leży wieś *nową Białowieżą* zwaną, jest prawie na wszystkie strony lekko spadzistą: a to jest przyczyną tak rozmaitego kierunku biegu strug i rzek, które w niéy spostrzegamy. Są tam w prawdzie i w jnych miejscach wzgórkę; lecz wszystkie są niepozorne, i wszystkie blisko jéy szrodka położone.

Całą ta puszcza podzieloną jest na dwanaście straż w ten sposób, że one zewnętrzniemi ścianami swémi stanowią brzeg puszczy; gdyż każdá má jeden bok na zewnątrz obrócony. Na zewnętrznym brzegu każdéy straży jest mieszkanie jéy Strażnika, a przy niém po-

(a) Na miarę ruską powierzchnią lasów téy puszczy má 88211 dziesiątyn i 500 sążni kwadratowych. — Jedna dziesiątyna zawiera 2400 sążni □ ruskich; zaś jedna Wiorsta w miarze liniowej czyni 500 sążni ruskich, a jeden sążeń má 7 futów. — Aże mila jeograficzná zawiera 6 wiorst, 450 sążni i 4, 8 futów: więc zredukowawszy wypadnie powyższą liczba.

ła z małą osadą liczącą od 3 do 5 chat chłopskich, których *Ogrodnikami* nazywają; a którzy obowiązani są odbywać pańszczynę do uprawy téy roli, którą Strażnik zamiast pensyi má wydzieloną.

Każdy Strażnik (stósownie do mieyscá) má pod swoją komendą od 5 do 16 strzelców, z których każdy oddzielnego pilnuje obrębu, a których jedynym obowiązkiem jest pilnowanie całości lasu i zwierzyny wszelkiego rodzaju, którzy zabijanie jest zakázane. Nierobią więc żadnéy pańszczyzny; dają jednak rekruta, i opłacają do skarbu (tak jak jnni chłopi) zwyyczajne gruntowe podatki. — Takich strzelców jest 118, z których 114 mieszka na zewnętrznym brzegu w około puszczy, a czterech w jéy szrodku; to jest: w Białowieżu trzech, w Teremiskach jeden. Wiedzieć bowiem potrzeba, że prócz *nowéy Białowieży* są jeszcze dwie znaczne wioski wśród puszczy, jako to: *Teremiska* i *Pogorzelce*. Chata strzelecká odznaczoną jest tém, że má nade drzwiami przybitą tablicę, na której namalowany jest herb Państwa Rossyyskiego. Każdy strzelec má przy swojéy chacie grunt i paswisko dla bydła, których granicy przestąpić mu niewolno; paszenie bowiem bydła w puszczy najwyższą jnstrukcją leśną z 1798 r. surowo jest zakázane. Strzelcy różnią się tém od jnych chłopów, że chodzą w bótach, i noszą wołoszki z sukna szaraczkowe z zielonym kołnierzem i takiemiż mankietami u rękawów; gdy przeciwnie jnni tamteysi wieśniacy mają ubiór z sukna brunátneho, a zamiast bótów kurpie czyli łapcie, to jest plecionki z kory lipowéy.

Oprócz strzelców zwierchność leśną téj puszczy má dodane pięć wiosek, które ogółem liczą 108 chałup. Wsi te są: Kamieniki, Kiwaczyn, Rószkówka, Czwirki i Panasiuki. Chłopi tych wiosek oznaczeni nazwiskiem *Osoczników* są w ścisłym znaczeniu posługaczami puszczy. Jch obowiązkiem jest: kosić siano dla Zubrów na łąkach w puszczy będących i wysuszone składać w stogi: przy dozwolonych polowaniach składać obławę: naprawiać drogi w puszczy będące: nakoniec w czasie upałów lata odbywać warty na głównych przez puszcę jdących drogach, ażeby przejeżdżający ognisk nierozkładali, z którychby pożar w lesie mógł powstać. Prócz tego płacą do skarbu zwyczajne gruntowe podatki, i dają rekruta. Tak między strzelcami jak osocznikami jest dziedziczość, i starszy syn następuje po oycu. Toż samo bywało dawniey między tułtejszymi Urzędnikami, których *Strážnikami* zowią; lecz teraz kwalifikacje naukowe w prowadziły kilku z obcych stron przybyłych.

Biorąc w ogóle tak strzelców jak osoczników wyznać muszę, że mi się ten lud mocno spodobał. Wzrost jch zwykle dobry i kształtny, a twarze czérstwe i wesołe noszą piętno dobrego bytu i swobody; a lubo dla swéy zwierchności okazują náywiększą powolność i rączność w wykonywaniu rozkazów: nie znać jednakże w jch postępowaniu téj niewolniczéy lęklivosti i spoddlenia, jakie się na chłopach jnych tamtejszych okolic widziéć dają. Dla obcych osób spostrzegąłem w nich wiele uprzejmości i usłużności obok niewymuszonéy chęci przypodobania się. W rozmowach, któ-

re z nimi w kilku okolicznościach prowadziłem, znalazłem wiele rozwági, zdrowego rozsądku i przenikłości: niektórzy nawet odznaczałi się w pewnym względzie satyrycznym dowcipem. Szególniey zabawił mię strzelec, który wioząc mię sáneczkami na polowanie, oryginalnym sposobem opisywał mi dumne postępowanie pewnego Pana, który przed kilku latami puszcę odwiedzał.— Náywięcéy podobá się w tych ludziach to, że grzeczność, którą się jm robi, przyy mują z tak naturalnym przymileniem, jakiego ledwie po tych wieśniakach spodziéwać się można, którzy náybliżéy stolicy mieszkają.— Wszyscy są grecko unijackiego wyznania.— Mówią językiem mało ruskim, jak na Wołyniu.— Jch chaty (jak się to wyżéy nadmienilo) są porządnie i po gospodarsku zbudowane, i zwykle dranicami pokryte (a). W niedzielę i jne święta znáydzie się w każdéy chacie przez cały dzień stoł białą chustą nakryty, a na nim świeże masło, chléb dobry, sól i wódkę z flaszczką, którémí przychodzących w odwiedziny bez natrętności częstować lubią. Tyle napomknąwszy nawiasem o mieszkańcach puszczy, powróćmy do uwąg nad samą puszcą.

Ponieważ w czasie mojęy bytności śnieg grubo ziemię pokrywał, nie mogłem się sám przekonać o jakości gruntu: przytoczę więc to, co z wiary godnych ust tamtejszych Urzędników i Obywatelów słyszałem; a co niemál dosłownie Pán *Ronca* w wyżéy wspo-

(a) *Dranicami* zowią cienko naksztált deszek łupane drzewo, które tém się różniá od gátów, że są długie, nie jednako szerokie i niemają brzegu wyłobionego.

mniáném piśmie wyraził (a), to jest, że lubo w puszczy Białowieżkiéy są miejscami smugi piászczyste lub glinkowate: te jednak razem wzięte nieuczynią więcéy nad jedną trzecią część całej powierzchni. Znajdują się także po nad rzekami bagna, które szczególniéy we wschodniéy stronie puszczy widziéć się dają; lecz i tych jłóś jest niewielká. W náywiększéy części gruntem téy puszczy jest lekki urodzayny czarnoziem, czego dowodzi náypięknieyszá vegetacyja roślin wszelkiego rodzaju, nie mniéy owe liczne wszródlasu będące, a náybuynieyszá trawá pokryte łąki, z których co rocznie około jedenástu tysięcy fur wybornego siana zbierają, a których drugie tyle zarosłych krzewami stoi kosá nietykanych. Taká buyność gruntu, podług słusznego domysłu P. Ronki, jest przyczyną utrzymywania się dotąd Zubrów w téy puszczy; bo dostarczają obficie paszy dlá tych obżartych i wiele potrzebujących zwierząt; gdy przeciwnie w jnych na płonnych gruntach będących lasach tym prędzéy wyginać musiały, skoro (jak się niżej dowiemy) bydło domowe skromną jłóś żywności jeszcze jém uszczuplało.

Jeżeli zwrócimy uwágę na las puszczy, widać w nim ząymującą buyność połączoną z piętném prawdziwie naturalnego boru; gdyż rzádko w którém miejscu znaleźć można oddziały jednorodnych, a prawie wszędzie náywiększą mieszanię rozmaitych jglastych i listko-

(b) Zobacz wyżej wymieniony Ner 84 Dziennika Powszechnego Krajowego.

watych drzew. Rosną tu bez ładu stowarzyszone jodły, dęby, sosny, jesiony, graby, osiki, wiązy, brzostry, brzozy, lipy, olsze i swirki; a ustępy między nimi zapełniają kalina, cis, lesczyna, jałowiec, jwa i łoży. Aże i dlá spokojności zwierząt i dlá braku odbytu wywóz drzewa z téy puszczy niemál zupełnie jest zakázany: wszródlwięc náywiększéy gęstwiny tak różnorodnych drzew i krzewów, leżą i butwieją ogromne kłody, które wiek lub wichry poobálały, a w których roje Owadów drzewem żyjących swobodnie gnieździć i rozmnáżać się mogą. Mimo to ani w podaniach ludu tamtejszego ani w aktach puszczy nie znalazłem żadnéy wzmianki o tém, żeby Owady spostrzedz się dającą szkodę w niéy zrobiły. Co, zdaniem mojem, náwidocznieyszym jest dowodem lepszosci lasów mieszanych nad sztuczne jednorodne, które w prawdzie są celem chluby systematycznych leśniczych; ale cóż po tém? kiedy w nich tak często nieocenione szkody owady sprawiają?

Znáywiększą przyjemnością widziałem w téy puszczy dosyć liczne, a troskliwie ochrániane barcie pszczołdzikich, których nám Niemcy i Francuzi tak słuszenie zazdrosczą; a na których wytępienie w lasach Królestwa Polskiego administracyjne urządzenie dlá pozornych przyczyn zapadło. Wszakże każdy znający się na rzeczy przyznać musi, że nie jest tak trudno dopilnować ludzi, którzy dlá opatrzenia barci swoich w las w chodzą, skoro się tylko pewny porządek przepisze. Wreszcie zajęcie się dopilnowaniem tego wartá małego poświęcenia się miejscowéy lasu zwierchno-

ści; bo korzyść dla Skarbu jest oczywistą: drzewo bowiem, w którym się pszczoły gnieźdzą, opłaciwszy Rządowi dochodem rocznym kilkadziesiąt razy wartość swoją, i przyniosłszy więcej niż dwarazy tyle korzyści w miodzie i wosku pilnemu wieśniakowi, jeszcze za właściwą gatunku swego cenę w każdym czasie sprzedane być może; a na wszelki nieszczęsny w kraju wypadek zabezpieczone jest niemi odnowienie pasiek. — Niestety! już my tym skarbem natury ani cieszyć ani chlubić się niebędziemy!

W barciach puszczy Białowieskiej odbywa się zimowa *Koszatka Orzeszniczek* (*Myoxus Muscardinus*), którą tu *Myszą bartnią* nazywają: rzadziej znajduje się ją w zwyczajnych dziuplach drzew, które natomiast przez *Wiewiórki pospolite* (*Sciurus vulgaris*) są zamieszkane. Wiewiórki tej puszczy są w lecie jasno rdzawo czerwone z podbrzuszem białym; a na zimę stają się siemieniato siwe z tą jednak różnicą, że samce mniej siwości przybierają, bo zachowują smugę na grzbiecie i ogon tak czerwony jak w lecie. — O *Polatuchach* (*Pteromys volans*) wszyscy się na to zgadzali, że jch w tej puszczy nigdy niewidziano. Jeden tylko stary Stróżnik utrzymywał, że na Zmudzi i w okolicach Smoleńska podobne zwierzęta znajdować się mają.

Sczurów właściwych (*Mus Rattus*) takie jest mnóstwo we wszystkich domach tamtejszych mieszkańców, że sobie z niemi rady dać nie mogą. Powiadano mi zaś, że się nad rzekami pokazują sczury czarniawe: będą to zapewne *Lemingi wodne* (*Hypudaeus amphibius*).

Bobry (*Castor Fiber*) już od kilkunastu lat zniknęły z tej puszczy: pokazują tylko nad rzeką Narwią dawne ich budowy, jako smutny dowód, że się tam dosyć licznie gnieździły. Z powodu źle zrozumianey rachuby nałożony na strzelców tamtejszych uciążliwy podatek *strzałowy*, który albo w skórkach zwierząt dzikich, albo w pieniądzech co rocznie do Skarbu wnosić byli obowiązani; a który dopiero przed dwiema laty zniesiono: ten mój podatek przyczynił się do prędkiego wytepienia tych tak pożytecznych zwierząt; każdy bowiem strzelec ubiegał się za ubiciem Bobra; bo mu się strzał i skóra i strojem jego sownie opłacał. Ponieważ puszcza Białowieska ma wszelkie Bobrom sprzyjające okoliczności, i ponieważ te zwierzęta w ościennych lasach jeszcze się tu i owdzie znajdują: więc gdyby je Rząd pod opiekę swoją przyjął, i nietylko w puszczy tej strzelania jch surowo zakazał; ale gdyby nawet nagrodę jaką za przywrócenie i rozplnienie jch w niej wyznaczył: z pewnością niemal spodziewać się można, żeby znowu brzegi Narwi i jnych rzek Białowieża w krótko od nich zostały zamieszkane. Dosyć bowiem, żeby zkad jedną tylko parę sprowadzono, i w zupełnej spokojności zostawiono; a w kilka lat całe towarzystwa Bobrów widzieć się dadzą; bo te zwierzęta są bardzo mnożne. Wiadomo zaś w jakiej cenie i wartości jest strój bobrowy europejski: wartoby zaiste! ażeby te szanowne zwierzęta w tej przynajmniej jednej puszczy obok Zubrów zupełnej swobody używały, i łaską Rządu od całkowitej zagłady zabezpieczone były.

Między pospolitą zwierzynę należą tu dwa gatunki

ki zajęcy, to jest: *Zajac szarák* (*Lepus timidus*), który jest zawsze brunatnawo szary, i má wierzch kosmyka i końce słuchów czárne. Drugim jest *Zajac bielák* (*Lepus variabilis*) zimá cały biały má tylko końce słuchów czárne; latem zaś má na wierzchu ciała jasno czerwonawo szarą tużycę, między którą przebiejá się włos biały. Jest on znacznie większy, ale w puszczy téy rzádszy od poprzedzającego. W miarę posuwania się ku północy i wschodowi w krajach za Bugiem położonych, piérwszy gatunek staje się coráz rzádszym, a drugi coráz pospolitszym; gdy przeciwnie z téy strony Bugu i Narwi *Zajac bielák* náleży pomiędzy osobliwości; zaś w Szwecyi *Zajaca szaraka* wcale nieznają.

Z nastopnych zwierząt *Kret pospolity* (*Talpa europaea*) i *Jéż pospolity* (*Erinaceus europaeus*) są dosyć zagęszczone. Powiadano mi także o małym czárném zwierzątku, które się w bliskości rzék tamtejszych widzieć daje, a które (jle z opisu wyrozumieć mogę) jest *Ślepuszonką nabrzeżną* (*Sorex fodiens*). *Borsuk jaźwiec* (*Meles taxus*) jest dosyć pospolity przy wzgórkach puszczy, w których sobie nóry grzebie.— Myśliwi tych okolic zapewniali mię, że w téy puszczy żyją dwa gatunki (albo raczej odmiany) *Niedźwiedzia pospolitego* (*Ursus arctos*), to jest: czárny wielki, którego dlá piękności włosu *szrebrnym* nazywają, i brunatny w mowie tamtejszych strzelców *Rudką* zwany.— O *Rosomakach* (*Gulo*) niewiedzą, żeby się kiedy w puszczy Białowiezkiéy znáydować miały.

Z rzędu drapieżnych náypospolitszemi w téy puszczy

są *Wilki* (*Canis Lupus*), które w ostatnich latach z przyczyny zupełnego zakazu polowania mając bezpieczeństwo w gęstych łożach pod zwaliskami drzew tak się rozpleniły, jż w większém zwierzynie, a mianowicie w Zubrach wiele szkody narobiły.— *Lis pospolity* (*Canis Vulpes*) tak jest liczny, że w czasie polowania na Zubrzycę, gdy jeden tylko strzał był dozwolony, poruszone z legowisk przez obławę jak psy między nami się przesuwaly. Mimo to, myśliwi tamteysi utrzymują, że z przyczyny zbyt wielkich gęstw w ostępach, a zakazu używania ogarów w puszczy, bardzo rzádko zdarzy się zastrzelić lisa. Taká jch liczba wytępiá niezmiernie Zające, tudzież Kuropatwy, Głuszcze, Jarzábki i jne na ziemi gnieźdzące się ptáki.

Rys (*Felis Lynx*) lubo się dosyć często pokazuje, jest raczej przechodowém niż mieyscowém puszczy téy mieszkancem. Dorasta wielkości psa dużego. Chód má powolny. W czasie pochodu trzymá się dróg i ścięszek. Na zdobycz podchodzi czającym się sposobem, a potém rzucá się nágle; lecz jeżeli za drugim a náywięcéy za trzecim skokiem upatrzonéy zdobyczy niedosięgnię: staje w mieyscu i patrząc za uchodzącą, kiwá na bok swym krótkim ogoném. Náywięcéy pozerá on Zajáce, Sarny i młode Łosie.— Kotów dzikich w puszczy téy nie mają.

Do pospolitszych w puszczy Białowiezkiéy náleżą także: *Kuna domowá* (*Martes foina*), *Kuna Tumák* (*Martes silvestris*) i *Łasica Tchórz* (*Mustela putorius*); a nad wodami *Norka* (*Mustela lutreola*) i *Wydra* (*Lutra vulgaris*).

W gęstwach na miejscach niskich i błotnistych *Dziki* (*Sus ferus*) żyją stadami dosyć dużemi, a wychodząc w czasie lata na przyległe pola czynią znaczne szkody. Oprawiają się w Styczniu i Lutym. Maciory po czterech miesiącach ciąży proszą się w Maju i Czerwcu wydając za jednym pomiotem od sześciorga do czternastorga młodych. Prosięta legną się brunatno i płowo w podłuż smugowane, i w ten czas znane są pod nazwiskiem *Sysaków*. Późniéj wyleniwszy się z pierwszý krótkiý sierci, porastają na zimę w długą brudno płową, czyli jednostaynie rudawą szec: w tedy zowią je myśliwi *Warchlakami*. W późniejszym wieku ciemniejąc coraz bardziéj, przybiérają maść ciemno brunatną i rosną do sześciu lát: w takiéj barwie znane są pod ogólném nazwiskiem *Dzików*. Nakoniec stare kiernozy, które się oddzielają od trzody, oznaczone są nazwiskiem *Odyńców* lub *Pojedyńków*. Mięso dzika (mianowicie młodego) równie świeże jak wędzone má smak wyborny; ale polowanie na dziki należy do náyniebezpieczniejszych. Rozdrażniony dzik rzucá się równie na psy jak na ludzi, i rozdziérá potężnemi kłami, kogo tylko dopadnie. Jest jednak sposób zabezpieczenia się przeciw niemu; a tym jest przytomność. Ponieważ dzik rozgniewany pędzi w kierunku prostym: dość jest nagle uskoczyć mu w bok, lub wyléźć na wyższy od niego pniák; a uydzie się niebezpieczeństwá. Dziki napadnięte od Wilków zbiegają się w koło, którego obwód składają stare, a młode szrodek wypełniają. W takiéj postawie wydając głośnie rechtanie, i broniąc się kłami, nigdy prawie szwanku nieodnoszą.

Puszcza Białowiezká má dosyć znaczną liczbę *Sarna* (*Cervus capreolus*), które zwykle małémi żyją stadkami; to jest po kilka lub kilkanaście w jednéj gromadzie. Są to niewinne i bojaźliwe zwierzęta. Żywią się trawą, tudzież liśćmi i latoroślami krzewów listkowatych. Ruję odbywają w Październiku, i w tym téż czasie samiec zrzucá swe rogi, które mu w czasie zimy odrastają; a lubo się z każdym rokiem stają coraz bardziéj chropowate: mimo to za mentrykę wieku jego posłużyć nie mogą; bo w stanie zwyczajnym więcéj nad trzy końce niemiéwają. Samica po dwudziestu dwóch tygodniach rodzi w Kwietniu zwykle dwoje sarniát; a te są blado rdzawo czerwone z rzędami biáłych plamek na plecach, które w párę miesięcy utracają, przybiérając właściwą gatunkowi maść szarą. Głós sarniát jest cienki gwiżdżący. Sarna má bieg bardzo szybki; lecz to w niéy rzecz szczególniejszą, że krzyknąwszy mocno lub strzeliwszy za nią na wiatr, wszród náyteższych susów galopu zatrzymuje się nagle, i wracá ku téj stronie, z którój ów krzyk lub huk pochodził. Mięso Sarna po zajacém jest najsłodsze, a skóry jch dają zams wyborny. Nieznádujemy w nich worka żółciowego.

Łosie (*Cervus alces*) z przyczyny wyżéj wzmiankowanego podatku *strzałowego* tak dalece zostały przeredzone, że teraz raczéj za zwierzęta przybywające z ościennych lasów, niż za właściwie w puszczy zamieszkałe uważać należy. Lecz że w graniczących z puszczą prywatnych lasach, z powodu goszczących tam Zubrów, wszelkie głośnie i wielkie łowy są zabronione;

a przytém bagnistość jch gruntu dogodną paszę i schronienie dla Łosi następczą: spodziewać się należy, że byle zakaz polowania w samy puszczę ściśle był zachowany, w krótkce się znowu Łosie rozplenić w niey mogą; bo samice jch prawie corocznie bywają ciężarne, i rodzą bardzo często po dwoje łosiąt, które (podobnie jak jnych do rodzaju Jelenia należących gatunków) przychodzą na świat centkowane i mają głos gwiżdżący. Ruja łosi trwa blisko przez cały miesiąc, i to w miesiącu Wrześniu podług naszego kalendarza (*). Samica nosi płoć blisko przez siedm miesięcy. Oprócz rozsochów czyli rogów, które zrzucą w początku miesiąca Lutego, samiec różni się jeszcze tęp od samicy, że jego pętlica u podgardla jest znacznie większą, i tak dużą siercią pokrytą, że twoży w pewnym względzie gatunek brody, która szczególniey u starych jest dosyć długą. Rogi samca roczniaka są rdzawe, słabo esowato zgięte, zupełnie okrągłe, jedno kończy się. W roku drugim wyrastają mu płaskie, wązko listewkowate, z końcem widełkowato rozdwojonym. W trzecim roku są już właściwego sobie orzechowego koloru, a przybrawszy cokolwiek więcej szerokości, dostają trzeci koniec na boku. Tak powiększając co rocznie (przy nowym wyrastaniu) szerokość swoją, i mnożąc sęki czyli końce na zewnętrznym brzegu, w szóstym roku dostają kształt prawdziwie szeroko dło-

(a) Podania P. Honki dla tego różnią się cokolwiek od moich; ponieważ on uważa czas podług kalendarza ruskiego, który jak wiadomo, spóźnia się o dwanaście dni.

niasty na krótkiemy okrągły szypułce. Odtąd po każdym zrzuceniu rozrastając się coraz bardziey i w szerokość i w liczbę końców, dochodzą z wiekiem tak ogromny wielkości, że u piętnastoletniego samca, mając po czternaście końców na zewnętrznym brzegu, wążą około sześćdziesiąt funtów. Biorąc ściśle, taki ciężar na głowie próżną tylko zdaje się bydź zawadą: bo Łoś należy do náybojaźliwszych zwierząt tak dalece, że nawet w czasie rui trwożliwość go nieodstępuje; z tąd też trudno zeyśdź łosia na bekowisku. Samica nie mając rogów zdaje się jednak mieć więcej odwagi; a chociaż dzieci swoich bronić się nieodwážy; lecz gdy widzi, że jey łosięta zabrano, wydając cichy, żałosno pogwizdujący głos, jdzie za niemi w pewny odległości dopóty, dopóki trwa gąszcz lasu. Puściwszy jey dzieci, i odstąpiwszy od nich na kilka kroków, widzimy ją natychmiast przybiegającą do nich. Obwąchawszy je z radością, wprowadzą na powrót w gąszcze; a jeżeli jeszcze są bardzo młode, popychą je przed sobą trącając z lekka chrapami. Węch łosia jest bardzo bystry: nawet w ucieczce przed psami nie łatwo wychodzi pod wiatr na strzelca. Rzadko jdzie on galopem; lecz zwykle biegnie nadzwyczaj szybkim kłusem; gdyż z przyczyny wysokich nóg robi kroki bardzo długie. W biegu jego spostrzegamy dwie osobliwości: naprzód, że nogi jego wydają pewien rodzaj trzaskania; a powtóre, że chodząc szybko po miejscach bagnistych tak się na bok pochyla, jak gdyby się chciał wywrócić. Mimo szybkość biegu jego, dwa psy mierny dobroci snadno go zgonią; a skoro się

zadysz, zatrzymuje się w miejscu rozkraczony. W takiéy postawie spuściwszy głowę ku ziemi, tak się zapomina, że chociaż má ogromne rogi przy czole, parská tylko, i bez żadnego oporu pozwalá się psom kalczyć. Jeżeli te są dosyć cięte, zdarzá się, że mu i chrapy porozdzierają. — Náyulubieńszy pokarm dlá łosi jest *Bagno świnié* (*Ledum palustre*), mchy wszelkiego rodzaju, tudzież latorośle, tak jglastych jak listkowatych drzew i krzewów. Lubo w puszczy Białowiezkiéy stoją przez całą zimę liczne stogi náylepszego siana: nigdy się do nich łosie niezbliżają. — Krzyżówka i polędwica Łosia mają smak wyborny; lecz jnych części mięso jego jest przytwarde: potrzymane jednak przez kilka dni w occie lub w winie czerwóném, staje się kruche i smaczne. — Skóry samiec i młodych samców dają zams náyprzedniejszy; ze starych samców skóry są mniéy cenione, bo są za twarde a przy tém zbyt rzádkie. Brodávki wielkości potowy orzecha włoskiego są u nich zwyczajną skórnią chorobą; a te wyrástają jém zwykle na nogach tak gęsto, że u niektórych sterczy guz przy guzie. Worka żółciowego nie mają.

Jelenia włáściwego (*Cervus elaphus*) nie ma w tych kniejach. Wyciągane jednakże dosyć często z rzék tamtejszych siéciami przy łowieniu ryb, a nawet i znáydowane (lubo rzadziéy) w gąszczach rogi jelenie różnéy wielkości, náyoczywistszym są dowodem, że i te zwierzęta przed laty w puszczy Białowiezkiéy żyć i rozmnáżać się musiały. Nazwiska zaś miejscowe, jako to: *Jeleniá góra*, struga *Jelonka* i t. p. zda-

ją się wskazywać, że w tych częściach puszczy Jelenie náychętniéy zatrzymywać się lubiły.

Nié masz tam takżé *Danieli* (*Cervus dama*). W zwierzyńcach atoli poblizkich dóbr prywatnych dosyć pomyslnie się chodują. I tak w Turnie JWgo *Kasztelana Bnińskiego* na połowie drogi między Brześciem a Krolowym-Mostem, tudzież na północnéy stronie puszczy w Świsłoczy JWgo *Hrabi Tyszkiewicza* danielé są dosyć liczne.

Náycelnieyszém téy puszczy (bo podobno już tylko w niéy znáydującém się) zwierzęciem jest *Zubr* (*Bos Urus*). Zupełnie gładkie i podobnie jak u bydła domowego księżycowate, czyli na boki i na przód wygięte rogi stały się powodem, że niektórzy Pisarze uważali *Zubra* za pierwotny szczép bydła czyli *Wołu domowego*: a przeto za jeden i ten sám gatunek. Jinni, do których náleży i LINNEUSZ, zaledwie poczytali *Zubra* za dziko żyjącą odmianę bydła domowego. Pierwszymi, którzy *Zubra* za osobny gatunek uznają, chociaż cech gatunkowych dlá niego z ścisłością Linneuszowską nieokręslili, są: PALLAS, HALLER, GILBERT i CUVIER. Jestem zupełnie jch zdaniá; a podług mego sposobu uważaniá cechą gatunkową; to jest różnicą, którą się *Zubr litewski* od wszystkich jnych dotąd znanych, tak domowych jak dzikich gatunków *Wołu* zewnętrznie odznacza, są następujące punkta:

CECHA. *Rogi okrągłe, rozłożyste, na przód podane, końcami w górę wzniesione. Grzbiet garbaty, łukowato wzniesiony. Podgardle i mostek zaokrąglone.*

ne bez owistey skóry. Na podgardlu i na mostku włos dlugi.

OPIS. Wół Zubr litewski má: rogi czárne, miernie dlugie, okrągłe, grube, rozłożyste, naprzód podane, końcami w górę zwrócone, pod krawędzią ciemniową osadzone. Czoło szersze niż dłuższe, wypukłe, kędzierzawe, piżmem woniejące. Podgardle i mostek zaokrąglone bez owistey skóry. Na całym podgardlu i mostku (mianowicie u samicy i młodych samców jak Fig. 1.) włos dlugi, naksztált brody zwisty.—Bardzo stare samce bez brody na podgardlu, mają tylko podbródek brodaty (jak Fig. 2).—Szyja krótka. Głowa nisko osadzoná. Na karku grzywa krótka, w górę stercząca. Tutuw w przodzie wysoki, silny; w tyle zeszczuplony. Grzbiet na przodzie łukowato wzniesiony, ku tyłowi spadzisty. Ogon od połowy mocno kiściasty. Otwór gęby ciasny. Zęby przednie ściśnione, ostre, z szczytami głęboko wydrążonemi. Sierć na ciele w zimie gęsta, welniasta, miernie dluga, zbita, pieprzykowo brunatna bez połysku; na bokach szyi i na łopatkach bledsza, z białawą siercią pomieszana; a na nogach przednich czarniawa: w lecie krótka, połozysta, połyskująca wszędzie czarniawo brunatna, czyli gniada. Policzki, broda, kiść ogonowa i kopyta zawsze czárne. Młode jedno roczne są w zimowey barwie popielato siwe, mocno kosmate; mają policzki, brode, grzywę, kiść ogonową, i nogi czarniawe. (a)

(a) *Bos Urus Lithvaniae* (Zubr) cornibus teretibus, divaricatis, antrorsum reflexis, apicibus sursum versis:—dorso arcuato, gibbo:—palearia laxa colli et pectoris nulla:—guttare et pectore pilis longis.

Aczkolwiek powyższa cecha i opis są dostateczne do rozróżnienia Zubra nietylko od wszystkich dotąd znanych a licznych rass bydła domowego, ale i od wszystkich jnych gatunków, które do rodzaju Wołu (*Bos*) należą: mimo to nie obéymują one jeszcze wszystkich różnic, które jego oddzielność gatunkową od bydła domowego dowodzą; a które dopiero przy ściślejszym rozważaniu na jów wychodzą. Przeydźmy więc przynajmniéy wáźniejsze porównawczym sposobem.

Czoło *Wołu domowego* jest dłuższe niż szersze i prawie zupełnie płaskie.—Przeciwnie czoło *Zubra* jest wypukłe, i szersze niż dłuższe.

Descriptio. Cornua nigra, teretia, crassa, mediocriter longa, divaricata, antrorsum reflexa, apicibus sursum versis, sub rima occipitali annexa. Frons latior quam altior, convexa, crispa, moschum redolens. Guttur et pectus rotundatum sine palearia laxa. De gutture et pectore (praecipue vaccarum et juvencorum ut Fig. 1.) pilis longis, laxi barbae instar dependent. (Mas senectute sera ebarbatus, mento tantum pilis longioribus. ut Fig. 2). Collum breve capite demisso. Juba nuchae brevis, erecta. Truncus antice altus, robustus; postice gracilis. Dorsum antice arcuatum, gibbum; postice devexum. Cauda a medietate jubata. Os angustum. Dentes primores compressi, acutati, apicibus profunde excavatis. Vellus in toto corpore hyeme densum, lanatum, tomentosum, mediocre, fuscum; ad latera colli et scapulas dilutius, albidis pilis intermixtum: aestate undique breve, incumbens, fulgidum, fuscum. Extremitates pedum anticorum semper fuscae. Latera capitis, barba, floccus caudae, et ungulae nigrae.—Vituli anniculi hyeme perhispidi, cineracei: juba, lateribus capitis, barba, cauda pedibusque nigris.

Rogi *Wołu domowego* wyrastają z nabocznych końców krawędzi ciemieniowey, i u większey liczby rass zaraz od nasady są ukośnie naprzód i w górę podane. (a) — Przeciwnie rogi *Zubra* osadzone są pod krawędzią ciemieniową, a przywychodzeniu z nasady mają poniekąd kierunek poziomy.

Wół domowy má całą pyzę (b) nagą, mocno nabrzmiałą, a otwory nosdrzy naprzód podane. — Przeciwnie u *Zubra* tylko szrodek wargi górney i brzegi nosdrzy są nagie bez wyraźnego nabrzmięcia pyzy; otwory zaś nosdrzy má ukośnie, i bardziéy na boki

(a) Náybliższe podobieństwo z bydłem domowém i w rozmiarach czoła i w osadzeniu rogów spostrzegamy na głowach kopalnych dwóch przedpotopowych, a przynáymiéy z tak nazwanym *Mamutem* czyli *Słoniem północnym* współczesnych zaginionych gatunków Wołu. Widzimy jednak i wazne w nich różnice; bo u jednego rogi podane naprzód skręcały się końcami ku ziemi; u drugiego zaś przy wklęsłym czole rogi zupełnie poziomo na boki i naprzód podane tworzyły kształt półksiężycy, jak to wyobraził GESNER w dziele swoim na stronie 137 n. 10 pod nazwiskiem *Bonasi Caput*. Ostatnie wykopują u nás dosyć często; lecz zawsze prawie bardzo uszkodzone. Exemplarz takiéy głowy będący w Gabinecie Zoologicznym Król. Alex. Uniw. jest tak duży, że má przeszło półtrzecia łokcia przemiaru; bo same mózdenie mają więcéy niż po łokciu długości; w zbiorze zaś Król. Tow. Przyjaciół Nauk znáydujący się exemplarz jest jeszcze więkzsy.

(b) Pyzę (*Chiloma*) nazywamy przód nosdrzy wraz z górną wargą, skoro te tak jak u Wołu są nagie i mocno nabrzmiałe.

zwrócone. Takiém urządzeniem końca pyska więcéy przypominá kozę niż wołu.

Zęby przednie *Wołu domowego* są okrągławe, a wierzchy mają gładkie, słabo - wklęsłe. — Przeciwnie zęby przednie *Zubra* są ściśnione; od przodu wypukłe, a z tyłu wklęsłe. Nadto wazki, chropowato ostry szczyt káżdego zęba má wazkie a głębokie wydrążenie, którego brzeg zewnętrzny jest wyższy od wewnętrznego. Słowem zęby przednie *Zubra* są urządzone do skrobaniá twardych przedmiotów: zład dziwić nás niepowinno, że z łatwością ogryzają korę z náytwardszych nawet drzew; jako to: z jesionów, grabów i t. p. — Zęby przednie jedno rocznego *Zubra* są zupełnie szufelkowate, i mają szczyty bardzo ostre, niewydrążone.

Zęby trzonowe *Wołu domowego* są prawie równéy wielkości, i mają wierzchy równo przycięte. — Przeciwnie u *Zubra* zęby trzonowe są stopniami ku tyłowi coráz więkzsze, z sądami mocno odznaczonými, i mają wierzchy ukośnie a głęboko w sądy powycinane. Słowem, są one zbudowane do rozcieraniá lato-rośli drzew i krzewów, które stanowią w części pożywienie tego zwierzęcia.

Wół domowy má u podgardla i mostku naksztált falbany skórę owisłą, która podobnie jak reszta ciała krótką siercią jest pokrytá. — Przeciwnie u *Zubra* spód szyi jest niemál tak zaokrąglony jak u konia; w miejscu zaś owéy falbany skórzanéy má na całym podgardlu i na mostku długi, naksztált brody owisły włos, który u samicy i młodych samców jest náyokázalszy.

U *Wołu domowego* ciemię, kark i grzbiet tworzą prawie prostą poziomą linię. — Przeciwnie głowa *Zubra* jest nisko osadzona; a kark jego i początek grzbietu aż poza łopatki tworzą linię łukowato wzniesioną, która za łopatkami przechodząc w linię prawie prostą, pochyla się znowu ku tyłowi tak, że wysokość nasady ogona padá cokolwiek wyżéy niż ciemię. Nadto ostrość łukowato wzniesionego przodu grzbietu, którą tworzą nadzwyczaj długie i nad brzegi łopatek znacznie wzniesione wystawy paciérzy grzbietowych, stanowi także nie poólednią różnicę u *Zubra*.

Tułuw *Wołu domowego* má prawie wszędzie jednáką wysokość. — Tymczasem tułów *Zubra* jest w przodzie bardzo wysoki, a w tyle wysmukły i niemál hartowaty. Taká budowa jch przodu ciała okazuje ogromną moc i siłę.

U byka domowego wołu worek cynadrowy jest bardzo duży, owisty i nagi. — Przeciwnie u *Zubra* worek ten jest gęstą siercią pokryty, pod ciało podsuniony i niemál tak mały jak u ogra.

Wymię krowy domowéy bardzo wielkie sięgá daleko pomiędzy nogami. Przeciwnie *Zubrzyca* nie mając wyraźnego wymienia, má tylko cztery małe cyce na skórce; gruczoły zaś mléko wyrábiające w kształcie dwóch klinowatych listew ciągną się uniéy na podbrzuszu aż ku bliznie pępkowéy. Nakoniec części płciowe nawet u cielných *Zubrzyce* są niepozorne i nad kości łonowe niewywyższone: co włąónie przeciwnie u krów domowých widziéć możemy.

Wreszcie náywáźniejszą różnicą, któręy ani klimat ani sposób życia zmienić nie może, a którą zastydzą uwáżających *Zubra* za prostą odmianę bydła domowego, jest to, że wszystkie dotąd znane rassy i gatunki *Wołu* mają po *trzynáście* pár żeber; gdy przeciwnie w *Zubrze* liczymy jch *cxternáście* pár.

Budowa oka *zubrzego* zasługuje także na uwágę. Jest ono duże, bardzo wypukłe, otoczone od spodu biłą błonową pochewką, którą mając brzegi brunátne, powiększá pozornie obszérność tęczy jego; gdyż ta podobnie jest brunátną. O jle jednak oko *Zubra* w stanie spokojnym má przyjemnego i záy mującego wyrazu; o tyle przeraża trwogą w chwili gniewu lub przestachu tego zwiérzęcia; gdyż jest tak ruchome, że się w ten czas po więkšzý częóci biátkiem naprzód obraca. Náywáźniejszą jednak rzeczą w oku jego jest pionowo podłużná, w szrodku zwężóná źrzenica: z kąd wnosić možná, że *Zubr* stworzony do życia w stanie dzikoóci, otrzymał od Natury možnoóć widzenia zarówno we dnie jak w nocy. — W oku *Wołu domowego* niespostrzegámy ani téy żywoóci i zwrotnoóci, ani tego wyrazu przytudzającego; a źrzenica jego jest kolistá.

Nie zawadzi nadmienić i otém, że wargi, język i podniebienie *Zubra* są blado błękitnawo sine; powiérzchniá zaś jego języka jest tak szorstká jak u *Wołu domowego*. Nadto ucho u *Zubra* małe jest mocno poroóste i zaroóste włosami. —

Jeszcze jedna, a niepospolitęy wáźnoóci w *Zubrze* okolicznoóć, jest ów dosyć przyjemny, jemu włąóci-

wy zapach, który się z czoła jego czuć daje, a który jest poszrodkowy między zapachem fijołka i piżmu. Siedlisko właściwe tego zapachu jest w mózgu; w mięsie zaś nigdzie go niespostrzegamy. W tym względzie różni się Zubr od *Wolu piżmowatego* (*Bos moschatus*) w północnych krajach Ameryki między *nowym Meksykiem* i *Krystynosem* dziko żyjącego, którego całe mięso piżmem pachnie (a).

Moc wspomnianego zapachu w czole Zubra jest różną względnie do różnicy płci i pory roku. I tak mocniejszy daje się czuć u byka niż u krowy; najsilniejszy zaś u pierwszego objawia się w czasie rui; gdyż w tedy rozpościérá go wokoło siebie na sto i więcej kroków.

Ruję odbywają Zubry w miesiącu Sięrnieniu przez dni czternaście. W téj porze są one náyładniejsze: bo tłuste, gładkie, czarniawo brunatne czyli gniade,

(a) Náybliższym Zubra gatunkiem jest tak nazwany *Bizon* (*Bos americanus*); gdyż jest podobnie garbaty i podobnymi rogami uzbrojony; lecz różni się tém, że jest rdzawy czyli rudy, i że má na całym przodzie ciała bardzo długi kędzierzawy włos, a na tyle sierć krótką tak, jak jest przez RIDDINGERA wyobrażony. Szczególniey na głowie włosy jego są náydłuższe. Żyje on w nowéj Hiszpanii. — Drugim także dziko żyjącym jest wyżej wspomniany *Wół piżmowaty* cały długim wełniastym włosem pokryty, który má rogi na szczycie czoła osadzone, płaskie i przynasadzie tak rozszerzone, że szerokość jch w tém miejscu wyrównywa długości. Rzecz zastanowienia godná, że kości zupełnie podobne kościom tego gatunku znáydują się dosyć licznie w Sybiryi.

połyskujące; a przy tém náyzuchwalsze i náyswawolniejszy. Rozjgrawszy się, chodzą około cienkich a rzádko rosnących drzew ryjąc rogiem w ziemi dopóty, aż mu się to na głowę wywróci. Tym sposobem wykopują jodły od czterech do szóstu calów szrednicy mające, które uczezione korzeniami na rogach noszą jak wieńce sprawiając szum i łoskot po lesie. Z téj przyczyny trudno dobrać takiéy sztuki równie między samicami jak samcami Zubra, któraby miała rogi zupełnie gładkie. Pospolicie są one przy nasadzie mocno powycierane, nie rzádko nawet drzazgowato pozadzierane, a u niektórych nawet i poprzyłamywane. Wszród wyżej wzmiankowanych jgraszek popisują się często z jedynym głosem swoim. Jest to krótkie a bardzo mocne brukanie, z blizka dalekiemu strzałowi plutonowému, z daleka wzlutowi Jarzábka podobne. — Stare samce walczą tak zapalczywie z młódemí, jż nie trudno znaleźć w tedy Byka zakłutego rogami. Taką śmiercią giną zwykle trzechletnie samce. Często także napotykJą w tym czasie nieżywe młóde Zubrzyce, które stare Byki poprzełamywały. Po skończeniu się czasu rui náystarsze Byki oddzielają się od stád, i tułają się párami lub pojedynczo po puszczy; młóde zaś żyją w towarzystwie z samicami w stadach od pięciu do piętnástu sztuk liczących.

Zubrzyca nosi płód przez dziewięć miesięcy, i rodzi w Maju jedno tylko ciele, które (podobnie jak ciele krowy domowéy) zaraz po obeschnięciu wstaje na nogi, i za matką biegać zaczyna. Ssie blizko przez

rok cały. W czasie ssania młodziak má kształt náy-powabniejszy: jego krótká, a mocno włosámi na bokach napuszóná głowa obok łukowato garbatego grzbietu nadaje mu wyráz junákowaty. Widziane z pewný odległósci (mianowicie na śniegu) jdące za stadem starych, mają postać Niedźwiedzi. Zubr rośnie do lát sześciu, a żyje do czterdziestu.

Zubrzyce ledwie co trzeci rok bywają cielne, i dlá tego pomimo náyszczérszý opieki Rządu, jakiéy w puszczy Białowiezkiéy doznają, rozplenie jch postępuje dosýc opieszale. Wszakże w zeszłym (1829) roku na *sześciu set sześćdziesięciu trzech* (665) starych przybyło tylko *czterdzieści ósm* (48) cieląt. Tym sposobem w roku bieżącym liczą wszystkich *siedmset jedynáście* (711.) sztuk, włącznie i z témi, które się w przyległych prywatnych lasach znáydują. To prawda, że szybszému rozpleniání się Zubrów są na zawadzie zwierzęta drapieżne, a mianowicie Wilki, które nietylko cielęta, ale i stare Zubry pożerają. Wiedzieć bowiem potrzeba, że pomimo ogromný siły swojéy Zubry nie mają nawet tyle dzielności, co bydło domowe w stepach chowane; gdyż na widok Wilka nie zbiegają się w kupę dlá wspólnéy obrony; ale náyśilniejszy ufając sobie oddzielają się, i uchodzą. Tym sposobem zostawiając młode bez zastóny, naráżają siebie na tym prędszą zgubę; pojedynczy bowiem, choćby i náytęższy Zubr obskoczony tylko od trzech Wilków z łátwością zostaje pokonany; bo gdy jeden z nich zabawiá Zubra na przodzie zaskakując mu około głowy: odwracá uwá-

gę jego od tych, które mu z boków zachodzą; a skoro mu tylko jeden wydrze w boku dziurę: już Zubr padá ofiarą jch żarłoczności.

Wspomnieliśmy wyżéy o liczbie ogólnéy teraz żyjących Zubrów w puszczy Białowiezkiéy; może nás kto zapytać: jakim sposobem dzikie, w gęstwach lasu żyjące zwierzęta policzyć možná?—Zaczém na to pytanie będziemy mogli przyzwoicie odpowiedzieć, musimy wprzód na niektóre okoliczności zwrócić uwágę naszą. Przede wszystkim wiedzieć potrzeba, że lubo Zubra nigdy zupełnie ugłaskać nie možná; mimo to Zubry nie należą do zbyt pierszchliwych i bojaźliwych zwierząt. Zachodzi między niemi jednak ta różnica, że młode i wieku szredniego, czyli żyjące w stadach okazują więcéy bojaźliwości, niż pojedynczo chodzące.—Jdąc ku nim pod wiatr možná się do stada zbliżyć na sto kroków; przeciwnie z wiatrem jdącego człowieka już o pięćset i więcéy kroków wietrzá, i uchodzą; gdyż słuch i węch mają bardzo bystry. Jeżeli przy tém spostrzegá człowieka w jasne kolory ubranego: na ten czas stają się płochszými; bo przywykłe do jednostaynéy posępności boru, niecierpią wszelkich jasnych, a mianowicie jaskrawych kolorów. Szczególniéy razi je kolor czerwony.—Na starych po dwóch lub pojedynczo tułających się samcach nietylko, że powyższe okoliczności tyle wrażeńia nie czynią; ale co więszá? widzimy je tak zuchwałe, że często przechodzącym i przejeżdżającym ludziom z drogi ustąpić niechcą. Takim właśnie był ten samiec, któregómy do Ga-

binetu Zoologicznego dostali, a który się od kilku lat uwijał w gęszczach blisko dróg będących. Jego zuchwałość posuwała się tak dalece (mianowicie w czasie zimy), że gdy poczuł dobre siano na saniach, dopóty z drogi niezeszedł, aż mu je wyrzucano. Gdy go chciano biczem z drogi spędzić: natychmiast zadartszy ogona okazywał gotowość do odporu rogami. Kilka razy nawet (jak mi powiadano) nabawił podróżnych strachu i kłopotu. Rzucał się rogami do sánek, zniewolił jadących do ucieczki z nich; a ci spłoszonych koni ledwie po tém odszukać mogli; rzecz bowiem szczególniejszą, że konie tak Zubrów niecierpią, że je już o trzysta i więcej kroków wietrzą, i lękaniem się okazują; a przed zastępującym na drodze Zubrem albo się z bojaźni na brzuchy kładą, albo dęba stawają. Ta okoliczność przypomina mimowolnie podanie historyczne o owym *Wole leśnym*, który Macedoniją strachem napełniał, a którego zabiwszy FILIP Król Macedoński przy górze *Orbeli* skórę z rogami w przysionku świątyni *Herkulesa* na pamiątkę zawiesił.—Wzajemny wstręt spostrzegają także między Zubrami a bytłem domowym. To nadmieniwszy nawiasem wróćmy do sposobu liczenia Zubrów.

Drugą okolicznością, którą ułatwia liczenie tych zwierząt, jest to, że każde jch stado trzyma się stale pewnego okresu puszczy w bliskości rzek i źródeł: każdy więc Strážnik wie niemal z pewnością o liczbie stád w strážy swojej. Jdzie przeto jedynie o jłość sztuk; a o téj przekonywają się w po-

czątku zimy na piérwszy poroszy; to jest: na piérwszym upadłym śniegu. Skoro piérwszy śnieg upadł występują wszyscy strzelcy pod okiem Strážników około dziewiątej godziny z rana, i każdy strzelec liczy w swoim obrębie ślady Zubrów, które na śniegu zostawiły w powrocie od stogów siana, i dociérą w cichości aż do spostrzeżenia jch na oko lub przekonania się, że nie wyszły za granice obrębu jego. Potém strzelcy káżdý strážy schodzą się przed swego Strážnika, a porównywając spostrzeżenia swoje, wykazują rzeczywistą jłość żyjących Zubrów w swéj strážy, między którymi z małości łtropu rozróżniają liczbę młodych jedno-rocznych. W skutku takiego zniesienia się káždy Strážnik donosi na piśmie Naczelnikowi puszczy; a ten z takich pojedynczych doniesień układa dopiéro ogólny rapport, który co rocznie Rządowi Guberskiemu przedstawia; rapporta zaś Strážników zostają w aktach puszczy.

Nadmieniło się wyżej, że w raportach rocznych Leśniczy wyraża liczbę starych i młodych Zubrów; lecz jłości samców i samic nie wyszczególnia; bo téj trudno oznaczyć z pewnością. To prawda, że po mniejszém głowie, po dłu gości brody i po mniejszém a wysmuklejszém ciele Zubrzyce dorosłe od samców szredniego wieku już na sto kroków dosyć dobrze rozpoznać można; lecz rozróżnienie dwóch i trzechletnich samców od krów starych nie jest tak łatwe; a między roczniákami z podobnéj odległości oznaczenie płci jest prawie niepodobne. Z tąd rzecz widoczna, że wszelkie wykazy szczególowe samców

i samice Zubrów są nadciągnięte, i niezasługują na wiarę.

Oprócz kory młodych drzewek i krzewów listkowatych, jako to: łożów, jwiny, osiczyny, jesionów i grabów, náyulubieńszém pokarmem dla Zubrów są następujące rośliny: *Dąbrówka* (*Holcus odoratus*, *aristatus*); czyli odmiana wąsatá *Zubrówki południowéy* (*Holcus odoratus*, *muticus*), którą pospólstwo w Królestwie Polskiem *Turówką* lub *Turzą trawą* nazywá. Dalej *Chrabust* czyli *Ostrożeń jarzynny* (*Cnicus oleraceus*), *Oczerełek leśny* (*Agrostis arundinacea*), *Molinija błękitná* (*Melica coerulea*) i *Żerucha* czyli gładká odmiana *Jaskieru rozestanego* (*Ranunculus repens*, *glabratus*).— O Dąbrówce to jeszcze dodadź niezawadzi, że ją po opadnięciu kwiatu stanu strzelcy tamteysi od jnych tomkowy zapach mających traw łatwo rozróżniają po szczególniejszym pyłku, który się na spodniéy stronie jéy liści znáyduje, a który zostaje na palcu, gdy się jéy liść między palcami przeciągnie.(a)— *Tomka* (*Anthoxanthum odoratum*) nieznáyduje się wcale w puszczy Białowieżkiéy.— Względem kory drzew utrzymują strzelcy, że Zubry náybardziéy lubią taką, która má smak gorszki. Skrobiąc korę tak sobie przednie zęby ścię-

(a) Piérwszą wzmiankę o téy cesze czytám w wyżéy przytoczonym artykule botanicznym Pana S. G. w Dzienniku Wileńskim z 1829 roku.

rają, że u starych ukośne tylko pieńki jch zostają: co włąśnie u naszego samca widziéć možná. Zubry lubią w jesieni wrzosy i mchy drzewne; lecz tych nigdy nie-tykają, które na brzozech i na ziemi rosną. Niejadają także zboża, i dla tego na pola uprawne niewychodzą.

W czasie zimy, gdy śnieg ziemię pokryje, Zubry udają się do stogów siana, z których jedne umyślnie dla nich są postawiane; drugie zaś od okolicznych wieśniaków za opłatą zebrane na dogodną sannę czekają. Ponieważ się często zdarzá, że Zubry te zakupione stogi zjadają; a właściciele jch i pracę i piéniądze tracą: więc niektórzy starali się ogrodzeniem zabezpieczyć swe stogi. Doświadczenie nauczyło, że ogrodzenia nic nie pomagają. Skoro się Zubrom zapach siana w obcym, choćby náy mocniéy ogrodzonym stogu spodoba: więc ogrodzenie rogami rozbiórą, i jednéy nocy cały stóg zjedzą. Wiedziéć bowiem potrzeba, że Zubry nie smyczą siana tak spokojnie jak bydło domowe; lecz albo od razu stóg rogami rozrzucą, szukając w szrodku niezwiétrzałego; albo téż w miarę jedzenia wpychá káždy głowę coráz daléj w stóg: a gdy poczuje, że już znaczną ilość siana má na rogach, raptem szarpnąwszy w tył kawał stogu rozwalá. Tym sposobem marnują wiele siana depcąc je nogami.

Ponieważ wszelkie głośne polowanie w puszczy Białowieżkiéy dla tego jest zabronione, ażeby zwierzyny a mianówicie Zubrów niepłoszyć: więc w ten czas tylko biorą kilku psów, gdy polują na Wilki i Dziki, ażeby jch te z legowisk wyruszyły. Polowa-

nie na *Zubry* odbywają się w náywiększym porządku i spokojności bez trąb i bez psów. Obława, którą składają osoczniccy opatrzeni w grube láski (a), a między którymi w pewnych odstępach są strzelcy, otaczają gąszcz, w którym się znáyduje upatrzone stado *Zubrów*. Strzelcy tym czasem wyciągają linię na tym brzegu owego gąszczy, na który wiatr od *Zubrów* powiewa. Gdy wszyscy stanowiska swoje zajęli, za danym znakiem łańcuch obławy okrzykami *u-ha! u-ha!* i sztukaniem láskami po drzewach pędzi na strzelców z kierunkiem wiatru obsaczone *Zubry*; a ci strzelają z nich tyłu, jlu ubić pozwolono. Gdyby kierunku wiatru nieuwážano, cała zachód byłby daremny; bo *Zubry* zwietrzywszy od strony strzelców proch i ludzi nie poszłyby na nich; ale obróciłyby się na osoczniców, i gwałtem przedarłyby się pomiędzy nich rozbijając i deptając tych, którzyby jém chcieli zastępować. — O tém polowaniu i to nadmienić nie będzie od rzeczy, że kto celnie strzelać nie umie, i nie jest pewnym! strzału swego: ten na polowaniu na *Zubra* niech się do fuzyi niebierze; gdyż ranienie tego zwierza bez położenia go na mieyscu, czyli postrzelenie takie, jż *Zubr* uydzie i w gęstwach zginie, równie surowey podlegá karze jak prostá kradzież jego (b).

(a) Że osoczniccy przychodzą na polowanie *Zubrów* uzbrojeni w drągi, że *Zubr* rechce jak świnia, że siada na tyle jak pies: te i tém podobne twierdzenia są bájeczne.

(b) Schwytany na kradzierzy *Zubra* majątny podlegá karze pieniężny dwóch tysięcy rubli, ubogi zaś karze Sybiru.

Zubr zastrzelony wzdyma się potężnie po śmierci. Jeżeli się dobrze wzdętemu brzuch przerznie, i do tego otworu palącą się świecę przybliży: wychodzący gaz z *Zubra* zapala się z taką mocą, jż daje przeszło na łokieć długi płomień. Zjawisko to na juny zwierzynie ani w połowie nie jest tak widoczne (a).

Mięso *zubrze*, mianowicie samicy i młodych samców, jest kruchsze, soczystsze i smaczniejsze niż mięso *Łosia*. Má sobie właściwy, zwierzynowy, a tém samém mięsu wołowemu niepodobny smak. Jest zdrowe i bardzo pożywne. Szczególniey, jeżeli się przez kilka dni w dobrym occie lub winie czerwonym wymoczone, a po tém młodą słoniną szpikowaną na rożnie upiekło, słusznie pomiędzy przysmaczki policzone być może. Ugotowane staje się zbite i má kolor sinawo szary. Po zasoleniu uwędzone łupie się w drzazgi. Mięso starych samców (lubo równie smaczne) jest jednak znacznie twardsze i bardziey mięsu *Łosia* podobne. To jednak rzecz szczególnieyszá, co wszyscy na tém polowaniu obecni myśliwi twierdzili, a o czém sám się przekonałem, że gdy się zaraz po zastrzeleniu byka niewymniszy, mięso jego (nawet i w zimie) już drugiego dnia smród psucia się wydawać zaczyna.

Skóra na *Zubrze* jest więcéy niż dwa razy tak grubą jak na wole domowym; ale przy tém tak rzádką, że ją tylko w żemieniu kręconym na potrzeby zaprzę-

(a) Pierwszą wzmiankę o tém zjawisku podał P. Ronca w piśmie swoim, któreśmy wyżej wymienili.

gowe wyrábiają. Osobliwie na léce i uzdy má bydź náyzdadnięszą. Z sierci Zubra nie robiono dotąd żadnego odznaczającego się użytku naprzód dlá tego, że jéy w znaczney jłości mieć nie możná; a po wtóre i dlá tego, ponieważ się żadnym szczególnym przymiotem nie zaléca: jest bowiem krótká, suchá, przytém zaś ledwie tak mięká i cienká jak wełna owiec pospolitych. — W dawniejszych czasach zdziérano świeżo zabitemu Zubrowi skórę z czoła, i z téy robiono futrzany pas. Z przyczyny zapewne zapachu wyżéy opisanego, który czoło Zubra wydaje, przypisywano tém pasom moc ułatwiania porodu, i dlá tego pasy takie noszone od kobiet ciężarnych jak talizman, były tak wysoko cenione, że je nawet MONARCHINIE za godny siebie dar poczytywały. Za dowód posłużyć tu może to, co ZYGMUNT BARON HEBERSTEIN Poseł Césarza Niemieckiego w dziele swoim podaje, że dostawszy od *Królowy BONY* dwa pasy zubrze, gdy jeden z nich za powrotem swoim do Wiednia *Césarzowy* ofiarował, łaskawie go przyjęła (a). — Rogów Zubra używano dawniéy za my-

(a) *W dziele pod tytułem: De rerum Moscoviticarum commentarii Sigismundi Liberi Baronis in Heberstein, które Autor Césarzowi Niemieckiemu FERDYNANDOWI d. 1. Marca 1549. r. przypisał, wyrażá się temi słowy: „Hoc certum est, in pretio haberi cingulos ex Uri corio factos, et persvasum est vulgo, horum praecinctu partum promoveri. Atque hoc nomine Regina BONA, Sigismundi Augusti mater, duos hoc genus cingulos mihi dono dedit: quorum alterum Serenissima Domina mea Romanorum Regina sibi a me donatum clementi animo accepit.*

śliwskie toastowe kielichy; zaś podług świadectwa PLINIUSZA z cienko rzniętego rogu zubrzego robiono latarnie, które przepuszczając wstawione światło bardzo przyjemnym sposobem, za ozdoby w domach Ludzi majątnych służyły.

Wspomniany dopiéro HEBERSTEIN postawił práwda obok siebie w dziele swoim dwa wyobrażenia, z których jedno oznaczył nazwiskiem *Tur* (*Urus*), a drugie nazwiskiem *Zubr* (*Bis on s*); w dołączonych jednak opisach tak się skrzyżował, iż oczywiście pokazuje się, że on tych zwierząt niewidział, i że złudzony odmiennością nazwisk z jednego zwierzęcia dwoje utworzył. To domniemanie moje potwierdza kilku nowszych Pisarzów, a mianowicie HARTKNOCH i MASEKOWIUSZ. Na náywiększą jednak wiarę zasługuje zdanie rodaka naszego JONSTONA, który żyjąc na początku siedemnástego wieku (a), a przetoj współcześnie z jstniejącými jeszcze *Turami* w Mazowszu, wyraźnie pisze, że wyráz *Urus* oznaczá zwierze, które w Mazowszu i na Zmudzi *Turem*, a w Litwie *Zubrem* nazywają (b). Po takiém założeniu opisuje

(a) JAN JONSTON urodził się w Szamotułach w Wielkopolsce około 1603 roku. Zwiedziwszy obce kraje z Bogusławem Leszczyńskim, przez długi po tém czas przemieszkáł w Lesznie jako Lékárz nadworny tegoż Leszczyńskiego. Ostatek życia przepędził we wsi Cybendorf, którą kupił w Xięstwie Lignickim. Umárl 1675 roku.

(b) *W dziele pod tytułem: Historiae Naturalis de Quadrupedibus libri. Johannes Jonstonus Medicinae Doctor concinnavit.*

on Zubra ze wszystkiemi szczegółami; pod nazwiskiem zaś *Bison* mieści opis wyżey wspomnianego *Bizona* amerykańskiego. — Po tak poważném i stanowczém twierdzeniu względem jedno - znaczności wyrazów *Zubr* i *Tur*, niezawadzi miemám nawiasowe przytoczenie tego, co mi pewien biegły myśliwy powiedział: „Mnie się zdaje, że jak wyraz *Odyniec*, którym „oznaczamy pojedynczo chodzące stare dziki, utworzony jest z wyrazu ruskiego *odin* (jeden): tak mo- „że znowu wyraz *Tur* pochodzi od naszego dawnego sposobu mówienia *Samowótór*, którym pierw- „stakowo oznaczano po dwóch lub pojedynczo tu- „jące się stare Zubry; a który późniéj skrócony na „*Tur* zamienił się w prowincjonalne nazwisko dla „Zubrów.“ — Czy na ten domysł myśliwego zechcemy mieć wzgląd jaki lub nie, już samo twierdzenie JONSTONA jest dostateczne do przekonania nás, że jedno i to samo zwierze miało dwa nazwiska; bo nieznajdujemy w naszych okolicach takich kości, któreby niezbyt dawne jstnienie oddzielnego gatunku *Turów* udowodniały. Wszakże nierównie dawniéj, bo od niepamiętnych czasów, wygasły u nás *Mamuty* (Słonie północne), *Nosorożce północne* i *Bonazy*; a kości jch częścią przy kopaniu dołów bywają wydobywane, częścią przez powodzie z brzegów rzék wy-

Amstelodami 1657. na stronie 36. pod napisem De Uro, czytamy wśród przytoczeń rzecz objaśniających: Urus. Polonis saltem in Masovia et Samogitia Tur vocatur. Lithuanis Zubronem dici, Scaliger se invenisse tradit. Cromerus *Misontem* appellat.

mulane: co szczególniéj w brzegach Bugu i niższéj Narwi dosyć się często przytrafia. Dla czegożbyśmy nie mieli także znáydować śladów po Turach, gdyby te były odmiennym od Zubrów gatunkiem? — Po Turach, mówię, które się tak blisko Warszawy, bo w lasach Jakturowskich między Błoniem, Wiskitkami i Sochaczewem aż do 1627 roku znáydowały. Skoro nie mamy żadnych śladów, nie mamy także i dowodów, któreby nás przekonywały, że zwierze, który przed dwiema wiekami pod nazwiskiem *Tura* żył w lasach Mazowieckich, był odmiennym gatunkiem od dotąd żyjącego *Zubra* w puszczy Białowiezkiej. Przeciwnie nietylko świadectwa uczonych ale nawet między pospółstwem dotąd przechowane nazwiska traw, któremi się tak nazwane Tury żywiły, a które właśnie są ulubione od Zubrów, mówią za naszym twierdzeniem.

Że czas zupełnego zniknięcia Zubrów, czyli tak nazwanych Turów, z sąsiedztwa Warszawy tak dokładnie oznaczyć tu mogę, winienem to szanownéj przyjaźni JW. *Ignacego Paschalskiego* Radcy Prokuratoryi Jeneralnéj Królestwa Polskiego, który mi pozwolił dawnych oryginalnych papierów, które obeymując lustracje ówczesnego Województwa Rawskiego, czynią ważne szczegółowe wzmianki o Zubrach (a). Między innymi ta tu na szczególniejszą uwagę zasługuje, że w jednéj z takich lustracyi (jak czytamy w przypisku) nągły uby-

(a) Mając właśnie protokóły czterech lustracyi, umieszczam tu dosłowne z nich wyjątki jak następuje: W lustracyi 1561 r.

tek tych zwierząt przypisano morowéj zarazie, którą od bydła domowego zarwały. Okoliczności téj

odbytéj czytám: W puszczy Jakturowskiéj chowają się Thury, które gdyśmy objeżdżali, naleźliśmy jch w jedném stadzie 30, między którými krów starych 22, Thurów młodych 3, cieląt 5. — Thurów starych samców nie mogliśmy trafić, bo się były po puszczy rozbiegły, iż była niepogoda; ale nám Łowcy powiadali, iżby tych starych Turów miało bydź 8. — Między témi krowami jest jedna bardzo stará i chudá, trudno się má przez zimę przechować. Gdyśmy jch pytali, dla czego by tak chude Thury były, abo czemu się tak nie mnożą? dali do tego przyczynę, iż jest wiele stád koni i bydła, które tamże chodzą, kędy i Thurowie; przeto téż nie mają dobrego wychowania, i mało się jch przychowują, acz bywá cieląt nie mało. — *W lustracyi 1602 roku stoi:* W téj puszczy Jakturowskiéj chowają się Thurowie, których natenczas nie masz tylko 4, których my sami oglądali, tho jest thurów trzy, thurzyca jedna. Dawali nám sprawę Łowcy, że jch przedtém było więcéj; lecz powietrzem zarażone od jnuego bydła, nie mało jch pozdychało. O skórach i rogacli od nich pytaliśmy się, i dawał nám sprawę Urzędnik Pana Starosty, że do Króla JMści są odesłane. Czy jednak Thurowie pozdychali, gdy Starostwo było administrowane od administratorów do niego od Króla JMci danych? — Za dzisieyszego Pana Starosty tylko jeden jest przestrzelon, o czém inkwizycyją czyni. — *W lustracyi 1620 roku czytám:* Napisano w lustracyi 1601 roku, że miało bydź w puszczy Jakturowskiéj Thurów 4, Thurzyca 1. Teraz nie masz jeno jedna Thurzyca. — *W lustracyi 1630 roku jest:* Napisano w przeszléj lustracyi, że była Thurzyca jedna, ale teraz poddani téj wsi powiedzieli, że zdechła od lát trzech.

Podobne wzmianki o tych zwierzętach znáydują się w aktach jnnych także dóbr Królewskich w Mazowszu, wartoby je przy dowolniejszym czasie zebrać, i porządnie ułożyć.

tém bardziéj przemilczéć nie mogę; gdyż przez puszcę Białowieską wolne są dotąd przegony stád wołów, które kupcy z głębi kraju Rossyyskiego wyprowadzają: lękać się więc należy, ażeby kiedy zarażone stádo podobnéj klęski w tę puszcę nie wniosło. — Jstotnemi jednak przyczynami zupełnéj zagłady Zubrów w lasach puszczy Jakturowskiéj jest naprzód bezkarność za jch zabijanie, a powtóre niedostatek przyzwoitego wyżywienia; bo wypásano bydtém i końmi te lasy, w których się Zubry znáydowały.

Na zakończenie téj krótkiéj wiadomości o puszczy Białowieskiéj dodadź wypadá, że pomiędzy wáżniejsze w niéy zdarzenia należy nadzwyczajny pożar, który przypadkowo powstał 1811 roku w końcu miesiąca Maja. Pomimo náyusilniejsze starania i zabiegi tamtejszéj zwierchności, przy pomocy kilku tysięcy ludzi, których z okolic sprowadzono, pożar ten trwając ciągle aż do końca miesiąca Września, nieocenione szkody we wszystkich prawie częściach téj puszczy zrzádził; a przy tém dowiódł, jak siły ludzkie bez pomocy Bożkiéj są niedołężne; bo ten tak straszny ogień, którego tysiące ludzi przez trzy miesiące przytłumić nie mogło, jeden uléwny dęszc w dniu piérszym Października zupełnie ugasił.

K O N I E C.



SPIS PRZEDMIOTÓW

W TOMIE DRUGIM ZAWARTYCH.

	<i>Strona.</i>
Karolo Karolini mniemany Herszt Rozbóyników	5.
O Przeobrażaniu się Owadów	123.
O Zwiędżętach Jadowitych	153.
O Ptakach Olbrzymich	191.
O Ulach dlá Pszczół	205.
O Puszczy Białowiezkiéy	229.

DALSZY POCZET

JO. JW. WW. PP. PRENUMERATORÓW.

- A. Telesfor*, Karmelita w Wiśniowcu.
Baraniecki Łukász, Xiądz.
Baraniecki Tomasz, Medycyny Doktor 3. exemplarze.
Bernaszewski Tomasz.
Bernatowicz Władysław, Obywatel Gubernii Podolskiéy.
Bielski Józef, Tytularny Sowietnik.
Bierzynski Władysław Hrabia.
Biblioteka XX. PP. na Żoliborzu.
Bóbr Urban, Marszałek Powiatu Dubieńskiego.
Bocheński Felix, Deputat Sądu Głównego Gubernii Podolskiéy.
Borkowski Józef, Uczeń w Konwikcie na Żoliborzu.
Bryliński Ján.
Chambeau Ján Samuel, Radca Stanu Jmper. Ross. Kawaler Orderów Stéy. Anny z brylantami na szyję i Czerwonego Orła 3. klasy.
Chelkowski Józef, Ucz. w Konw. na Żoliborzu.
Chodkiewicz Karól Hrabia.
Chotomski Ferdynand, były Officer Gwardyi Polskiéy.
Choynacki Józef.

Chworostecki Kajetán, Assessór Sądu Niżnego w Krzemieńcu.

Czarnecki, Podkómorzy Powiatu Krzemienieckiego.

Czechowski Franciszek, Kollegijalny Sekretarz w Krzemieńcu.

Czekanowski Wawrzyniec.

Dalkiewicz Ján.

Darowski Ján, Ucz. w Konw. na Żoliborzu.

Dobrowolski Kazimiérz, Medycyny Doktor.

Domher Józef, Medycyny Doktor.

Drac Władysław, Ucz. w Konw. na Żoliborzu.

Gadzewicz Antoni, Rejent Powiatu Krzemienieckiego.

Garczyński Antoni, Ucz. w Konw. na Żoliborzu.

Garliński Franciszek.

Grabianka Ludwik, Ucz. w Konw. na Żoliborzu.

Grygowicz Ján, Urzędnik w Kommissyi Woyny Król. Pol.

Hordliczka Wilhelm.

Jachotkowski Grzegórz, Sekretarz Jeneralny Urzędu Muncypalnego Stótecznego Miasta Warszawy, Kawaler Orderu S. Stanisława 3. klasy.

Jagietłowicz Ludwik, Dozorca przy Liceum Wołyńskiem.

Jakowicki Ignacy, Professór Mineralogii w Uniwersytecie Wileńskim.

Jarocki Bazyl, Professór Emeryt.

Jarocki Grzegórz, Kawaler Orderu S. Włodzimierza 4. klasy, były Sztabslécárz.

Jastrzębowski Wojciech, Adjunkt przy Król. Alex. Uniwersytecie.

Jonat Tu-Han Baranowski, Urzędnik Skarbowy Gubernii Grodzińskiéy.

Jurkiewicz Stefan.

Katabanowicz Konstanty.

Karnkowski Adolf.

Komar Adolf.

Kondratowicz Adam, Major.

Krokowski Antoni, Sędzia Ziemski Powiatu Uszyckiego.

Kwiatkowski Juliján.

Ledóchowski Janusz, Obywatel Gubernii Wołyńskiéy.

Ledóchowski Romuald, Obywatel Gubernii Wołyńskiéy.

Lelewel Joachim, Filozofii Doktor, Członek wielu Towarzystw Uczonych.

Lipiński Ján Nepomucen, Komandor Maltański.

Lipski Karol, Uczeń w Konw. na Żoliborzu.

Łaszewicz Piotr, Urzędnik 8méy Klasy Kommissoryjatu żywności Woyska Rossyyskiego, Kawaler Orderu S. Włodzimierza 4. Klasy.

Malczewski Adolf, Ucz. w Konw. na Żoliborzu.

Maruszewski Fortunat.

Meltzer August.

Mitadowski Ján, Przełożony szkół Kamienieckich.

Mittman Karól.

Mniszek Karól Hrabia.

Mohr August.

Mokrzycki Antoni, Adwokat Sądu Ziemskiego w Litwie.

Moranowicz Józef.

Niebrzydowski Tomasz, X. Professór w Konwikcie na Żoliborzu.

Noakowski Franciszek.

Olencki Xawery, Podpółkownik Gwardyi Grenadyje-
rów Polskich, Kawaler Orderu S. Anny z Ko-
roną na szyję i S. Włodzimierza 4. klasy.

Orzechowicz Ján, Medycyny Doktor.

Ossolińska Zofija Hrabina.

Piwariski Ján, Professor w Szkole Politechnicznój,
Konserwator Rycin przy Bibliotece Publ. Król.

Podhorski Edmund, Ucz. w Konw. na Żoliborzu.

Podlewski Felix.

Podowski.

Polków Frydrych.

Pruszyński Alojzy.

Raschke Ernst.

Rogalski Paweł, Aptekarz w Krzemieńcu.

Romanowska Katarzyna.

Ronca Eugenjusz, Leśniczy Powiatu Prużańskiego.

Rozdolski Maciej.

Roze Witold, Uczeń w Konw. na Żoliborzu.

Rykaczewski Ján Alexander.

Ryszczewska Hrabina z Xiążąt Czartoryskich.

Ryszczewski Leon, Uczeń Liceum Wołyńskiego.

Ryszczewski Józef, Uczeń Liceum Wołyńskiego.

Sawicki Ján, Kollegijalny Sekretarz.

Schleider Franciszek.

Serwatowski Jakób.

Serwatowski Wojciech.

Skibniewski Wiktor, Prezes Sądów Granicznych
w Gubernii Podolskiéj.

Sobieszczański Klemens, Sędzia Ziemski w Krzemieńcu.

Sokołowski Kajetan, Sekretarz Sądu Powiatowego
Krzemieńskiego.

Staroropiński Obywatel Gubernii Podolskiéj.

Stroynowski Ján.

Sturm Józef, Uczeń w Konwikcie na Żoliborzu.

Sturm Karól.

Szaniawski Xawery, X. Prałat Kapituły Warszaw-
skiéj, Obojga Prawa Doktor, Professor Król.
Alex. Uniwersytetu, Kawaler Orderu S. Stani-
sława 2giéj klasy.

Szubert Michał, Filozofii Doktor, Professor Kró-
lewskiego Alexandrowskiego Uniwersytetu.

Szultz Alexander, Uczeń w Konw. na Żoliborzu.

Szydłowski Hrabia.

Toczyński, Medycyny Doktor.

Wątrobka Reces.

Wierzeyski Paweł, Preparator przy Gabinetie Zo-
ologicznym Król. Alex. Uniwersytetu.

Witowski Franciszek.

Zieliński Jgnacy, Podsekdek Sądu Ziemskiego w Krze-
mieńcu.

Zieliński Wincenty, Adwokat w Krzemieńcu.

Żychliński Franciszek Uczeń w Konw. na Żoliborzu.

PROSZĘ NASTĘPUJĄCE BŁĘDY DRUKARSKIE SPROSTOWAĆ.

- Str: 5. w 2. od góry jest Rozboynikow, czytáy Rozbóyników.
— 8. — 6. — dołu — słowicznym, — słowiczym.
— 14. — 2. — góry — cokolwiek, — cokolwiek.
— 16. — 7. — dołu — drógá, — drogá.
— 31. — 6. — — — zbroniarzu, — zbrodniarzu.
— 53. — 15. — — — niespokóynóść, — niespokoyność.
— 63. — 3. — — — prerywając, — przerywając.
— 101. — 13. — — — miłości szczęściá, — miłości i szczęściá.
— 102. — 14. — — — mi, — mię.
-



Fig. 1.



Bubryga (= *nahtuy*)

L. Fr. Soudak

Fig. 2.



Wojewódzka
BIBLIOT. PUB.
w Białym
ostrogu dnia 1887 r.

821.162.1

Jarocki

Pisma rozmaite J.2

69 412

XIX w.